

JAKUB ĆWIEK  
KŁAPKA  
CHŁAP SZTANDARU



fabryka słów

## Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Książki Jakuba Ćwieka

Prolog

Sudan, współcześnie

Część 1. Po-prostu Teddy

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Część 2. Po drugiej stronie

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Autor

Karta redakcyjna

Okładka

JAKUB 3 CŹWIEK  
KŁAMCA  
⊕ CHŁAP SZTANDARU

**Zlecenia anielskiego cyngla:**

- **Kłamca 1** •
- **Kłamca 2. Bóg marnotrawny** •
- **Kłamca 3. Ochłap sztandaru** •
- **Kłamca 4. Kill'em all** •

**fabryka słów**

Lublin 2012

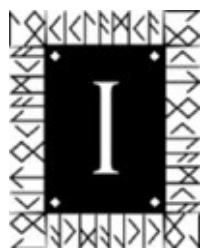
Książki Jakuba Ćwieka

wydane nakładem naszego wydawnictwa:

1. Kłamca 1
2. Kłamca 2. Bóg marnotrawny
3. Liżąc ostrze
4. Ciemność płonie
5. Kłamca 3. Ochłap sztandaru
6. Gotuj z papieżem
7. Kłamca 4. Kill'em all

## **Prolog**

## Sudan, współcześnie



to już? To wszystko? – nie dowierzał pan Czarnolaski. – O to całe te mecyj... khem, o to tyle zachodu?

Przed nim na drewnianych paletach stał prosty kamienny sarkofag. Wykuty w pospolitym kamieniu, pozbawiony ornamentów nie prezentował się imponująco. Zwłaszcza dla kogoś, kto spodziewał się co najmniej skarbu króla Salomona.

Czarnolaski delikatnie przetaił spocone czoło – wciąż miał na nim rany po odparzeniach od skórzanego kapelusza – i podciągnął obciążone skórzanym batem spodnie. Potem odwrócił się, posyłając wciśniętemu w kąt namiotu szefowi ekspedycji najgniewniejsze ze swych spojrzeń.

– Co to, kurwa, właściwie jest, panie Wiesiu?

Archeolog wziął głęboki oddech. Był chudym, wysuszonym mężczyzną o uśmiechu jak z butelek denaturatu, a skórę na twarzy miał tak naciągniętą, że zdawała się trzeszczeć z każdym grymasem. Z takim wyglądem musiał albo mówić przekonująco, szybko i składnie, albo zapomnieć o wszelkich grantach i sponsorach. Profesor Wiesław Tutka szczęśliwie dla siebie z dobrą gadką nigdy nie miał problemów.

– To, panie Janie, sarkofag świętego Eustachego z drugiego wieku – powiedział, podchodząc i kładąc rękę na kamiennej płycie – zwanego Eustachym Rzymskim ze względu na miejsce pochodzenia. Zanim został katolickim świętym, nazywał się Placyd i był rzymskim żołnierzem odznaczającym się walecznością i odwagą. Cesarz za zasługi mianował go dowódcą legionu w Azji Mniejszej. Legenda mówi...

– Że odkrył jakieś wspaniałe skarby? Bo inaczej w ogóle nie chcę o tym słuchać – przerwał mu Czarnolaski, drapiąc się po opasłym brzuchu. Krople potu wykwitwały mu pod nosem i w zagłębieniach pod oczami. Jego nalane policzki przybrały różową barwę i wyglądał teraz jak gniewna wersja prosiaczka Porky. – Nie musi być złoto. Może być święty Graal na przykład albo inne tego typu cholerstwo.

Przejechał palcem po płycie i z obrzydzeniem przyjrzał się zabrudzonemu opuszkowi.

– Wpłaciłem na tę ekspedycję dwadzieścia tysięcy dolarów, panie Wiesiu – dorzucił, wciąż zezując na palec. – Gdy powiedział mi pan, że coś odkrył, przyleciałem pierwszym samolotem pomimo ważnego zebrania i faktu, że każdy dzień mojej nieobecności kosztuje firmę grube pieniądze. A pan mi daje kamienną skrzynkę z umarlakiem?!

– Właściwie nawet nie daję – zawahał się archeolog, przebierając splecionymi palcami. – Przepisy władz Sudanu dotyczące wywozu zabytków są bardzo restrykcyjne i...

Umilkł pod ciężarem spojrzenia biznesmena.

Do namiotu zajrzało kilku studentów, ale widząc awanturę, zaraz się wycofywali. Tutka nie miał im tego za złe. W końcu każdy z nich marzył w przyszłości o własnych wykopaliskach i grantach. A ich przyszłość zależała w równej mierze od ocen i opinii profesora, jak i od dobrych relacji ze sponsorami, takimi jak Czarnolaski.

Wyglądało na to, że archeolog nie mógł liczyć na nikogo prócz samego siebie i własnej głowy wypchanej po brzegi mitami, podaniami i zwykłymi ogniskowymi opowiastkami. Czasami Tutka miał wrażenie, że jest ich tam więcej niż prawdziwej wiedzy.

– Niech pan posłucha – podjął po namyśle. – Legenda mówi, że kiedyś podczas polowania Placyd trafił na jelenia, w którego porożu lśnił złotem krzyż Pański. To był moment nawrócenia i żołnierz od tej pory podążał drogą Chrystusa, mimo że tym samym stracił wszystkie przywileje. Był najemnym chłopem gdzieś w Egipcie, aż cesarz, nie radząc sobie z najazdami barbarzyńców, kazał go odszukać i znowu postawić na czele legionów. Placyd, już jako Eustachy, wrócił i, jak mówi legenda, wspomagany łaską odniósł wiele wielkich zwycięstw. W międzyczasie miał też objawienia, które zaowocowały ewangelią zaliczaną obecnie

do apokryfów.

Podczas gdy archeolog mówił, Czarnolaski cały czas kiwał głową. Ledwie jednak Tutka skończył, na twarzy biznesmena znowu pojawił się grymas zniesmaczenia.

– No i? – zapytał.

Profesor westchnął zrezygnowany. Bóg mu świadkiem, że próbował powiedzieć prawdę. Teraz nie pozostało już nic innego jak dobrze znany całemu światu nauki klasyczny bluff pod sponsora.

– Istnieje spora szansa, że przy jego grobie znajdziemy wskazówki dotyczące miejsca ukrycia pokaznego majątku Placyda – powiedział jednym tchem. Wykrzywił się w swym grymasie à la Jolly Roger i dodał: – Wartego dziś pewnie grube miliony.

– A restrykcyjne przepisy Sudanu?

– Chrzanić, zrobimy to po cichu.

Czarnolaski rozpogodził się, wyszczerzył nawet idealnie równe zęby. Profesor Tutka – który tak naprawdę nigdy dotąd nie słyszał o skarbach świętego Eustachego – doskonale wiedział, ile wart jest ten uśmiech. Po odliczeniu podatków i innych takich stanowił równowartość kolejnych dwóch tygodni w Sudanie, w namiotach pośród piasków, kolejnych czternastu dni wytrępywania skorpionów z butów i gardła oblepionego piaskiem jak wnętrze ozdobnej butelki. Słowem – przedłużony czas badań.

– To może przejdziemy teraz do mnie i opowiem panu o tych skarbach – zaproponował wyraźnie rozochocony. – Pan przodem, jeśli można.

Zbliżył się do poły namiotu i odchylił ją, wpuszczając do środka oślepiające promienie słońca. Przepuścił biznesmena, a potem patrzył, jak tamten idzie wzdłuż obozu, próbując odpiąć od paska telefon satelitarny, w czym wyraźnie przeszkadzał mu opasły brzuch.

– Dupek – burknął pod nosem.

Raz jeszcze spojrzął na swoje wspaniałe odkrycie, wciąż jeszcze ukrywające swą zawartość, z brązowymi klamrami mocującymi kamienną płytę do reszty sarkofagu. Spojrzał... i zamarł.

Ciemność gęsta jak mgła, mroczna jak muzyka Black Sabbath zalegała wokół sarkofagu. I tylko tam.

– Nie trzeba się denerwować – przemówił nagle miły męski głos na lewo od Tutki.

Archeolog obejrzał się i zobaczył ubranego na czarno mężczyznę o śniadej twarzy, czarnych, równo przystrzyżonych włosach i sylwetce godnej sportowca czy modela. Garnitur, który ów człowiek miał na sobie, elegancki, ze stójką, z całą pewnością nie należał do najtańszych. Właściwie Tutka mógł się założyć, że na sam czarny golf mężczyzny poszłaby pewnie cała jego wypłata.

– Kim pan jest?

– Spełnieniem marzeń każdego archeologa – odparł tamten. – Milionerem z archeologiczną pasją. Przyszedłem kupić od pana pańskie odkrycie.

Tutka rzucił ukradkowe spojrzenie na sarkofag, który teraz niemal tonął w mroku. Widać było ledwie krawędzie.

*Co to za cholerna sztuczka? – myślał. – I co to właściwie za człowiek?*

– Sarkofag nie jest na...

Mężczyzna podniósł rękę i nagle Tutka zorientował się, że nie może mówić. Prerażony sięgnął ręką do twarzy i przejechał palcami po miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą miał usta. Teraz była tam jedynie gładka skóra. Zaprzagnął krzyknąć, czuł, że oszaleje, jeśli zaraz tego nie zrobi.

*Przecież ty już oszalałeś – odezwał się głos w jego głowie. – Potrzebne ci jeszcze jakieś inne dowody?*

Raz jeszcze przejechał dłonią po skórze w poszukiwaniu ust, ale im bardziej sprawdzał, tym bardziej ich tam nie było.

Tajemniczy mężczyzna w czerni dał archeologowi chwilę na oswojenie się z nową sytuacją, po czym podjął przerwana rozmowę.

– Nie zamierzam pana oszukać, panie profesorze – powiedział. – Za chwilę zabierzemy stąd sarkofag, ale w jego miejsce zostawimy walizkę. Będzie w niej tyle pieniędzy, że starczy panu na badania do choleralnej Apokalipsy. Jeżeli uważa pan, że to uczciwy układ, proszę skinąć głową.

Tutka skinął.

– I świetnie! – mężczyzna rozpromienił się. Dosłownie. Z jego ust, nozdrzy i oczu trysnęło nagle

światło tak mocne, że archeolog zmuszony był zacisnąć powieki, a i tak blask palił, jakby patrzył prosto w stuwatową żarówkę, jak kiedyś, gdy po nielegalnej demonstracji studenckiej zamiast do akademika trafił na komisariat.

Gdy ponownie otworzył oczy, mężczyzny w czerni już nie było. Podobnie zresztą jak sarkofagu. I ust profesora, które jakoś nie wróciły na swoje miejsce.

Była za to otwarta czarna walizka stojąca na drewnianych paletach. Wewnątrz na wymoszczonej aksamitem wyściółce leżały dwa pliki banknotów. Nieduże, raptem kilka tysięcy dolarów.

*I to ma starczyć do Apokalipsy?* – przemknęło Tutce przez głowę.

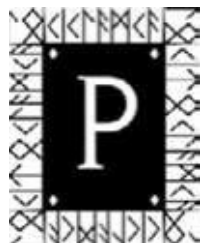


Część 1

**Po-prostu Teddy**

# Rozdział 1

## Nowy Jork



o-prostu Teddy uwielbiał jazdę na wrotkach. I Nowy Jork. A najbardziej, jeśli wierzyć wywiadam, uwielbiał jeżdżenie na wrotkach po Nowym Jorku. W godzinach szczytu.

Wyglądał zupełnie przeciętnie – szczupły szesnasto-, może siedemnastolatek z włosami przyciętymi na linii zuchwy, ubrany w luźne spodnie i bluzę z kapturem. Markowy plecak, w uszach słuchawki. Gdy prześlizgiwał się pomiędzy samochodami stojącymi w korku na Broadwayu, z rzadka tylko potrącił lekko któreś lusterko. Przestrzeń zdawała się niepostrzeżenie naciągać dla jego potrzeb.

Ludzie – ci, którzy zwracali uwagę na cokolwiek poza własnym hamburgerem – pozdrawiali go wesoło, a on czasem odmachiwał, czasem tylko uśmiechał się pogodnie. Potem – korzystając ze zmiany świateł, która zazwyczaj następowała, gdy był w połowie broadwayowskiego odcinka – Teddy łapał za zderzak najbliższej taksówki i tak jechał, balansując, ze sto metrów, by następnie wbić się w Sto Dziesiątą i pędzić dalej w stronę Central Parku.

Policjant siedzący na masce radiowozu zaparkowanego pod billboardem z podobizną Teddy’ego zasalutował chłopakowi wesoło. Nastolatek odmachiwał.



Niedługo później, dokładnie kwadrans po dwunastej, po prostu Teddy przeszedł przez obrotowe drzwi budynku GoodTV. Na nogach nie miał już wrotek. Zmienił je przed wejściem na sportowe buty. Wyjął słuchawki z uszu, ale odtwarzacz pozostawił włączony, dzięki czemu każdy przechodzący obok wiedział, czego słucha najbardziej przedsiębiorczy nastolatek na świecie. Mało kto jednak rozpoznawał „Surfing with the Alien” Satrianiego.

– Dzień dobry, proszę pa... – zaczął portier, pogodny staruszek o białych włosach i z głębokim dołączkiem w brodzie, ale chłopak powstrzymał go gestem.

– Po prostu Teddy, panie Korczyński. – Jedyne w całym budynku poprawnie wymawiał nazwisko emigranta. – Czy mógłbym zostawić u pana wrotki do wieczora? Bardzo proszę.

– Ależ oczywiście, panie... znaczy Teddy. Jak zawsze.

Chłopak uśmiechnął się. Zanim oddał portierowi plecak, wyjął z niego małą reklamówkę.

– Dziękuję. Jakbym mógł coś dla pana zrobić, proszę walić jak w dym.

– Właściwie to... – Staruszek rozejrzał się uważnie, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje, po czym nachylił głowę ku chłopcu. – To jest coś takiego, Teddy. Głupio mi było prosić, ale...

– Co się stało, panie Korczyński?

– Bo ja chciałem zapytać, czy... znaczy mam troszkę oszczędności i nie wiem, gdzie by je tutaj... znaczy ulokować...

– Zbrojeniówka. – Po-prostu Teddy uśmiechnął się i wzruszył ramionami. „Tylko tyle?” – mówił ten gest. – To niezmiennie najpewniejsza inwestycja. No i można przy okazji spełnić swój obywatelski obowiązek, dając naszemu rządowi grosz na coraz lepsze technologie.

– Zbrojeniówka, tak? – Portier wyjął z kieszeni notes i ołówek. – Ale co konkretnie? Jaka firma?

– Jeszcze dziś podeślę panu szczegółową rozpiszę – odparł Teddy wesoło, ruszając w stronę windy. – Jeszcze raz dzięki za opiekę nad wrotkami.

Ledwie doszedł do wind, rozległ się dzwonek i drzwi kabiny stanęły otworem. Chłopak wszedł do środka.



Na górze okazało się, że zebranie już trwa.

– Czekają na ciebie, Teddy – powiedziała Susie, otyła czarnoskóra pięćdziesięciolatka pracująca w GoodTV jako przełożona sekretarek. – A w saloniku dla gości pan Yakamoto czeka na choćby wstępną decyzję. Musisz się pospieszyć, bo on lata wyłącznie japońskimi liniami i ma samolot za trzy godziny. Boi się, że nie zdąży i narazi swoją firmę na dodatkowe koszty.

Po-prostu Teddy spojrzął na zegarek. Z zawstydzeniem zauważył, że jest spóźniony o przeszło czterdzieści minut.

– Cholera, mogłem dzisiaj dać sobie spokój z tymi rolkami! – Klepnął się w czoło. – Cóż, najwyżej polecę na lotnisko helikopterem z dachu, jak będzie trzeba. A jeśli nie zdąży, pokryjemy wszelkie koszty. Ale i tak pędzę. Podrzucisz mi na salę colę i hot doga?

Susie wyszczerzyła białe zęby.

– Jasne, złociutki.

Po-prostu Teddy złapał za leżącą na biurku papierową teczkę i pobiegł do sali konferencyjnej.

Ledwie wszedł, owionął go zapach fajkowego tytoniu, słodka mieszanka wiśni i wanilii. Teddy lubił ten zapach, a poza tym starał się podtrzymywać wszystkie dobre tradycje z dawnych dni, gdy właścicielem był jeszcze po-prostu Bob. Należało do nich właśnie palenie fajek i zamawianie jedzenia na salę konferencyjną. Tworzyło to miłą atmosferę niezobowiązującego spotkania przyjaciół.

– Witam panów! – zawołał, zajmując swoje miejsce u szczytu stołu. – Przepraszam wszystkich za spóźnienie.

Członkowie rady roześmiali się jak z dobrego dowcipu. Ktoś powiedział, że nie ma sprawy, kto inny przypomniał, że jak on się kiedyś spóźnił, to wtedy to było spóźnienie...

– Tak, Mark... pamiętamy – przerwał mu Teddy. – To skoro już wpadłem, cóż dzisiaj mamy w planie?

Powiódł wzrokiem po zebranych, wśród których – tak na pierwszy rzut oka – każdy mógłby być jego ojcem lub dziadkiem. Właściwie wszyscy z wyjątkiem grubego Charliego Turnera, udziałowca z Nebraski, mieli na sobie garnitury, ale prawie żaden nie włożył krawata. Można to było uznać za sukces starań dwóch pokoleń prezesów. Ogromny krok na drodze do po-prostu...

– Zacznijmy od pana Yakamoto – zasugerował siedzący po prawej Ben Kaufman, prawnik o twarzy pociągłej jak z obrazu Muncha. – Siedzi w saloniku gości i wyraźnie mu się spieszy. Wygląda na to, że następne sushi chciałby już wszamać w domku.

Zebrani kolejny raz parsknęli śmiechem, a prawnik podsunął chłopakowi pod nos dwie kartki.

Sprawa dotyczyła warunków, na jakich GoodTV miała przejąć azjatycki koncern Shicho – tokijskie imperium medialne, obecnie w fazie postępującego upadku. Stanowiło ono życiowy dorobek dwóch pokoleń rodziny Yakamoto, nic więc dziwnego, że siedzący w saloniku gość traktował tę sprawę bardzo osobiście. Przywiózł nawet ze sobą komplet ostrych narzędzi i przyjaciela z mieczem na wypadek niepowodzenia misji.

Po-prostu Teddy wczytał się uważnie w podane dokumenty. Na jednym z nich zapisano oczekiwania Azjatów, na drugiej ofertę GoodTV. Z samej różnicy można byłoby wykarmić Etiopię... No, a przynajmniej postawić wszystkim Etiopczykom solidną kolację z kilku dań.

Gdy porównywał liczby, Susie wniosła na salę tacę z puszką coli i hot dogiem. Turner wykorzystał sposobność, by zamówić sobie chińszczyznę, rzucając przy okazji żart o tym, dlaczego Chińczycy mają skośne oczy i co to ma wspólnego z ryżem. Zebrani, rzecz jasna, zareagowali z właściwym sobie luzem.

W końcu Teddy odłożył dokumenty i podsunął sobie tacę.

– Jak dla mnie – powiedział, odgryzając pierwszy kęs hot doga – sprawa wygląda następująco. Pan Yakamoto złożył uczciwą ofertę, która chroni jego pracowników i zapewnia właściwą pozycję jemu samemu. Zasłużył sobie na nią, budując od podstaw największe imperium medialne w Japonii.

Popił colę i powiódł wzrokiem po udziałowcach. To także był wynik długoletnich starań – nikt mu nie przeszkadzał, dopóki nie skończył myśli.

– Z drugiej jednak strony – podjął, przełknąwszy – nasz koncern musi działać z jak największą korzyścią dla akcjonariuszy. I właśnie dlatego najbardziej korzystna dla nas jest oferta z naszej kartki.

Podniósł właściwy dokument i zamachał nim nad głową.

– Jednym słowem, sytuacja patowa – stwierdził Kaufman wyraźnie rozczarowany. Od cudownego dziecka oczekiwał cudu, a nie wygłaszania oczywistości. Choć z drugiej strony z pustego to przecież i Salomon nie należy. Westchnął ciężko i spojrzął na zegarek. – Skoro tak, to myślę, że najwyższy czas, by pan Yakamoto...

– Nie tak szybko! – Po-prostu Teddy raz jeszcze przyjrzał się kartkom, po czym złożył je obie i wsunął do kieszeni. – Bardzo zależy mi na rynku japońskim, przyjmijmy zatem, że te oferty są zbieżne, i szykujmy umowy. To, co się nie zgadza, pokryję z własnego majątku.

Odwrócił się i uśmiechnął do zaskoczonego Kaufmana.

– Mam nadzieję, że załatwimy to w godzinkę, co? Nasz gość musi jeszcze zdążyć na samolot.

Uniósł do ust puszkę coli, ale zanim upił, dodał:

– I chcę, by jeszcze w tym tygodniu na kanałach Shichu nadawano moje programy, dobrze? Najwyższy czas, by zabrać się za te ich żółte dusze.

Członkowie najbardziej wyluzowanej rady nadzorczej świata mogli zareagować na ten żart tylko w jeden sposób...



– Potrzebuję chwili dla siebie – powiedział do Susie, przechodząc koło biurka. – Możesz przez najbliższy kwadrans nie wpuszczać nikogo do mojego gabinetu? W żadnej sprawie.

Sekretarka skinęła głową, co było dla Teddy'ego wystarczającym gwarantem, że będzie miał spokój. Swego czasu Susie pracowała jako kaskaderka, a potem przez wiele lat jako ochroniarka. Nawet teraz, mimo swej tuszy i wieku, potrafiła być naprawdę groźna. W jej rękę zwykły zszycacz stawał się zabójczą bronią.

Po-prostu Teddy wszedł do swojego biura i zamknął drzwi. Rozejrzał się po przestronnym, ale przytulnym wnętrzu przypominającym bardziej wnętrze chatki myśliwskiej niż gabinet genialnego nastolatka. Ściany wyłożono boazerią, na podłodze rozłożono dywany ze skór zwierząt. Po lewej, przy ogromnym oknie, ustawiono masywne dębowe biurko – dokładnie naprzeciw eleganckiego kominka, nad którym wisiał portret po-prostu Boba, jak zawsze wyszczerzonego głupkowato.

Tylko zawartość zajmujących wszystkie ściany regałów nie za bardzo pasowała do wnętrza – stały na nich w równych rzędkach filmy DVD wszystkich możliwych gatunków. Od obyczajów po horror, od rodzinnych kreskówek po ostre porno. Setki, może nawet tysiące płyt.

Po-prostu Teddy przeszedł przez gabinet, po czym zajął miejsce za biurkiem. Włączył komputer i rozsiadł się wygodnie, ręce wsuwając za głowę, a nogi kładąc na blacie.

– No dobra – powiedział do pustego pokoju. – Są jakieś wieści?

Przez chwilę nic się nie działo, ale i chłopak wyraźnie nie oczekiwał pilnej odpowiedzi. Komputer, zamiast odegrać melodyjkę na powitanie, głosem Alana Rickmana przedstawił się jako Metatron, głos Boga. Była to oczywiście scena z „Dogmy”, filmu tak pełnego majestatu – pomijając oczywiście finał, czysty slapstick – że Teddy'emu przypomniały się dawne czasy. Dni, gdy Metatron naprawdę przemawiał w imieniu Boga. Najmłodszy prezes świata uśmiechnął się na to wspomnienie.

– No i jak? Długo mam czekać? – zapytał jeszcze raz. – Bo zaraz muszę wracać na zebranie i...

W kącie przy kominku pociemniało i po chwili z oparów mroku ukształtował się mężczyzna. Pełna materializacja zajęła mu chwilę, w końcu jednak przyjął postać śniadego mężczyzny w eleganckim garniturze ze stójką.

– Jestem, panie – powiedział, chyląc głowę w pokornym ukłonie. – I przynoszę dobre wieści.

Po-prostu Teddy zdjął nogi z biurka.

– Jak dobre? – zapytał.

– Najlepsze, panie. – Mężczyzna w czerni uśmiechnął się. – Znaleźliśmy czwartego.

– No, to rzeczywiście znakomita wiadomość – stwierdził po-prostu Teddy. Jeśli przybysz oczekiwał szczególnego entuzjazmu, srogo się przeliczył. Na twarzy chłopaka nie było bowiem cienia radości.

Właściwie to wydawał się nawet trochę smutny. – Szkoda, że nie zdążę wyłudzić od Yakamoto wczesnych etiud Kurosawy. Mam tylko jakieś słabe ripy.

– Panie, możemy przecież zaczekać, aż...

– Nie! – Chłopiec pokręcił głową i nacisnął przycisk interkomu.

– Susie, powiedz zarządowi, że musiałem pilnie wyjść – polecił do mikrofonu. – Niech resztę decyzji podejmą sami. Cokolwiek ustalą, ja ich poprę.

– Coś się stało? – zapytała sekretarka wyraźnie zaniepokojona.

– Tak – odparł i się rozłączył. Wstał.

– Przyślij tu chłopaków – rozkazał mężczyźnie w czerni. – Niech pozbierają moje płyty. Te z domu też. No i, rzecz jasna, wszystkie gadzety. Miecz Vadera jest w łazience, a zegarek Bonda wisi w sypialni na kangurku.

Podszedł do kominka i rozłożył ręce. Zewsząd otoczyła go światłość. Ściana przed nim zaczęła bezgłośnie pękać jakby zasysana do wewnątrz – rozpadała się w oczach na kawałki cegieł i połamane deski boazerii. Wszystko wpadało w świetlistą otchłań, niknęło w srebrzysto-złotym wirze.

– Nie byłem tam od prawie dwóch tysięcy lat – westchnął po-prostu Teddy. – Od czasu Jego odwiedzin. Mężczyzna w czerni skinął głową.

– Tak, Gwiazdo Zaranna – powiedział. – Pamiętam. Osobiście zanośłem przecież twój list, a potem kilka razy instrukcje. Strzegłem twego domu i twej pozycji...

– Cóż, najwyższy czas, by zdjąć z ciebie to brzemię, przyjacielu.

To mówiąc, po-prostu Teddy, Gwiazda Zaranna, pierwszy spośród Upadłych wstąpił w wir światła wiodący do piekieł.

### *Hortonville, Wisconsin*

– Panie i panowie! Teraz niech wrażliwi zamkną oczy albo najlepiej w ogóle opuszczą salę, czeka nas bowiem mrozący krew w żyłach numer.

Pyzaty konferansjer zrobił pauzę potrzebną na nabranie oddechu i dostrzegł, że kilka osób rzeczywiście chyłkiem wychodzi. Nie był tylko pewien, czy to wynik jego zapowiedzi, czy też słabej formy mistrza.

Kiedyś, w dawnych czasach, Oculutus należał do najlepszych iluzjonistów. Mówiło się nawet, że jest nieślubnym synem Harry'ego Houdiniego i Maty Hari, który po ojcu odziedziczył niezwykle zdolności, a po matce grację ruchów... i niebywałą odporność na pewne wstydlive choroby. Mistrz niejednokrotnie gościł w telewizji, przez krótki czas prowadził nawet swój własny program, zdjęty jednak z powodu niezadowolającej oglądalności po pierwszym sezonie.

I właściwie wtedy wszystko zaczęło się sypać. Iluzjonista, który dumny z sukcesu pozaciągał masę długów na rzecz przyszłych zysków, nagle został nie tylko bez pracy, ale i z pustym grafikiem na nadchodzący rok. Żadnych wielkich scen, kilkutyśięcznej publiki i pokazów za grube pieniądze. Młodszy konkurenci nie spali przecież, szybko zajęli miejsce, które nierozważnie porzucił Oculutus.

Jakby tego było mało, jedna z jego asystentek, widząc, że to ostatnia szansa na łatwy pieniądź, oskarżyła go o molestowanie seksualne. Sprawa toczyła się długo przy pełnym udziale mediów – wtedy jeszcze sprawy o molestowanie pachniały nowością i gwarantowały pełnych współczucia widzów chłonących newsy na przemian z reklamowymi bloczkami.

Przysięgli stanęli murem za biedną dziewczyną, która ze łzami w oczach opowiadała, jak to magik najpierw rozcinał ją piłą, a potem wywoził jej dolną połowę do drugiego pokoju i tam dokonywał na niej czynów nierządnych. Wyjaśnienie, na czym polegała sztuczka z piłą i dlaczego wersja podana przez kobietę jest nieprawdopodobna, nie tylko nie przekonało ławników – uznali to za tani chwyt obrony – ale i ściągnęło na Oculutusa gniew kolegów po fachu. Większość z nich straciła bowiem przez owe wyjaśnienia swój popisowy numer.

Droga z sali sądowej do podrzędnych bud – jak ta, w której właśnie występował – wiodła już po równi pochyłej, nie omijając więzienia stanowego, gdzie iluzjonista spędził parę lat. W końcu magik poznał pyzatego konferansjera i jego brzydką dziewczynę – wiernych widzów jego telewizyjnego show, którzy

radośnie zgodzili się mu asystować. I tak to szło od trzech lat.

– Panie i panowie, raz jeszcze powitajmy Wiiiiieelkieeego Oooocultusa! – zawołał konferansjer i ustąpił miejsca wkraczającemu na scenę mistrzowi, chudemu, nieogolonemu mężczyźnie w za luźnym fraku i z włosami sterczącymi na wszystkie możliwe strony. Magik ledwo trzymał się na nogach, co musiało być widać nawet z końca sali.

O dziwo, facet siedzący w pierwszym rzędzie zaklaskał, a nawet zagwizdał przeciągle, wypluwając przyklejoną do wargi wykałaczkę. Grubas śpiący na fotelu obok obrócił się niespokojnie.

A potem rozpoczął się popisowy numer.



Pokaz przebiegł bez zakłóceń, ale i bez specjalnych zachwyków ze strony widowni. Sam mistrz też specjalnie się nie starał. Zupełnie odpuścił sobie machanie rękami, postawy i całą tę mowę ciała, która umilała publiczności czas między rozpoczęciem sztuczki a jej zakończeniem.

Mimo to siedzący w pierwszym rzędzie facet, ten od owacji i wykałaczki, przyglądał mu się z uwagą. Zbudził nawet śpiącego kumpla i zmusił do podziwiania sztuczki. A gdy wreszcie dziewczyna po cięciu, rozsuwaniu i cudownym złożeniu na powrót wyszła ze skrzyni, uśmiechnęła się szeroko.

– Patrz – szepnął do towarzysza. – Teraz dopiero będzie.

Asystentka podeszła do mistrza Ocultusa i podała mu rękę. W jednej chwili zza kulis niczym diabeł z pudełka wyskoczył konferansjer.

– Wielkie owacje, szanowni państwo! – zawołał na całą salę. – Wielki Ocultus i jego urocza towarzyszka Magdalena! Gorące brawa dla nich!

Ktoś z tyłu sali zaklaskał niemrawo, ale facet z pierwszego rzędu podjął te owacje z entuzjazmem godnym prawdziwego fana. Udzieliło się to nawet grupce nastolatków siedzących w środkowych rzędach.

Ocultus popatrzył na swoją asystentkę i skinął głową. Ta uśmiechnęła się niepewnie, a potem równocześnie złożyli swej publiczności głęboki, bardzo głęboki ukłon.

Nagle ucichły oklaski. Przez moment równy dwóm uderzeniom serca na sali zapanowała absolutna cisza, jak na weselu, gdy ktoś – rozochocony alkoholem – wygłosi niezręczny toast na temat wcześniejszego prowadzenia się panny młodej. Cisza tak bardzo bezdźwięczna, że nawet muchy krępowały się w niej latać.

Ktoś z tyłu jęknął przeciągle, ktoś inny zwymiotował, a kobieta w drugim rzędzie runęła na stojące przed nią krzesła. Jakiś dzieciak szepnął: *O Boże* i niczym płyta winylowa – jakiej pewnie w życiu nie widział – zaciął się na tych słowach. *Obożeobożeoboże...* – powtarzał w kółko. Pozostali widzowie jednak – wciąż w niemym przerażeniu – wlepiali oczy w scenę, gdzie na deskach leżał... tułów kobiety wraz z rękami i głową.

Jej dolna połowa wciąż stała na nogach, jednak to nie mogło długo potrwać, bo tryskała fontannami krwi. Korpus się nie poruszał, głowa lewym policzkiem przylegała do desek przy krawędzi sceny. Prawe oko o przesuniętej ku górze tęczę zmatowiało – jak to u trupa.

Mistrz Ocultus popatrzył na dziewczynę obojętnie, po czym wyciągnął zza pazuchy flaszkę i skinął na konferansjera, równie oniemiałego co widzowie.

– No co tak stoisz? Pomóż jej się podnieść – polecił.

Chłopak popatrzył na niego, na swoją rozpołowioną dziewczynę i znowu na iluzjonistę. Na sztywnych nogach zrobił jeden krok, potem drugi, aż wreszcie udało mu się zbliżyć do okrwawionego trupa i przykucnąć obok.

– Trzeba wezwać policję! – zawołał ktoś nagle. – To morderstwo!

Słowa te niczym magiczne zaklęcie ożywiły publikę. Ludzie rzucili się ku wyjściu, rozsuwając krzesła, przeskakując rzędy, zupełnie jakby na scenie wybuchł pożar. Jedni krzyczeli, inni się modlili, wciąż słychać też było odgłosy wymiotów...

I wtedy właśnie dziewczyna zamrugnęła, poruszyła głową, a potem podniosła się na rękach. Jej chłopak odskoczył z piskiem, ale pokręciła głową i zawołała go.

– Nie słyszałeś, głupku, mistrza? Podnieś mnie i postaw na nogi! – zażądała, po czym spojrzała w stronę tratującej się przy drzwiach publiki. – Hej, wy tam! Chcieliście niezwykłego numeru? No to macie! Oto wielki Ocultus!

Z pomocą konferansjera znów stała się całością. Przez chwilę trzymała ręce na biodrach, po czym wykonała pełen gracji ukłon i zbiegła ze sceny.

Iluzjonista powiódł wzrokiem po skołowanej publiczności, wreszcie zatrzymał spojrzenie na mężczyźnie z pierwszego rzędu i jego usta rozszerzył uśmiech. Najwierniejszy z widzów Ocultusa wypluł wykałaczkę, po czym niedbale zasalutował. Trącił swego grubego, przysypiającego kumpla i obaj zwyczajnie rozplłynęli się w powietrzu.



– Możesz mi wyjaśnić, szefie, co to właściwie miało być? – zapytał Bachus.

Szli teraz wzdłuż jednej z głównych uliczek Hortonville, po lewej mając słabo oświetlony miejski park, a po prawej rząd kolorowych sklepowych witryn. Mimo że był późny wieczór, a do tego środek tygodnia, na ulicach panował spory ruch. Częściowo odpowiadał za to autobus z Appleton właśnie odjeżdżający z przystanku – chwilę wcześniej przywiózł pracowników dziennej zmiany fabryki czekolady.

Robotnicy rozchodzili się niespiesznie do domów, rozważając na głos, czy mogą sobie pozwolić na jedno piwko i jedną kolejkę rzutek.

– O co właściwie pytasz, Bachusie? – Loki spojrzał na towarzysza z rozbawieniem. Wykałaczką przewędrowała z jednego kącika ust do drugiego. – Chcesz, żebym ci zdradził, na czym polegała sztuczka Ocultusa? To tajemnica zawodowa, a ja i on jesteśmy przecież kumplami po fachu. To by było nieetyczne.

Wyciągnął z kieszeni srebrną dolarówkę i zaczął przekładać monetę między palcami, w ogóle na nią nie patrząc.

– Kiedyś, gdy był jeszcze na topie, lubiłem jego pokazy – powiedział po chwili już poważnie. – Smutno mi było patrzeć, jak stacza się na dno. No bo pomyśl sam, występ w starym kinie w Hortonville. Można upaść niżej?

Bachus parsknął.

– I ty tak z dobroci serca? Oj, bo uwierzę! – Usunął się na bok, ustępując nadchodzącej z przeciwka kobiecie z dwiema ogromnymi reklamówkami. – Poza tym nawet jeśli, to raczej mu nie pomogłeś. Ludzie rzygali tam lepiej niż po tym ohydny roquatelle z dziewięćdziesiątego trzeciego. A wierz mi, to sztuka.

– Może i tak. – Kłamca wzruszył ramionami. – Ale numer zapamiętają, za to mogą ręczyć. Poza tym...

Przystanął i zmrużył oczy.

– Czy to nie ten kretyń, co cię wczoraj ochlapał? – Wskazał ręką mężczyznę przy rdzawoczerwonym pick-upie.

Farmer – co wnioskowali na podstawie flanelowej koszuli i ogrodniczek – dyskutował zawzięcie ze stojącym obok policjantem, machając trzymaną w ręce puszką coli. Bogowie nie słyszeli dokładnie, o co chodziło, ale docierały do nich strzępki zdań o wolnym kraju, prawach obywatelskich farmera i złodziejskich podatkach płaconych na takich mundurowych darmozjadów.

– Założę się, że jest wypity – stwierdził Kłamca, mrugając porozumiewawczo do boga wina i opojów.

– Jest – potwierdził Bachus. – A ja go zaraz tak doprawię, że będzie mógł iść w szranki z Ruskimi.

– No, nie wątpię.

Patrzyli przez chwilę, jak ruchy farmera stają się coraz mniej składne, a okrzyki coraz bardziej bełkotliwe. W końcu mężczyzna runął bezwładnie prosto pod nogi policjanta.

– Następnym razem będzie uważał na drodze. – Loki wypluł rozgryzioną wykałaczkę i przecesał ręką włosy. – Co on, do kościoła nie chodzi? Nie wie, że Bóg może być w każdym?

Bachus skinął głową i otrząpął ręce jak po dobrze wykonanej pracy.

– Wracając do tematu, co z tym iluzjonistą?

– Oj, uczepliłeś się faceta! Zwyczajnie wpadł w dołek, chciał sprzedać duszę diabłu za choćby jeden dobry numer. Byłem bliżej, no i miałem zabawny pomysł na finałową sztuczkę. Sam zresztą widziałeś, że

niezły. No a w zamian dostałem to.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął elegancką kopertę z czerpanego papieru. W środku był podpisany krwią cyrograf.

– Kiedyś może się zdarzyć, że zagram z diabłem w karty – powiedział. – A swojej nie mam, by postawić.

– No tak.

Skręcili w najbliższą przecznicę, gdzie tuż za rogiem znajdowało się wejście do całodobowej restauracji. Odkąd dwa dni temu zawitali do tej miejsciny, jadali wyłącznie tutaj. Było to bowiem jedyne miejsce, gdzie podawali coś więcej niż wariacje na temat kurczaka.

Loki pchnął drzwi. Z wnętrza doszedł go zapach smażonej wołowiny zmieszany z aromatem świeżo parzonej kawy. Westchnął z rozrzewnieniem i wszedł do środka. Bachus podążył za nim.

Lokale jak ten, o podobnym wystroju i menu, można było znaleźć wzdłuż autostrad w całych niemal Stanach. Długi kontuar z dostawionymi doń barowymi krzesłami, trzy stoliki w głębi sali i rząd boksów o siedzeniach obitych czerwonym skajem wzdłuż szyby. Na ścianach obowiązkowo archiwalne kalendarze Coca-Coli, a w kącie szafa grająca pełna przebojów Johnny’ego Casha i zespołu Lynyrd Skynyrd. Nawet klienci – zarośnięci, z podkrążonymi oczami, w pomiętych ubraniach – wszędzie wyglądali tak samo. Jakby dekorator dostarczał ich w pakiecie z meblami.

Loki i Bachus usiedli w boksie pod samą ścianą, tak by móc spokojnie obserwować cały lokal. Nie dlatego, że mieli po temu jakiś powód, ale pewnych nawyków i odruchów nie należało tłumić. Obaj zamówili po kawie, a Kłamca zażyczył sobie również hamburgera z frytkami. Potem długo patrzył za odchodzącą kelnerką.

Bachus podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Takiej nawet Eros by nie pomógł. A właśnie! – przypomniał sobie. – Rano dzwonił Eros. Mówił, że u nich wszystko w porządku. Chodzą na szkołę rodzenia. Jenny robi postępy we francuskim...

Kłamca sięgnął do pojemnika z wykałaczkami.

– Nadal się na mnie gniewa? – zapytał.

– Eros?

– Jenny, idioto!

– Trudno powiedzieć. Nie rozmawiają o tobie.

– Ach!

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Kelnerka przyniosła im zamówione kawy i powiedziała, że na hamburgera będą musieli chwilę poczekać. Bachus domówił szarlotkę na ciepło.

– Wiesz? – powiedział w końcu Loki. – Myślę, że przydałoby mi się kilka dni wolnego. Sam dokończysz tę sprawę.

– Polecisz do niej?

Loki wzruszył ramionami.

– Pogodzę się z nią choćby dla samej miny Michała – odparł. – Skrzydlaty sukinsyn cieszy się jak dziecko, ilekroć jest między nami coś nie tak. Nie dam mu tej satysfakcji.

– Słusznie, szefie – stwierdził Bachus, upijając łyk kawy. – Grunt to właściwa motywacja.

Wiedział, jak zresztą wszyscy, których mogło to interesować, że relacje Kłamcy z Wodzem Zastępów ostatnio się popsuły. Oficjalnie z powodu zajść w fabryce Mikołaja. Sądząc po tonie i doborze słów, archanioł albo nie chciał do końca uwierzyć, że Lokiego skatowały faerie – nie dość, że małe, drobne i subtelne, to jeszcze zupełnie nieskłonne do przemocy – albo przeciwnie, wierzył i uznał, że nie potrzebuje mięczaka, który daje się pobić wróżkom.

W rzeczywistości jednak przyczyną konfliktu była Jenny. A właściwie jej zachowanie, od czasu gdy dowiedziała się o piórach. Zamiast, zgodnie z archanielskimi oczekiwaniami, rzucić Kłamcę w diabły, jeszcze bardziej przyłgnęła do niego, twierdząc nawet, że nic tak dobrze nie umacnia związku jak wyjawiona tajemnica i zaleczony kryzys.

Od tamtej pory Michał, który o związkach wiedział tyle, ile udało mu się wyczytać w książce „Jak zbudować trwałe związki. Poradnik dla opornych”, szukał sposobu osłabienia ciasno splecionych więzi.



Padło na *Nie pielęgnowany i niedogłądany związek jest jak roślina, o którą nikt nie dba – usycha.*

I wtedy nagle okazało się, że większość robót Lokiego zaczęła wymagać długiego czasu – najpierw przygotowań, a potem biernego wyczekiwania na pierwszy krok drugiej strony. Jak chociażby czatowanie w Hortonville, które każdemu wyszłoby bokiem już po kilku godzinach. A gdy Kłamca zaaferowany pracą popełnił pierwszy błąd w kontaktach z Jenny, archanioł Michał, jak przystało na wybitnego stratega, wbił się klinem pomiędzy wyłamane szeregi i z każdym dniem powiększał niewielką z początku szczelinę. Powoli, ale systematycznie...

Loki wstał.

– Wiesz, co masz robić, na wypadek gdyby się zjawił? – powiedział, sięgając do portfela, ale po chwili namysłu schował go z powrotem do kieszeni. – Żadnych akcji solo, nawet jeśli poczujesz nagle uczucie wkurwionej ambicji. Zduś ją w sobie i zadzwoń do nich. Te skrzydlate palanty mają obowiązek ci pomóc.

– Jasne, szefie.

– No! – Kłamca uśmiechnął się i wsunął do ust wykałaczkę. – To do zobaczenia.

Zerknął na boki, czy nikt nie patrzy, a potem się zdematerializował. Chwilę później stojąca przy kontuarze kelnerka podskoczyła z piskiem, jakby ją ktoś klepnął w tyłek.

## Paryż

Sala, w której mieściła się szkoła rodzenia madame Dubois, na co dzień służyła do treningów dzielnicowej sekcji taekwondo. Współdzielenie sali miało, rzecz jasna, swoje plusy – wśród których prym wiodł płacony wspólnie czynsz – ale od pewnego czasu stwarzało niemal wyłącznie kłopoty.

Zdarzało się na przykład, że przyszli rodzice znajdowali na podłodze wybite zęby albo musieli rozpoczynać zajęcia od złożenia prowizorycznego ringu czy pozbierania rozrzuconych wszędzie materacy. Oczywiście nie pozostawiali sportowcom dłużni, racząc ich na przykład widokiem pieluszek ze specjalną mazią udającą dziecięce kupki albo kwaśnym zapachem rozlanego mleka. Wszystko to przypadkiem, z powodu pośpiechu po zajęciach i w wyniku nieuwagi. Fakt, że wedle ustaleń sprzątaczkę wynajmowała ta ze szkół, która bardziej jej potrzebowała – czy to po zajęciach, czy przed nimi – z pewnością nie miał tu nic do rzeczy.

Po kilku tygodniach tej wojny podjazdowej okazało się, że właściciele obu szkół – madame Dubois i sensei Chiang – właściwie nie musieli się już zupełnie angażować w starcie. Kursanci doskonale radzili sobie sami, wynajdując coraz to wredniejsze pomysły. Chwilami wyglądało nawet na to, że sprzątanie po poprzednikach i obmyślanie słodkiej zemsty jest dla nich ważniejsze niż sedno zajęć.



– Jeszcze tutaj, Pierre – powiedziała Sophie Laurent rozłożona na pluszowym pufie. – To chyba plama krwi.

Potężny mężczyzna o śniadej twarzy, mocujący się właśnie z zaklinowanym w podłodze słupkiem ringu, przeprosił kolegów i podbiegł do żony, po drodze wyciągając zza paska ściereczkę.

– Gdzie, *ma chérie* <sup>[1]</sup>?

Sophie wskazała smukłym paluszkiem, drugą ręką gładząc zaokrąglony brzusek wyglądający jak wsunięta pod sweterek piłka do koszykówki. Pierre Laurent łapał się czasami na myśli, że tak może być w istocie – nie widział żony nago od dnia, gdy ta dowiedziała się, że jest w ciąży. Jedyne, co mu teraz pokazywała, to krzyże (domagając się masażu) albo żyłaki na nogach (oczekując współczucia). Miał nadzieję, że to wszystko zmieni się po porodzie. Jeśli nie, to – przyrzekał sobie – zwyczajnie wyrzuci ją z domu, a dzieciaka – sprawcę zamieszania – przybije za uszy do drzwi. Tak dla satysfakcji.

Pochylił się nad wskazanym miejscem.

– To nie jest krew, kochanie. To...

Podniósł głowę i dostrzegł, że żona już go nie słucha. Jak wszystkie inne kobiety patrzyła

z rozdziawionymi ustami w stronę drzwi. Pierre nie musiał się oglądać, by wiedzieć, kogo tam zobaczy. Wystarczyło mu ukradkowe spojrzenie na wykrzywione wściekle twarze kumpli.

*Znowu ten „fils de pute”<sup>[2]</sup>* – pomyślał, podnosząc się z kolan i chowając ściereczkę za pasek. – *Amerykaniec.*

Otrzeptał kolana i wytarł ręce w spodnie, potem przeczesał włosy. Nie zamierzał być niegrzeczny. Ostatnim razem, gdy spróbował, ten chuderlawy blondyn o mało nie złamał mu ręki, a gdy na dodatek dowiedziała się o tym Sophie, zasugerowała, by trenował psią sztuczkę z lizaniem po jądrach, bo na nią nie ma już co liczyć.

Amerykaniec jak zwykle najpierw pomógł żonie zdjąć płaszcz, następnie przeszedł wzdłuż sali, witając się ze wszystkimi. Był miły, grzeczny i słodki, aż mdliło. Żartował, uśmiechał się i z zainteresowaniem pytał o przebieg ciąży, mdłości i inne sprawy, które dla każdego normalnego faceta na zawsze pozostaną tabu. Do tego wyglądał jak żywa reklama Towarzystwa Przyjaciół Niewiarygodnego Seksu. O ile takie gdzieś w ogóle istniało.

– Cześć, Pierre – powiedział wreszcie po angielsku, gdy przyszła kolej na powitanie z Laurentem.

Ten uściśnął podaną dłoń, szczerząc się w uśmiechu.

– *Tête moi le noeud, pédé!*<sup>[3]</sup> – powiedział nie za głośno.

Amerykanin zaśmiał się jak z najprzedniejszego dowcipu, ale nagle wzmocnił uścisk. Zagrzechotały kości, a Laurent skrzywił się lekko.

– Biorę lekcje francuskiego, Pierre – głos Amerykanina brzmiał miło, prawie sympatycznie. – I mogę cię zapewnić, że jeśli jeszcze raz powiesz coś takiego, nie tylko ja, ale i nikt inny nie będzie miał więcej ochoty zakosztować twojego małego specjału.

Puścił rękę Francuza i klepnął go w ramię, a potem poszedł przywitać się z pozostałymi. Każdy jego krok był uważnie śledzony przez siedzące na pufach kobiety. Obserwowały go wszystkie... z wyjątkiem tej, z którą przyszedł.

Niedługo potem rozpoczęły się zajęcia.



– Dobrze, moi kochani. – Madame Dubois zaklaskała w ręce. – Wystarczy tych ćwiczeń oddechowych. Czas na coś nowego.

Ściągnęła wargi i zmarszczyła brwi, palcem wskazującym gładząc się po nosie. W ten sposób chciała pokazać wszystkim, że intensywnie myśli. Gesty jak ten zostały jej jeszcze z dawnych czasów.

Zaraz po wojnie, jeszcze jako nastolatka, madame Dubois trafiła do klubu „La Rose” stanowiącego dość groteskowe połączenie baru ze striptizem i teatru molierowskiego. Polegało to na tym, że zanim człowiek zobaczył kawałek cycka, musiał najpierw obejrzeć fatalnie odegraną scenę rozmowy między skąpcem Harpagonem a jego córką Elizą albo równie kiepski pojedynek Don Juana z ojcem uwiedzionej Anny. Ci, co mieli okazję do porównań, zgodnie twierdzili, że aktorsko lepiej sobie radzą współczesne fabularyzowane pornosy. No ale przynajmniej amerykańscy turyści mieli okazję chociaż liźnąć europejskiej kultury.

– Żeby pokazać następne ćwiczenie, będę potrzebowała ochotnika spośród panów – powiedziała madame Dubois.

Żaden z mężczyzn nie podniósł ręki. I tak było wiadomo, kogo wybierze.

– Pan Ros?

Amerykanin wstał z klęczek.

– Wystarczy Elliot, madame.

– Dobrze, Elliocie. – Instruktorka uśmiechnęła się, w zamiarze słodko i powabnie, jednak ostry makijaż nadał temu uśmiechowi demoniczny wyraz. Gdyby zamiast spodni od dresu i T-shirta miała na sobie obcisłą suknię z wysokim kołnierzem, wyglądałaby zupełnie jak zła macocha Śnieżki. – Stań, proszę, za mną.

Gdy wykonał polecenie, chwyciła go za dłonie i położyła je na swoich piersiach. Docisnęła mocno, wykonując koliste ruch.

– To, co teraz zaprezentujemy, określa się mianem masażu laktacyjnego – powiedziała, nie przestając masować sobie piersi rękami Rosa. – Przydaje się w przypadku zastojów pokarmu, ale stosuje się go także profilaktycznie w celu pobudzenia laktacji. Ach...

Na moment przymknęła oczy i westchnęła cicho, opierając głowę na ramieniu Elliota. Przeżyła w życiu wiele, a jej kręgosłup do dziś pamiętał te akrobatyczne pozycje Kamasutry, których tylko ona odważyła się spróbować. Właściwie madame Dubois mogła powiedzieć, że żadna ścieżka wiodąca do raju cielesnych rozkoszy nie była jej obca. A mimo to w tym momencie wszystko, co przeżyła do tej pory, wydawało jej się blade i bez smaku. Z dłoni Elliota Rosa emanowała esencja rozkoszy.

Wreszcie po dłuższej chwili – czując na sobie ciężar nienawistnych spojrzeń pozostałych kobiet – opamiętała się. Potrząsnęła głową.

– Proszę, ja teraz pójdę na kawę, a państwo niech sami spróbują – powiedziała drżącym głosem, uwalniając dłonie Rosa. – Pan także. Pamiętajcie, to mają być delikatne koliste ruchy.

Mężczyznom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać – niemal natychmiast rzucili się ku żonom. Pewnie jeszcze pół roku wcześniej żaden z nich nie szalałby tak na myśl o dotknięciu piersi własnej żony, do tego jeszcze przez bluzkę i na oczach kilku innych par – uchodzili w końcu za naród najwspanialszych kochanków świata, musieli dbać o dobre imię. No ale to było wtedy... Sześć miesięcy to dość czasu, by nabrać pokory i cieszyć się każdym uśmiechem losu. Ciężę żon zrobiły z nich prawdziwych epikurejczyków.

Ros zajął swoje miejsce za pufą i wyciągnął przed siebie dłonie.

– Ani mi się waż, Erosie! – syknęła ostrzegawczo Jenny.

– Jesteśmy podobno małżeństwem – szepnęła jej do ucha bóg miłości. – Nie wyobrażam sobie, bym w tej sytuacji nie mógł cię dotknąć.

– A wyobrażasz sobie siebie bez jaj? Bo ja, znając Lokiego, nie mam z tym większego problemu.

No tak, to był argument, Eros musiał przyznać. Pewne rzeczy nawet taki żartowniś jak Loki traktował poważnie. Dobieranie się do jego dziewczyny z pewnością do nich należało.

– Ja chciałem tylko wykonać swoje obowiązki – powiedział tonem usprawiedliwienia. – Zobacz, wszystkie kobiety się na nas gapią. Bezcynnością wzbudzamy podejrzania.

– Nie na nas, tylko na ciebie. – Jenny wzruszyła ramionami. – No i skoro tak, to wymyśl coś. Jesteś przecież bogiem, nie?

I znowu punkt dla niej. Eros przeklął w myślach dzień, w którym złożył Lokiemu obietnicę, że nie będzie stosował na tej dziewczynie żadnych sztuczek. Z zaspokojoną i zrelaksowaną kobietą jakoś łatwiej potrafił się dogadać.

– Dobra – mruknął w końcu. – Niech będzie po twojemu.

Zmrużył oczy i zacisnął pięści, a po chwili z kąta dało się słyszeć rozkoszne jęknięcie. Niedługo potem kolejne z drugiego krańca... aż wreszcie cała sala wypełniła się pojękiwaniem i posapywaniem.

Dziewczyna siedząca obok Jenny odchyliła głowę do tyłu i popiskiwała cicho.

– Dalej, nie przestawaj, masuj! – krzychała ze swojego pufa Sophie, kładąc ręce na dłoniach rozanielonego Pierre'a. – No dalej, leniwy dupku!

Eros otworzył oczy... I zaraz zrobił zawstydzoną minę.

– No dobra, trochę przesadziłem – powiedział, przyglądając się swojemu dziełu. – I myślę, że powinniśmy się teraz szybko zbierać.

Przeniósł wzrok na Jenny.

– No chyba że masz ochotę popatrzeć? – Uśmiechnął się łobuzersko. – W niektórych lokalach słono byś zapłaciła za taki pokazik.

Jenny z trudem podniosła się z pufa i obciągnęła bluzkę.

– Stanowczo za dużo czasu spędzałeś z Lokim – stwierdziła, przekrzykując jęki i nawoływania. – Macie to samo kretyńskie poczucie humoru. Idź po płaszcze.

Wychodząc, minęli na korytarzu madame Dubois, która wracała, trzymając w ręku kubek z gorącą

kawą. Szła powoli, więc zanim dotarła na salę, sytuacja zdążyła się już wyrwać spod kontroli.  
Już od progu pomyślała, że ci od taekwondo będą mieli naprawdę masę sprzątanina.



Do domu dotarli przed siódmą, po drodze robiąc jeszcze zakupy w pobliskim marketcie. Taszczenie czterech ciężkich siatek na trzecie piętro po stromych kamiennych schodach było dla boga miłości jednym z tych nowych doświadczeń, których wolałyby nigdy nie doznawać. Drugie miejsce na liście – aktualizowanej od przyjazdu do Francji wielokrotnie – zajmowały rozmowy z podstarzałym właścicielem kamienicy, panem Pleurdeau.

Mężczyzna ten, emerytowany pracownik paryskiej poczty, każdego dnia wsuwał swym lokatorom pod drzwi karteczkę z informacją, ile jeszcze dni zostało do najbliższego czynszu. Czasem dołączał do nich listy brzmiące mniej więcej tak:

*Szanowny Panie Ros,*

*Ostatnimi czasy zaobserwowałem u państwa tendencję do dwukrotnego zapalania światła podczas jednego wejścia na górę. Rozumiem, że szanowna małżonka może mieć problem z poruszaniem się szybko, ale w związku z zaistniałą sytuacją zalecałbym zaopatrzenie się w latarki. Załączam ulotkę z pobliskiego marketu, gdzie właśnie trwa promocja.*

*Z poważaniem  
Ernest Pleurdeau – gospodarz domu*

Tego dnia sprawa musiała być poważniejsza, bo jak się okazało, list nie wystarczył. Pan Pleurdeau stanął w progu swego mieszkania, ledwie zamknęli za sobą drzwi od podwórza.

– Dzień dobry, pani Ros – powiedział, przyczesując pojedynczy kosmyk włosów zdobiący łysą poza tym czaszkę. – Panie Elliocie, czy mogę na chwilkę?

Eros wzruszył ramionami i postawił siatki na schodach.

– Zaraz będę – szepnął do Jenny, która nawet na niego nie spojrzała, tylko ruszyła po schodach z gracją i zwinnością wielce niezwykłą jak na kogoś, kto lada chwila może urodzić. – Co się stało, panie Pleurdeau?

– Chodzi o emisję hałasu, panie Elliocie. – Gospodarz wyciągnął z tylnej kieszeni wygniecioną kartkę.

– Przeprowadziłem na własną rękę pewne badania i wyszło mi, że jesteście państwo najgłośniejszymi z lokatorów. Oczywiście oprócz tej mendy ze strychu, ale jego to już nie liczę. W przyszłym tygodniu kończy mu się umowa najmu.

– Najgłośniejsi, mówi pan? – zapytał Eros i westchnął głośno. Jeśli mieszkanie w tej kamienicy było jakimś żartem Lokiego, to wyjątkowo mało śmiesznym. – Dobrze, postaramy się coś z tym zrobić. Drogie było to badanie?

– Głupstwo! – Pleurdeau machnął ręką. – Doliczę do czynszu. Który zresztą, pragnę przypomnieć, muszą państwo zapłacić w przeciągu najbliższych szesnastu dni.



Jenny zatrzymała się przy drzwiach i sięgnęła do torebki w poszukiwaniu kluczy.

W ciągu tego trzymiesięcznego pobytu we francuskiej stolicy bywały dni, gdy nie tylko godziła się z sytuacją, ale nawet próbowała zrozumieć Lokiego. W końcu, kiedy tylko powiedziała, że marzy o studiach w Paryżu, zrobił wszystko, by jej to załatwić. Pewnie gdyby nie stracił wszystkich pieniędzy po pijaku w Vegas, zwyczajnie by zapłacił i za chesne, i za porządne mieszkanie. Ale skoro nie mógł, musiał szukać innych rozwiązań.

Problem w tym, że przychodząc do niej z zaświadczeniem o uzyskaniu stypendium fundacji „Rodzina bez granic” – specjalnej jednostki pomagającej młodym małżeństwom z dziećmi – odebrała to jako długą oczekiwaną propozycję wspólnej przyszłości. Nie spodziewała się, że następnym, co usłyszy, będą zdania:

*Pojedziesz tam pod opieką Erosa i będziesz udawać, że jesteś w ciąży. Ja będę wpadał w wolnej chwili i*

*już na miejscu wymyślimy, co dalej.*

Naprawdę starała się myśleć, że mówiąc to, Loki chciał dobrze. A potem przychodziły inne dni. Takie, gdy nienawidziła z całego serca wszystkich facetów.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Z kuchni dobiegł ją jakiś szelest i dźwięk odkładanej łyżeczki.

*Facetów i facetom podobnych* – dopowiedziała sobie w duchu.

– Jeśli to ty, Michale – zawołała, zamykając za sobą drzwi – to radzę ci: zabieraj skrzydła w troki i wypieprzaj! Nie mam dziś ochoty na twoje kazania!

Poczuła na twarzy chłodny powiew, a gdy weszła do kuchni, zobaczyła na stole parującą herbatę. Skosztowała, jednak zaraz wypłula do zlewu. Archanioł posłodził chyba z pięć łyżeczek.

– Faceci! – prychnęła, odpinając sztuczny brzuch.

## Rozdział 2

### Piekło



źwiąk trąb słycać było już z daleka. Wznosił się wysoko ponad jęki cierpiących i śmiech ich oprawców, wwiercał się w oszalałe z bólu umysły, sięgając do najgłębiej ukrytej resztki świadomości i głosząc swe poselstwo: *Oto piaszczystą Aleję Potępienia przemierza właśnie sam Aeśma Daeva, Książę Piekieł, Pan wszystkiego, co przegniłe i rozpustne...*

Było to doprawdy niezwykle wydarzenie. Spośród wszystkich demonów sprawujących władzę pod nieobecność Lucyfera to jego właśnie, Aeśmę zwanego także Asmodeuszem, najtrudniej było zobaczyć. Zazwyczaj nie odpowiadał na wezwania innych, rzadko też sam wzywał kogoś do siebie. Swą domeną zarządzał za pomocą sukubów i inkubów, którym wierzył bezgranicznie.

Trudno się więc dziwić, że na wieść, iż po raz pierwszy od stuleci zdecydował się wyruszyć w podróż, demony-oprawcy przerywali pracę i podchodzili bliżej krawędzi Alei, by przyjrzeć się jednemu ze swych władców.

Książę, chociaż owrzodzony i tak tłusty, że wręcz rozlewał się na ogromnej platformie – z trudem niesionej przez dwa tuziny wychudłych, nagich chłopców – emanował powagą i dostojeństwem. Ci, którzy po raz pierwszy spoglądali na jego twarz, nieodmiennie dostrzegali w nalanym obliczu ślad anielskiej doskonałości i dziwili się na wieść, że Asmodeusz nie był jednym z Upadłych, a jedynie przystał do nich nakłoniony swego czasu przez Azazela. Najwyraźniej jednak, by wejść na sam szczyt, wystarczy wymyślić sobie jakieś zajęcie, w którym się będzie niezastąpionym. Fakt, przed Asmodeuszem jakoś nikt nie zwracał większej uwagi na zgniliznę.

Ponownie zabrzmiały trąby i kolejne grupy demonów zebrały się nad krawędziami przepaści, by spojrzeć w dół, na Aleję.

Ściany, na których szczytach stali, uformowane były z poskręcanych w dziwnych pozach potępionych – im to właśnie droga zawdzięczała swą nazwę. Pomiędzy cierpiącymi nieustannie przepływały strumienie lawy, z daleka wyglądające jak wyjątkowo wymyślna spoina. Wypełniała każdą wolną szczelinę, wywołując u odbywających karę ból, ale ich ciała pozostawiając nienaruszone. Tak było prościej, niż obdarzać wszystkich zdolnością regeneracji. No i milej pracować bez odoru palących się jelit – smrodu, który nawet niewrażliwi na ogół oprawcy znosili z wielkim trudem.

Pan zgnilizny przyglądał się temu wszystkiemu, stwierdzając, że jest złe... Czyli dokładnie takie, jak być powinno. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. I wtedy właśnie z oddali dobiegł go krzyk:

– Asmodeuszu! Asmodeuszu, zaczekaj!

Książę uderzył zaciśniętą pięścią w platformę. Na raz niosący go chłopcy zatrzymali się, drugie uderzenie – i odwrócili tarczę, tak by ich pan mógł spojrzeć za siebie.

Asmodeusz musiał zmrużyć oczy, by dostrzec wołającego – wątłą sylwetkę na tle tańczących w oddali płomieni płonącej siarki. Rozpoznał go jednak od razu. Piaszczystą drogą powoli zmierzał ku niemu Belial, zwany Niegodziwcem. Nie wyglądał, jakby mu się spieszyło.

– Powinieneś częściej patrzeć na drogę, grubasie – powiedział, gdy wreszcie zrównał się z platformą. – Albo przynajmniej kazać, by robiły to te twoje dzieciaki.

– One mają patrzeć przed siebie – odparł Asmodeusz. – I zabawiać mnie podczas postojów. Niczego więcej od nich nie oczekuję.

Wyciągnął rękę, by pomóc rozmówcy wdrapać się na górę, a wtedy jeden z chłopców wyszedł spod platformy i zgiąwszy grzbiet, posłużył demonowi jako podnózek. Po chwili Belial siedział już obok Asmodeusza.

Niegodziwiec był drobny nawet jak na Upadłego. Gdy zaczęło się całe to zamieszanie związane z buntem, Metatron właśnie o nim śpiewał, formując go z nicości. Belial, wówczas jeszcze nienazwany, miał – jak wszyscy stworzeni w owym czasie – pomóc w ujarzmieniu Lucyfera, ledwie jednak otrzymał usta, z całych sił wykrzyczał swe TAK dla nowego porządku. Pewnie gdyby zrobił to chwilę później, nie miałby zapadłej klatki piersiowej i lewej ręki drobnej jak u dziecka, ale i tak uważał, że warto było. Wszak lepiej zostać zdeformowanym księciem Piekła niż doskonałym sługą w niebiosach.

– Wciąż podróżujesz bez eskorty i towarzystwa – zauważył demon rozpusty. – Do tego pieszo. Nie uważasz, że to ci nie przystoi?

– Zasady? Dla nas? – Belial roześmiał się. – Poza tym lubię spacerować Aleją Potępienia. Wyjce zawsze dostarczają mi rozrywki.

– No tak.

Całe piekło wiedziało, co kaleki Upadły robi potępionym. Wspominał o tym nawet jeden z psalmów, mówiąc o Belialu i *strumieniu diabła*. Późniejsze tłumaczenia zgubiły jednak kompletnie sens tego zdania, zastępując właściwą frazę zwrotem *odmęty niosące zagładę*. Tym samym usunięto z Pisma jedną z niewielu konkretnych wskazówek dotyczących życia po śmierci.

– Myślisz, że to on? – Zapytał Asmodeusz. Bardzo chciał, by zabrzmiało to lekko, jak zagajenie niezobowiązującej rozmowy, ale niespecjalnie się udało. – Że naprawdę wrócił?

– Tak. I ty też tak myślisz.

– Doprawdy?

Belial sięgnął ponad brzuszyskiem towarzysza do patery z owocami. Podniósł z niej kiść winogron.

– A czy w przeciwnym razie ruszyłbyś swe tłuste dupsko na spacer?

Przez chwilę jechali w milczeniu. Z daleka dobiegały ich ryki trąb, z lewa i prawa pojedyncze krzyki i wycia – znak, że i wśród oprawców zdarzali się nadgorliwcy. Ze ścian spoglądały tysiące wykrzywionych bólem twarzy. Jak w zamkowej galerii, tyle że tu oczy obrazów naprawdę za nimi podążały.

Belial nie wytrzymał i cisnął w jednego z potępieńców winogronem.

– Dziękuję – wycharczał ten, zlizując sok. Upadły skłonił mu się z drwiną.

– Swoją drogą, to trzeba Lucyferowi przyznać, że wiedział, jak się ukryć – powiedział. – Kazałem moim sługom przesłedzić te prawie dwa tysiąclecia, kiedy siedział na ziemi. I wiesz co? Ciągłe był na świeczniku: jako królewski doradca, kupiec, bankier, producent broni, wreszcie przez dwa, nazwijmy to, pokolenia potentat telewizyjny i prasowy. Dwa razy został człowiekiem roku „Timesa”, najpierw jako po prostu, a potem jako swój własny syn, gdy powiększył imperium dziesięciokrotnie. Aha, jeszcze ciekawostka! To on stał za wszystkimi spektaklami Richarda Knoxa, które sprawiły, że ludzie gubili sens słowa *prawda*. Nie wyszło mu tylko raz, podczas „Prawdziwego życia Jezusa”, ale wtedy w sprawę wmieszał się...

– Loki! – Prychnął Asmodeusz. Miał osobisty powód, by go nie lubić. W ciągu ostatnich dwóch lat Kłamca wyciął mu w pień blisko połowę pracujących wśród ludzi sukubów.

– Tak, właśnie – potwierdził Belial. – Ciekaw jestem, jak Gwiazda Zaranna upora się z tym małym problemem.

Asmodeusz podniósł z patery zepsute jabłko i wgryzł się w miękką brązową skórkę.

– Pod warunkiem – rzekł, młaszcząc – że pozwolimy mu wrócić do władzy.



Lucyfer zatrzymał się przed lustrem i poprawił krawat. Wciąż przyjmował postać po prostu Teddy'ego, więc wyglądał teraz jak uczeń szkoły średniej idący na rozdanie dyplomów. Podniósł z półeczki grzebień i poprawił włosy zaczesane na mokro do tyłu.

– Jak wyglądam, Mammonie? – Zapytał stojącego w kącie mężczyznę w czerni.

Ten kaszlnął w zaciśniętą dłoń.

– Trochę... Tego... Poważniej, panie – powiedział, patrząc najpierw w podłogę, potem w sufit.

Gwiazda Zaranna pasknęła śmiechem.

– Ale wciąż nie dość, by brali mnie serio, tak?

Przeszedł przez komnatę i zatrzymał się przy stosie drewnianych skrzyń z logo GoodTV. To właśnie w nich spoczęły wszystkie drobiazgi, które zgromadził, mieszkając na ziemi. Większość z nich stanowiły płyty CD i DVD – zawierające wszystkie wartościowe albumy i filmy, jakie udało się człowiekowi stworzyć – ale były tam również między innymi ubrania na licencji Matriksa, kolekcjonerskie figurki bohaterów uniwersum Marvela i atrapy mieczy z „Władcy Pierścieni” Jacksona.

Lucyfer pochylał się i zaczął czytać etykiety opisujące zawartość skrzyń.

– Wiesz, tak naprawdę to nawet się cieszę, że mój nowy wygląd wywoła pewne kontrowersje – rzekł. – Nie zależy mi na ich aprobacie, tylko poparciu planu. A do tego powinno ich przekonać to, co udało się nam zebrać.

Wciąż kucając, przesunął się do następnej skrzyni i etykiety. Na zewnątrz było już słycać trąby oznajmiające przybycie Asmodeusza. Mammon podszedł do okna.

– Wiesz, kiedy dwa tysiące lat temu zawitał do nas Syn, dał mi dużo do myślenia – kontynuował Władca Piekieł. – Miałem wtedy na ławie wszystkie raporty na temat jego działań i wszystkie głoszone kazania spisane na każdym możliwym nośniku, od rytów na glinie po płyty ludzkiej skóry zapisane krwią. Oczywiście nie zdążyłem przeczytać tego wszystkiego przed jego przybyciem, ale gdy odszedł, biorąc, co jego, zaraz zabrałem się do lektury. I wtedy doznałem objawienia.

Mammon zerknął na niego niepewnie, zaraz jednak ponownie przeniósł wzrok na linię horyzontu, gdzie widać już było lektykę demona rozpusty zbliżającą się od strony Alei Potępienia. W takim tempie powinni dotrzeć do pałacu za nie więcej jak trzy kwadranse.

Lucyfer tymczasem zdążył już obejrzeć cztery skrzynie i właśnie zabierał się do piątej.

– To powinno być tutaj – powiedział. – I na czym to ja? Ach, tak... Doznałem objawienia. Nie wiem bowiem, czy specjalnie, czy też zupełnie przez przypadek, ale Jezus stał się moim Sun Tzu – prawdziwym mistrzem sztuki wojennej. Bo pomyśl tylko, ile mądrości kryło się w jego słowach... O, jest!

Wstał, oderwał wieko skrzyni i wyjął z niej atrapę miecza świetlnego. Włączył ją, zamachał kilka razy. Rozległ się dźwięk, jakby przeleciał rój komarów.

– Takie na przykład *stańcie się jak dzieci*. O ileż łatwiej zawojować świat, będąc genialnym nastolatkiem na rolkach niż rekinem z Wall Street... A to tylko jeden z licznych przykładów.

– Z pewnością masz rację, panie. – Mammon pokiwał głową, choć tak naprawdę nie miał pojęcia, o co chodzi Gwieździe Zarannej. – Nadchodzi Asmodeusz, a wraz z nim chyba Belial, choć z tej odległości trudno ocenić. Powinni być lada chwila.

– Świetnie. – Lucyfer stanął przed lustrem i uchwyciwszy oburącz rękojeść, stanął bokiem. Przyjrzał się sobie krytycznie. – Wiesz? Mogłem nie czekać z tą Apokalipsą aż do zwieńczenia nowej gwiazdnej sagi. Teraz pozostał mi tylko niesmak i żal, że nie zdążyliśmy ugościć tu pana Lucasa. Ale cóż robić?

Wyłączył zabawkę i położył na pobliskiej komodzie.

– Właściwie to dobrze, że kończymy już z tym cyrkiem, prawda, Mammonie?

– Tak, panie – odparł mężczyzna w czerni. – Najprawdziwsza prawda.



Z zewnątrz nic nie zapowiadało zmian, więc wielkie było zdziwienie książąt, gdy wkroczywszy do pałacu Lucyfera – wykonanego według tych samych planów co wieloletnia siedziba dynastii julijskiej – zobaczyli na wewnętrznym podwórzu długi stół konferencyjny w miejscu fontanny. U jego końca stała duża biała tablica.

– Wchodźcie, panowie – zapraszał Mammon, a kryjące się dotąd w cieniu kolumn demony z najbliższej gwardii Lucyfera podbiegły do stołu, by poodsuwać krzesła. – Wchodźcie. Lucyfer, Gwiazda Zaranna, zjawi się lada chwila.

Pierwszy jak zwykle zareagował Lewiatan. Jeśli kiedykolwiek był czas, gdy lubili się z gospodarzem, to minął on bezpowrotnie milenia temu. Powiadali, że to on był pomysłodawcą i głównym prowodyrem buntu zwanego powstaniem Lucyfera. Teraz niegdysiejszy serafin ciężko znosił brak zainteresowania. Wszak



jedynie wzmianki w Piśmie mówiące o nim wspominały o wielkim potworze morskim, bestii mającej pożreć świat. W rzeczywistości Upadły miał ledwie metr osiemdziesiąt wzrostu i jako jedyny wciąż przetrzacone skrzydła. Obnosił się z nimi jak Fidel Castro z brodą.

– Co to za porządki, Lucyferze? – Zapytał. – Chcesz, byśmy stali się jak ludzie? Nie wystarczy, że ty sam stałeś się im podobny? Spójrz na siebie.

Lucyfer uśmiechnął się łobuzersko.

– Obraziłbym twoją matkę, Lewiatanie, gdyby nie to, że wszyscyśmy zrodzeni z jednego źródła. Czy mógłbyś zająć swoje miejsce? Podobnie wy, Azazelu i Bafomecie... Baalu, nie daj się prosić...

Z ociąganiem kolejni spośród książąt ruszali w stronę stołu. Widać było w ich postawach napięcie, w ruchach nerwowość. Lecz oczy wszystkich płonęły ciekawością.

*Muszę ją zaspokoić* – pomyślał Lucyfer – *tu i teraz. Inaczej nie dadzą mi drugiej szansy. A to przecież już czas...*

– Siadajcie, proszę – powtarzał spokojnie Mammon. Na ziemi nieraz zastępował po-prostu Boba, a potem Teddy'ego na zebraniach i doskonale wiedział, jak powinny wyglądać. – Tak, można się częstować wodą i chipsami. Tak, to wszystko dla was. Cóż to za mina, Molochu, czyżbyś życzył sobie pieczonego niemowlęcia?

Wreszcie po dłuższej chwili do usadzenia został jedynie Asmodeusz, dla którego nie było dość szerokiego krzesła. W końcu dwóch gwardzistów przyniosło kilka skrzyń, na których złożono platformę demona. Jego chłopców wygoniono z pałacu i zamknięto w klatkach wiszących obok bramy.

– Dobrze – rzekł Lucyfer, gdy wszyscy byli już na miejscach. – Rozpocznę może od tego, że chciałbym was wszystkich bardzo serdecznie powitać i przeprosić za tak długą nieobecność. Musiałem przemyśleć sobie parę rzeczy. Odnaleźć siebie, jak mawiają. Skoro tu jestem, oznacza to, że chyba się udało, prawda?

Zrobił krótką pauzę i poluzował krawat. Demony obserwowały każdy jego ruch z największą uwagą, niczym stado wilków przyglądające się swej ofierze. Na Gwieździe Zarannej nie robiło to większego wrażenia.

– Z pewnością przebywając wśród ludzi, zatraciłem troszkę możliwość szerszego spojrzenia na nasze sprawy i z pewnością są kwestie, z którymi nie jestem na bieżąco.

Azazel prychnął, a na jego zahartowanej pustynnym piaskiem twarzy odmalowała się drwina. Wyraszył z jego oczu – ciemnobłękitnych, pozbawionych źrenic i tęczówek – mówił bez ogródek, że *nie jestem na bieżąco* uważał za eufemizm.

– Ale jak mawiał nazareński mistrz, *kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień*. – Lucyfer rozłożył szeroko ręce. – Czy to nie ty, Azazelu, odszedłeś od nas kiedyś, by stać się demonem pustyni? Mniejsza jednak o drobiazgi, teraz nie wolno nam już marnować czasu. Wróciłem, bo mam dla was wieści. Boga wciąż nie ma...

– To wiemy – prychnął Asmodeusz, a inni zawtórowali mu pomrukami pełnymi oburzenia, że gospodarz usiłuje robić z nich durniów.

– ...A ja odnalazłem czwartego ewangelistę – dokończył Lucyfer niezrażony. – Tego prawdziwego.

Ucichli i teraz naprawdę przyglądali mu się z uwagą.

Gwiazda Zaranna potoczył wzrokiem po zebranych, napawając się odniesionym właśnie małym sukcesem. Po raz pierwszy zdobył posłuch bez pojedynku z choćby jednym z książąt. Podeszedł do tablicy i podniósł leżący na podstawce pisak.

– To jeszcze niewiele znaczy – powiedział, stając bokiem do zebranych i unosząc rękę – bo sam czwarty ewangelista przewrotu za nas nie dokona. Potrzeba nam zatem planu...

Napisał na tablicy wielkimi literami: PLAN.

– ...Dzięki któremu Apokalipsa, inna niż ta objawiona, bo i bez obecności Boga, potoczy się po naszej myśli. Co musimy zrobić, by tak się stało?

Nikt nic nie odrzekł. Azazel wciąż patrzył gniewnie, Moloch szukał czegoś pod stołem, a Asmodeusz, któremu wyraźnie posmakowały chipsy, wyjadał właśnie zawartość ostatniej miseczki.

– No, panowie, odrobina inwencji! – Zachęcał Lucyfer. – Gdzie się podziali ci, którzy tyle lat chcieli pozbawić mnie władzy? Gdzie ci, którzy aż rwali się na powierzchnię, by ściągać do nas nowych

potępionych, zawierać pakty?

– Belzebub próbował – rzucił Belial. – Ale wykończył go Loki. Podobnie zresztą jak większość L.E.G.I.O.N.-u.

– Tak, słyszałem o tym. – Gwiazda Zaranna poskubał się po nosie. – I zapewniam was, że o tym problemie też już pomyślałem. Jest wszak nazywany Kłamcą, prawda? A któż, jak nie ja, jest ojcem wszelkiego kłamstwa? Mówi nazareński mistrz: *Takim sądem, jakim sądzicie, i was osądzą; i taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzą*. Gdy przyjdzie czas, zajmę się i Lokim.

– No jasne – rzucił drwiąco Azazel.

Lucyfer zerknął w stronę kolumny i lekko skinął głową. Jeden z gwardzistów rozwiął się niczym dym, by po chwili pojawić się z czymś podłużnym ukrytym pod płaszczem. Gwiazda Zaranna ruszył wzdłuż stołu tuż za plecami demonów.

– Nie powinieneś wątpić w kogoś, kto po blisko dwóch tysiącleciach odnalazł narzędzie Apokalipsy, Azazelu – mówił, patrząc w błękitne oczy tamtego. – A już zwłaszcza, gdy ten ktoś jest mimo swego chłopięcego wyglądu pierwszym spośród Upadłych!

Przy tych słowach znalazł się blisko nie tylko gwardzisty, ale również Azazela. Kopnięciem docisnął krzesło demona do blatu, jednocześnie wyciągając rękę i zaciskając palce na podanym mu kiju bejsbolowym. Widniały na nim odcinające się czernią od jasnego drewna podpisy wszystkich zawodników chicagowskich White Soksów.

Lucyfer zrobił zamach, uderzając błękitnookiego w bok głowy, najpierw z lewej, potem z prawej... Później tłukł już na oślep, aż z czaszki tamtego została jedynie krwawa miazga. Wtedy odrzucił kij i wytarł twarz oraz ręce w podany mu biały ręcznik.

– Wiem, że nie dałbym rady wam wszystkim naraz – powiedział, prześlizgując się wzrokiem po osłupiałych minach książąt. – Ale chciałem przypomnieć, że wciąż jestem silniejszy niż każdy z was z osobna. Więc jak? Słuchacie planu?

Pokiwali zgodnie głowami – wszyscy prócz Asmodeusza, który postanowił sprawdzić, jak smakują chipsy umazane w krwi Azazela.

Lucyfer wrócił do tablicy i napisał na niej podpunkt pierwszy: CZTEREJ.

– Ponieważ chcemy wprowadzić jak najwięcej chaosu, ważne jest, by właściwie ich rozmieścić – rzekł. – Już się tym zajęliśmy. Mateusz powędrował do Stanów, Łukasz do Europy, a nasz tajemniczy czwarty, Eustachy, na Daleki Wschód. Jana zachowamy sobie na specjalną okazję.

Napisał kolejny podpunkt: ANTYCHRYST.

– Tu komentarz zbędny, zająłem się tym jakiś czas temu i niedługo powinny być efekty. Jak mówi nazareński mistrz: *wykonało się*.

Po raz kolejny podniósł flamaster, zapisując trzeci podpunkt: ZAPROSZENIA.

– I tu – odwrócił się do książąt – niezbędne będą wasze gwardie przyboczne i wszystkie służby, jakie macie na ziemi. Trzeba zachęcić do zabawy wszystkich, których do życia powołały wiara i wyobraźnia ludzka.

Skłonił się Asmodeuszowi i Molochovi.

– Musimy powiedzieć mitycznym, że w przeciwieństwie do tego, w imię którego walczą Michał i reszta, my nie będziemy bogami zazdrosnymi.

Uśmiechnął się i sięgnął po stojący na krawędzi stołu kubek z wodą. Upił łyk.

– I że pierwsze, co zrobimy po zwycięstwie, to zniesiemy pierwsze przykazanie.

## Nowy Jork

Jak wziąć urlop od anielskiej służby? Loki zastanawiał się nad tym przez całą drogę z Hortonville do Madison, a potem jeszcze w samolocie do Nowego Jorku. I wciąż nie potrafił nic sensownego wymyślić.

Oczywiście nie było problemem zaszyć się gdzieś na parę dni, nie odbierać ani telefonów, ani przekazów mentalnych Rafaela. Zawsze mógł potem powiedzieć, że tropił wyjątkowo zajadłe i sprytnie bóstwo czy stwora gdzieś na krańcu świata – archaniołowie i tak nie odróżniali Browniego od Bruksy.

Gorzej, gdy chciał spędzić beczynnie tydzień w Paryżu pod okiem samego Michała. To wymagałoby już albo użycia najbardziej skomplikowanych sztuczek, jakie kiedykolwiek przyszły mu do głowy... Albo – co jeszcze gorsze – powiedzenia prawdy i zdania się na łaskę archanioła. Łaska archanioła?! Już bardziej prawdopodobne, że Ben Stiller dostanie rolę w remakeu „Obywatela Kanea”.

– Następny, proszę.

Loki włożył mały plecak do plastikowego koszyka i przeszedł przez lotniskową bramkę. Nic nie zadzwoniło, ale i tak rozłożył ręce, pozwalając się przeszukać celnikowi.

– Ładny misiek – powiedział drugi z kontrolerów, siedzący przy monitorze – ale chyba zapomniał go pan wyłączyć.

Loki zabrał plecak z koszyka.

– Jak to wyłączyć? – Zapytał.

– No, pański pluszak na baterie jest włączony – wyjaśnił celnik. – Pomachał do mnie.

– Ach, no tak, dziękuję.

Uklonił się lekko i ruszył przed siebie. Po paru krokach przystanął, otwierając plecak.

– Żartów ci się zachciewa, szmacianko? – Wycedził, patrząc w nieruchomy pyszczek Kłamczucha. – Jeszcze jeden taki numer i znowu będziesz podróżował w bagażowym.

Zapiął plecak i zarzucił go na ramię, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś ławki, gdzie mógłby przeczekać najbliższą godzinę do odlotu.

Po blisko kwadransie bezowocnych poszukiwań kupił sobie gazetę, kawę i przysiadł z nimi na skraju betonowego klombu. Jak na złość w pobliskiej kafeterii nikt nie zwalniał miejsca.

– Pssst, Loki! – Rozległo się tuż za nim. Dziwne, zważywszy na fakt, że między Kłamcą a ścianą był tylko wąski pas ozdobnej zieleni.

Obejrzał się, ale nie dostrzegł niczego prócz koron karłowatych drzewek i wychylającego się spomiędzy nich zapakowanego w papier rododendronu wyrzuconego zapewne przez kogoś, kto nie miał pomysłu, jak wnieść to zielsko na pokład samolotu.

– Tutaj, Loki, niżej.

Kłamca popatrzył w dół i dostrzegł mały krzew o listkach tak drobnych i gęstych, że nie było widać kryjących się pod nimi gałązek. Dokładnie na środku krzak miał otwór w kształcie ust. Gdy mówił, otwór poruszał się, radząc sobie z dopasowaniem swojego kształtu do głosek lepiej niż niejedna postać z kreskówek.

– Wybacz, że zwracam się do ciebie w ten sposób, ale sprawa jest najwyższej wagi i nie mogłem inaczej – powiedział krzew.

Kłamca pokiwał głową. Dopiero w tym momencie rozpoznał głos Gabriela.

– Rozumiem, że chodzi o sprawę z piekielnymi? – Szepnął, uśmiechając się jednocześnie do starszej kobiety, która patrzyła na niego jak na wariata. Udał, że wacha roślinkę.

– Ej, co ty?... Odczep się!

– Chyba masz nieświeże gałązki, Gabrielu. – Kłamca wyprostował się i wrócił do czytania gazety. – Może zgódź się przy okazji na małą symbiozę z miętą.

– Sprawa jest poważna, Loki. Chodzi o Antychrysta.

– Tak? Co z nim? – Kłamca odwrócił stronę i zajął się rubryką sportową.

– Narodził się – odparł krzak-Gabriel z powagą. – Przebywa w tej chwili ze swoją matką w północnej Irlandii i...

– Trzeba na nim dokonać spóźnionej aborcji? – Loki sięgnął po kawę i upił łyk. – Załatwione, jak tylko wrócę z urlopu. Bo wiesz... Nabawiłem się kontuzji kolana i potrzebuję przerwy.

Uśmiechnął się na myśl, jaką nieocenioną przysługę potrafi oddać rubryka sportowa, gdy człowiek, a nawet bóg improwizuje.

– No i załatwcie mi tam u was jakąś dispensę czy coś, bo nie chcę, by mi to później wpisano

w niewłaściwe rubryki. Wiesz, jaki jest Michał.

Krzak milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał.

– Nie, Loki. Najpierw musisz się zająć Antychrystem – powiedział w końcu – bo inaczej czeka nas Apokalipsa. Urlop dostaniesz potem. I nie martw się Michałem, biorę go na siebie.

To zabrzmiało zachęcająco! Kłamca zerknął na zegarek, a potem na tablicę odlotów. Samolot do Londynu – skąd bez trudu powinien się dostać do Belfastu i dalej – odlatywał piętnaście minut przed tym do Paryża. Wystarczy tylko zdobyć kartę pokładową, co nie powinno być trudne.

– Dobra. – Włożył do ust wyciągniętą z kieszeni wykałaczkę. – Niech będzie. Antychryst sztuk jeden. Słownie jeden. Niezależnie od tego, jak często Zły uprawiał seksturystykę na ziemi.

– Świetnie! – Krzak drzeniem liści okazał swój entuzjazm. – Matka nazywa się Abigail Williams i mieszka w miasteczku Quarrytown na północny zachód od Broughshane. Znajdziesz bez trudu, jej wuj jest tam pastorem. Ona sama jest katoliczką, podobnie zresztą jak jej matka i większa część miasta. A teraz odsuń się, proszę, żeby nie było na ciebie.

– Co żeby nie było na mnie? – Nie zrozumiał Kłamca.

– No ten krzak, co przekazał wiadomość. Ulegnie zniszczeniu za dokładnie dwadzieścia sekund.

Loki poderwał się z miejsca, podnosząc plecak. Zdążył dojść do toalet, gdy krzew, z którym rozmawiał, zajął się ogniem.

## Šiaudenai, Litwa

Gospodarz zaczynał mieć już dość przeszywającego spojrzenia czarnego koguta.

– Ostatni raz powtarzam, *durnas paukšti*<sup>[4]</sup>. Nie chcę, nie potrzebuję twojej pomocy. *Iki pasimatymo!*<sup>[5]</sup>

Ptak łypnął okiem, ale ani myślał ruszać się ze swojego miejsca na płocie. Nie drgnął nawet, gdy gospodarz rzucił w niego drewnianym klockiem.

– No co ci szkodzi, Jonaitis? – Zapytał ludzkim głosem. – I tak jesteś przecież niewierzący. Poza tym diabli cię nie wezmą, jak swojakowi duszę oddasz. A ja przecież swój, Litwin z dziada pradziada.

– A bodajby cię, cholero! – Gospodarz splunął pod nogi i chwycił za trzonek białej w pniak siekiery. – Ty nie masz dziada. Jesteś Aitvaras, demon. Babka mi opowiadała o tobie, jak mały byłem. Idź precz!

Pogroził ptakowi narzędziem mordy, przed którym nie tylko na Litwie drób winien czuć respekt. Ponieważ kogut nie zareagował, mężczyzna machnął ręką, by wolno ruszyć w stronę chaty. Kogut sfrunął z płotu i podążył za nim.

– No i cóż, że demon, kiedy swojak? – Nie przestawał naciskać. – Przyjdzie więcej tych z Unii, to zaczną cię nękać diabły, dżinije, a pewnie i nawet te geje ateisty. Jakbyś mnie duszę oddał, z głowy byś miał. No i patriotycznie, obcym się nie zaprzędasz. Jonaitis, *prašau*<sup>[6]</sup>.

– Idź precz, mówię! – Gospodarz zamknął kogutowi drzwi przed samym dziobem. Zaraz jednak wyjrzał przez otwarte okiennice. – Albo nie, drwa narąb i poukładaj, to się namyślę.

Ptak wściekle drapnął ziemię pazurem i ruszył w stronę pniaka, po drodze przyjmując swą ludzką postać. Nie lubił jej, ale jako kogut czy kot mógłby mieć kłopoty z utrzymaniem siekiery.

– Dawniej całe wioski dusze składały, ledwie przemówiłem – mruknął pod nosem, kładąc na pniu pierwszy klocek. – A teraz co? Tfu, wszystko przez te przeklęte chrześcijańskie monopole.

– I właśnie uwalniamy rynek, panie Aitvaras – powiedział niemal w tej samej chwili ktoś od strony sadu.

Demon obrócił głowę i dostrzegł plamę mroku, z której powoli wyłaniał się ubrany na czarno mężczyzna.

– Kim jesteś? – Zapytał, unosząc odruchowo siekiere. – I czego tu chcesz?

– Mój pan, Lucyfer, przysłała mnie z propozycją. – W ręce mężczyzny nagle pojawiła się koperta. – Od

dziś, ile dusz wywalczysz, tyle należy do ciebie. Anioły i diabły będą miały ważniejsze sprawy na głowie niż astralne ludzkie strzępki.

Podszedł i podał demonowi kopertę, a następnie przeprosił na chwilę i wszedł do chaty Jonaitisa. Rozległy się krzyki i piski, a niedługo później gospodarz wypadł na podwórze. Runął na kolana i jął czołgać się w stronę Aitvarasa.

– Bierz moją duszę, błagam! – Zawodził. – Weź ją sobie i nie pozwól, by tamci zabrali.

Demon zrobił zdumioną minę.

– Co mu zrobiłeś? – Zapytał mężczyznę w czerni, który właśnie stanął na progu.

– Pokazałem, że mam go na liście. – Ten wzruszył ramionami. – A potem wyjaśniłem, jak potępieńcami zajmują się, wybaczone, proszę, profesjonaliści. Widać dotarło.

Skłonił się i wstąpił w ciemność.

– Życzę miłej zabawy, Aitvaras – rzucił jeszcze. – I pozdrów, proszę, kolegów.

A potem zniknął.

### *Hortonville, Wisconsin*

*Można się było spodziewać* – pomyślał Bachus ze złością – że wszystko zacznie się zaraz po tym, jak Loki zabrał stąd swoją parszywą, zakłamaną nordycką dupę. Jakby nie mógł wymyślić sobie tego urlopu dzień później. Zerknął jeszcze raz na trzymane w rękę zdjęcie i porównał je ze stojącym na przystanku mężczyzną. Dzieliła ich odległość ulicy i szyba restauracji, ale raczej nie było mowy o pomyłce. Gość z długą czarną brodą i spiętymi w kucyk włosami, ubrany w skórę i dżinsy był od dawna poszukiwanym oszustem, winnym wielokrotnego udawania Świętego Mikołaja.

Nazywał się Światowid i zgodnie z tym, co mówił informator Lokiego, przyjechał, by wkręcić się do pracy i tuż przed świętami obrabować fabrykę czekolady. Robił tak podobno od kilku lat w wielu różnych miejscach na świecie, zdobywając tym samym fanty, które rozdawał dzieciom, aby w niego wierzyły.

– Tym razem ci się nie uda, koleś – wycedził Bachus przez zęby. – A już na pewno nie na mojej zmianie.

Wyciągnął telefon i po chwili wahania wybrał numer oznaczony w książce jedynie literką A. Wcisnął przycisk wybierania.



Przybyli w przeciągu godziny. Gdy weszli do restauracji, bóg wina nie prosił nawet, by któryś z nich pokazał mu ukryte skrzydła – wiedział, że to przysłani na akcję żołnierze anielskich Zastępów Michała.

Musiał przyznać, że robili wrażenie. Rzeczywiście wyglądali jak wojskowi: byli świetnie zbudowani, poruszali się sprężysto, a gdy przemawiali, z ich postawy i każdego słowa biły pewność siebie i stanowczość. W niczym nie przypominali podrzędnych stróżów, jakich Bachus spotykał do tej pory.

Było ich pięciu, wszyscy ubrani w jednakowe kurtki uniwersyteckiej drużyny futbolowej Madison, co od razu zdobyło im przychylną uwagę miejscowych. Każdy z nich miał przyciemniane okulary, a dwóch trzymało w zębach wykałaczki. Ten z przodu zauważył Bachusa i przysiadł się do niego. Pozostali zajęli boks dalej.

– Jestem Af – przedstawił się anioł.

– Ten, który kiedyś połknął Mojżesza i wypluł, dopiero jak jego żona obrzezała ich syna? – Kilka miesięcy wcześniej Bachus spędził sporo czasu u anioła Jeffersona, który prócz tego, że naginał niebiańskie zasady, był także potwornym plotkarzem.

– Moje imię znaczy Gniew – odparł anioł spokojnie. – Teraz już nad sobą panuję, ale kiedyś mocno się tym przejmowałem. Gdzie jest poszukiwany?

Bóg wina spojrzał na zegarek.

– Za jakieś pół godziny powinien przyjechać tu autobusem z Appleton – powiedział. – Dziś rozpoczął pracę w tamtejszej fabryce czekola...

– I spuściłeś go z oczu?!

Oczy wszystkich klientów restauracji zwróciły się teraz w stronę ich stolika. Bachus z trudem zdołał wydobyć na twarz sztuczny uśmiech.

– Uspokój się. Miałeś nad sobą panować, prawda?

Anioł spuścił głowę.

– Masz racje, przepraszam.

Bóg wina, zaskoczony, ale i mile polectany tym aktem skruchy, uśmiechnął się już bardziej szczerze i zaczął wyjaśniać:

– Nie było potrzeby, aby jechać za Światowidem aż do Appleton, skoro wiem, że to tu wynajął mieszkanie. No i przecież się nas nie spodziewa, prawda?

– Prawda – przyznał Af. – Więc masz jakiś plan czy mamy coś wymyślić?

Bachus nie był może najmądrzejszym z bogów, ale godzina wystarczyła mu na obmyślenie planu, jak z pomocą oddziału specjalnego złapać jednego brodatego uciekiniera. W kilku słowach wyłożył go aniołowi, a ten przyjął całość bez zastrzeżeń. Teraz wystarczyło tylko przekazać wytyczne reszcie... I czekać.

– A właśnie – zagadnął Bachus, gdy Af wrócił już do jego stolika – czy mi się wydaje, czy twoi kumple pracowali już wcześniej z Lokim?

– Kilka razy – odparł anioł. – Skąd pytanie?

– Znikąd. – Bachus podniósł stojący w rogu stołu kubek coli przemienionej w portugalskiego warresa z siedemdziesiątego siódmego. Jego zdaniem nic nie pasowało lepiej do tekturowego kubka z wesołym bejsbolistą. – Tak sobie tylko pomyślałem.



Oficjalnie nazywał się teraz Gregory Wysocki i był synem polskiego pilota, bohatera bitwy o Anglię. Przygotował sobie nawet parę historyjek o ojcu, na wypadek gdyby zeszło na wspominkowe tematy. Czasem podczas poprzednich akcji sam sprowadzał rozmowy na te tory. Wiedział, że po czwartym czy piątym piwie pogadanki o polityce czy innych bieżących sprawach bywały niebezpieczne. Wtedy zostawała muzyka, filmy i właśnie wspomnienia.

Był w tym dobry. Znaczący nie w opowiadaniu historii, choć na tym polu też radził sobie nie najgorzej. Najlepiej spisywał się w kierowaniu rozmów na właściwe tory i ciągnięciu ich bez zbędnych emocji. Potrafił znakomicie wczuwać się w sytuację innych, patrzeć ich oczami. To sprawiało, że szybko wszyscy zaczęli go traktować jak swojaka.

– To jak, Greg? – Zawołał za nim Ben Downs, z którym Światowid spędził większość dnia, pracując przy mieszkadle. – Jesteśmy umówieni na jutrzejszą kolację?

– Jasne, Ben.

– Świetnie. Powiem starej, że będziemy gościć faceta z ZZ Top.

Światowid wybuchnął śmiechem.

– Świetne, Ben, to ci się udało!

Stał jeszcze przez chwilę na przystanku, udając, że wygrzebuje coś z buta, na wypadek gdyby Benowi przyszedł do głowy znowu jakiś zabawny tekst. W końcu otrząpał ręce i ruszył przez park do domu.

Właściwie mógł chyba powiedzieć, że się przyzwyczyił. Od dnia, gdy obudził się, czy raczej powstał z martwych po spotkaniu z Lokim, każdy rok spędzał według podobnego schematu. Zmieniał w nim oczywiście pewne szczegóły i cały czas pilnował, by w żaden sposób nie wzbudzać podejrzeń. Tego roku na przykład po raz pierwszy i po długim wahaniu zdecydował się na pozostawienie brody i długich włosów, ale trzon planu pozostawał zawsze ten sam – kilka miesięcy pracy w fabryce produkującej coś, co dzieci lubią, potem zauważalna, ale mało spektakularna kradzież i kilka dni przygotowywania paczek. Wreszcie święta wypełnione usilnymi zabiegami o małych wyznawców. Do tej pory wszystko działało bez zarzutu.

Wyszedł z parku i przebiegł na skos ulicę, dziękując zwalniającym kierowcom i pozdrawiając ich gestem. Minął dwa dwupiętrowe budynki, po czym przez dziurę w płocie wśliznął się na podwórkę swojego nowego domu. Tak było szybciej, niżby miał drałować do następnej ulicy i wchodzić od frontu. Oto co dawał dokładny rekonesans przed wynajęciem mieszkania.

Uśmiechnął się pod nosem i pchnął zawieszoną na gałęzi huśtawkę z opony. Wpadło mu nawet do głowy, czyby na niej nie usiąść, ale zrezygnował z tego pomysłu. Odwrócił się ponownie w stronę domu. I wtedy właśnie go dojrzał.

Ktoś mniej wyczulony uznałby pewnie, że to tylko cień, omam i gra w *mamy cię* rozgrywana między oczami a księżycowym blaskiem. Tym jednak, którzy przeżyli przynajmniej jedną śmierć, cudownie wyostrzały się wszystkie zmysły.

Światowid w jednej chwili był już ukryty za drzewem. Jeszcze raz zerknął w stronę budynku. Tym razem nie było wątpliwości – do ściany przywierał gotowy do akcji anielski osiłek.

*Mają mnie* – pomyślał w nagłym przyływie paniki, zaraz się jednak opanował. Jeszcze go przecież nie złapali. Nie wiedzieli, że już przyjechał, i wciąż czekali od frontu. To dawało mu przynajmniej kilka minut przewagi. Niedużo, ale jeśli się postara, powinno wystarczyć.

Oderwał się od drzewa i wciąż wpatrzony w nieruchomą sylwetkę anioła ruszył na palcach ku dziurze w płocie.

Zdążył zrobić trzy kroki, zanim wpadł na Afa.

– Szedłem za tobą od przystanku – powiedział anioł gniewu, zamykając słowiańskie bóstwo w kleszczach swych potężnych ramion. – I wkurzyłbym się, gdybyś mi teraz uciekł. A wierz mi, nie chciałbyś widzieć mnie wkurzonego.

Miał rację. Światowid nie chciał.

## Rozdział 3

### Piekło



dy Mammon przyniósł Lucyferowi raport podsumowujący pierwszy etap działań, ten siedział właśnie ze skrzyżowanymi nogami na kamiennej ławie, zajadał popcorn i oglądał „Przyjaciół”.

– I jak idzie? – Zapytał, nie odrywając wzroku od ekranu.

Demon w czerni zerknął do notatek.

– Wygląda na to, że dotarliśmy do dwóch trzecich spośród wszystkich mitycznych istot świata – odparł. – Oczywiście zakładając, że nie popełniłem błędu, szacując ich pogłowie przez ostatnie dwa milenia.

Gwiazda Zaranna parsknęła śmiechem.

– Przepraszam – powiedział, ocierając usta. – To nie z ciebie, to z filmu. Chandler i Joey właśnie zgubili dziecko Rossa.

Wrzucił do ust kolejną porcję popcornu i sięgnął po stojącą obok colę.

– Rany, jak ja uwielbiam ten serial! – Westchnął. – Aż szkoda, że nie udało mi się go przeciągnąć jeszcze parę sezonów... No ale mówiłeś coś, prawda?

– Plan, panie – przypomniał Mammon.

– Właśnie. Co z nim?

– Pierwszy etap jest gotowy co do szczegółów.

– Sarkofagi na miejscach, mityczni zaproszeni do zabawy... – Lucyfer wstał i przeszedł przez pokój, po drodze wyłączając DVD. – Przydzieliłeś instruktorów do większych grup?

– Wedle rozkazu, panie. Choć niektórzy, jak Asmodeusz, prosili, bym w ich imieniu wyraził sprzeciw wobec takiego dysponowania ich zasobami demonicznymi.

– Tak powiedział? – Zdumiał się Gwiazda Zaranna. – Asmodeusz?

Mammon skinął głową.

– Pomijając epitety i pełne perwersji propozycje na spędzanie najbliższej wieczności... To tak, tak właśnie powiedział.

– Aha. I użył zwrotu *zasoby demoniczne*? Nieprawdopodobne...

Lucyfer wziął od demona teczkę i uważnie zaczął przeglądać jej zawartość. W kilku miejscach zawahał się, wznosił ku górze wskazujący palec, zaraz jednak mruczał *aha* i wracał do lektury.

Przeglądający się temu w milczeniu Mammon wciąż czekał na sposobność do zadania pytania. W końcu Władca Piekła oddał mu teczkę.

– Świetna robota, przyjacielu. Wygląda na to, że naprawdę jesteśmy gotowi. Czas zatem otworzyć sarkofagi i przygotować księżęta do etapu drugiego. Zwłaszcza do naszej wspaniałej niespodzianki.

– Właśnie, panie. Bo ja chciałem zapytać...

– ...Co kryje się za żelaznymi wrotami w podziemiach mojego pałacu? – Lucyfer uśmiechnął się pod nosem. – Ależ, drogi Mammonie, nie mógłbym przecież zepsuć ci zabawy! Poza tym, nawiązując do słów nazareńskiego mistrza, ani oko nie widziało, ani serce nie słyszało, ani serce nie czuło, co przygotowałem tym, którzy stoją na drodze do realizacji moich planów. No, a teraz do roboty, niech rozpocznie się show!

– A sprawa... No wiesz, panie... Znaczący... Jak Irlandia?

– Irlandia?... A, tak. Wszystko w porządku, dziękuję, że pytasz.



## Samolot linii British Airways, 30 tys. stóp nad Atlantykiem

Loki miał sen. Stał na wewnętrznym podwórzu antycznej rzymskiej posiadłości. Wysoko w górze płonące chmury skręcały się w pomarańczowo-szare wiry, kolumny otaczające dziedziniec lśniły blaskiem tego ognia.

Przy stole – długim, konferencyjnym – ustawionym w miejscu fontanny siedziały demony, uważnie wpatrując się w Lokiego. Wiele z nich podobnych było aniołom, choć z pewnością nie należeli do takich owrzodzony grubas, chromy chudzielec i dżinij, którego ciało wyglądało jak wyschnięta gliniana skorupa.

A potem nagle zupełnie wbrew sobie Kłamca odwrócił się do zebranych plecami i napisał coś na wielkiej białej tablicy. Widział własną rękę trzymającą pisak, kawałek białego rękawa, a nawet spinkę do mankieta z główką Yody. Nie, to jednak nie mogła być jego ręka, sam by takich spinek nie nosił.

Na tablicy było już kilka słów oznaczonych kolejnymi literami alfabetu Boga, który odszedł, aniołów, diabłów, no i Żydów:

- 1) CZTEREJ
- 2) ANTYCHRYST
- 3) ZAPROSZENIA.

Teraz jego ręka szykowała się, by dopisać czwartą literę, *dalet*...

I wtedy właśnie mocnym szarpnięciem wyrwano Kłamcę ze snu. Znowu znalazł się na pokładzie jumbo jeta w przedziale klasy turystycznej, po jednej stronie mając ścianę samolotu i zasłonięty iluminator, a po drugiej nadpobudliwego komiwojażera Burtona. Ten, ledwie usiedli, zaraz się przedstawił i już w trzecim zdaniu zaczął zachwalać specjalne mydło – hypoalergiczne albo hiperalergiczne, Loki nie pamiętał. To właśnie on obudził Kłamcę i teraz wpatrywał się w niego swymi wielkimi, wytrzeszczonymi oczami. Podbródek mu drżał, jakby zaraz miał zacząć płakać.

– Już lądujemy? – Loki przetarł oczy i przeciągnął się.

Burton pokręcił głową tak energicznie, że mało mu nie odpadła, po czym zerknął przez ramię i przysunął się do współpasażera.

– Tamten facet ma bombę – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Chce nas wysadzić.

Jest wiele rodzajów wymownych spojrzeń. To, jakim Kłamca uraczył komiwojażera, mówiło więcej niż telewizyjny kaznodzieja podczas niedzielnego nabożeństwa. I nie było to raczej nic miłego.

– Sam zobacz. – Burton nie spieszył się nic a nic. – Mówię o tamtym Arabusie dwa rzędy przed nami. Widzisz?

Loki musiał się podnieść. Wtedy rzeczywiście zobaczył.

– No, facet jak facet – stwierdził, nagle rozumiejąc, dlaczego na pokład nie wolno wnosić broni. Szefowie linii nie chcieli nikogo wodzić na pokuszenie. Ostatecznie świat roił się od ludzi pokroju Burtona. – Nie ma nawet walizki.

– Pewnie ma bombę w laptopie. – Komiwojażer łypnął swymi karpimi oczami. – Widziałem to na takim filmie, gdzie...

– A widziałeś „Śmierć komiwojażera”? – Mruknął pod nosem Kłamca.

– Że co proszę?

– Nie, nic. – Loki westchnął ciężko, wyciągając z kieszeni pudełeczko wykałaczek. Jedną wsunął do ust. – Wiesz, Burton, jakie jest prawdopodobieństwo, że na pokładzie samolotu, którym lecisz, znajduje się bomba? Tak statystycznie...

– Tak – potwierdził tamten – jeden do pół miliona. Czytałem artykuł w „Timesie”. Ale to wcale nie oznacza, że tamten facet nie ma...

Kłamca uciszył go gestem. Uśmiechnął się.

– A prawdopodobieństwo, że na pokładzie jednego samolotu lecą dwaj niepowiązani ze sobą ludzie z bombami, wynosi już jeden do dziesięciu milionów. Zapewniam cię więc, że tamten facet nie ma bomby...

Sięgnął pod fotel i zamachał wyciągniętym z plecaka Kłamczuchem.

– Słyszysz, jak tyka?

## Quarrytown, Irlandia

Właściwie lądowanie awaryjne przyniosło same korzyści. Samolot Kłamcy skierowano na lotnisko w Dublinie, gdzie lepiej radzono sobie z potencjalnymi bombami. To oszczędziło Lokiemu wizyty w Londynie i zatłoczonego terminala, gdzie musiałby czekać na przesiadkę.

Policjanci w zasadzie puścili go od razu. Widocznie znali się trochę na statystyce, bo stwierdzili, że jedna bomba w podręcznym bagażu amerykańskiego komiwojażera to na jeden samolot aż nadto. Co prawda Burton zaklinał się, że gdy wsiadał do jumbo jeta, nie miał w bagażu nic bardziej podejrzanego od próbek mydła, jednak irlandzka policja najwyraźniej знаła się nie tylko na statystyce – na wykrętach terrorystów również. Gdy Kłamca odchodził, uzbrojeni po zęby stróże prawa zasalutowali mu nawet, bo kto jak kto, ale Irlandczycy wiedzą, że watykańskiemu dyplomacie należy się szacunek, zwłaszcza gdy ów dyplomata ma dokumenty z podpisem samego papieża. Tak że już po półgodzinie od lądowania Loki jechał taksówką w stronę miejsca przeznaczenia. Nie był jednak do końca z siebie zadowolony.

Szcątkowa wiedza jest gorsza niż kompletna ignorancja. W przypadku tej drugiej można przeć do przodu nieświadomym konsekwencji i liczyć na fart, który – jak wiadomo – sprzyja głupcom. Gorzej, gdy się wie o zagrożeniu, ale wiadomości kończą się dokładnie na dwukropku za śródtytułem „Sposoby przeciwdziałania”. Takich sytuacji Loki nie znosił najbardziej. I w takiej właśnie znajdował się w tej chwili. We Włoszech nie byłoby najmniejszego problemu. Tam wystarczyło, że przebrany zajezuitę Lokiana przespacerował się ulicami miasteczka, a już miał wszystko, co chciał – ze zniżką u lokalnych prostytutek i żigolaków łącznie. Tu jednak, w Irlandii, niedouczony Kłamca nie za bardzo wiedział, czego się spodziewać. Policjanci na lotnisku salutowali mu chyba tylko po to, żeby zrobić na złość liczny pasażerom Anglikom, bo potem wszyscy patrzyli na niego, jakby źle przyprawił sobie wasy albo założył mini i kabaretki. Ostatecznie postanowił więc zrezygnować z przebrania duchownego i po prostu być sobą. A przynajmniej kimś, za kogo zwykle uchodził...



Gdy z niemałym trudem dotarł wreszcie do Quarrytown w Irlandii Północnej, wcale nie zrobiło się łatwiej. Na jego jedno pytanie o adres padało dziesięć kontrpytań o cel wizyty czy zamiary wobec biednej Abigail, którą za protestanckie herezje wuja Bóg doświadczył śmiercią męża i perspektywą samotnego wychowywania dziecka.

Kilka sąsiadek w ogóle się do niego nie odezwało, tylko od razu, jeszcze w obecności Kłamcy, zaczęły rozważać, czy ktoś taki jak on może być porządnym facetem. Świdrowały go wzrokiem, jakby chciały przeniknąć do sumienia. W końcu tak wiele jest na tej ziemi angielskich pomiotów, którym w głowie tylko bezceństwa...

Zanim wreszcie dowiedział się, gdzie mieszka siostrzenica pastora, przedstawił różnym osobom chyba z piętnaście różnych uzasadnień swojej obecności w miasteczku. Pod koniec zaczynało go to nawet bawić. Był naprawdę ciekaw, jak lokalne plotkary skompilują to wszystko w jedną całość. Choć oczywiście nie śmiał wątpić w ich pomysłowość.



Na ganku niewielkiego, stojącego trochę na uboczu domku ponownie przybrał na siebie obraz Lokiana – po żołniersku przystrzyżone włosy, równo przycięta broda i surowa twarz z prostym nosem. Zapiął ostatni guzik czarnej koszuli i wsunął pod stójkę plastikową koloratkę. Tak przygotowany zapukał do drzwi.

Otworzyła mu młoda dziewczyna, zapewne sama Abigail.

Nie wyglądała za dobrze. Długie, sięgające łopatek włosy miała pozlepiane, twarz opuchniętą, a pod oczami rysowały się coraz wyraźniejsze ciemne obwódki. Ubrana była w luźną nocną koszulę, na którą

niedbale narzuciła gruby męski szlafrok. Na nogach miała wełniane kapcie.

– O, szczęście Boże – powiedziała, próbując się uśmiechnąć. – Ksiądz wybaczy, ale spałam. Dziecko nie daje mi ostatnio wypocząć w nocy i...

– Żaden problem, moje dziecko – odparł Kłamca, przestępując próg mieszkania i z uśmiechem wyciągając do niej rękę. – Jestem ojciec Lokian, jezuita. Przyszedłem zobaczyć twoje maleństwo.

– Coś się stało? – Abigail przycisnęła zaciśniętą dłoń do serca. – Mój maluszek...

Loki położył jej dłoń na ramieniu.

– Ależ wszystko jest w najlepszym porządku – zapewnił. – Po prostu my, jezuita, postanowiliśmy obniżyć trochę wiek rozpoczęcia formacji. Tak dla lepszych efektów. Do dziecięcego prosto, prawda? Mam nadzieję, że małego nie pilnują wielkie psy.

Ruszył korytarzem, po drodze wyciągając z kieszeni paczkę wykałaczek.



Tak jak się spodziewał, sypialnię Antychrysta pomalowano na błękitno. Nie przewidział tylko białych chmurków wykonanych przez Abigail ze skrawków gąbki starannie pociągniętych farbą. Wyglądały bardzo realistycznie.

Łóżeczko dziecka stało mniej więcej na środku pokoju na dywaniku z Kubusiem Puchatkiem. Na lewo stał regał, którego dolną część zajmowały klocki i plastikowe samochody, a górną kolorowe książeczki. Najgrubsza z nich nosiła tytuł „Mały Jezus i komnata tajemnic”.

Na ścianie na wprost łóżeczka wisiał obrazek Marii z Dzieciątkiem, a obok ikona z archaniołem Michałem. Loki zastanawiał się, czy chłopiec zna już pojęcie słowa *ironia*. Jeśli nie, to miał okazję szybko się go nauczyć. To znaczy miałby...

– Cóż, mały, przykro mi – powiedział Kłamca, sięgając po przypiętą do biodra broń. Tym razem zdecydował się na trzydziestkę ósemkę, którą specjalnie na tę okazję kupił w Belfaście od wychudzonego dziesięciolatka. Uznał, że gdyby strzelił do chłopczyka ze swojego Jericho, wewnątrz łóżeczka wyglądałoby jak po bombardowaniu dojrzałymi arbusami. – Nie żebym miał coś do ciebie osobiście, ale...

Zamarł w pół ruchu z dłonią na kaburze, a potem odwrócił się gwałtownie i wybiegł na korytarz. Mało nie wpadł na stojącą przy ścianie Abigail.

– On zawsze był taki brzydki? – Zapytał bez ogródek.

– Nie wiem, o czym ksiądz mów...

– Krzywy nos, czoło jak u małego słonia, wylupiaste oczy – wymienił szybko Loki. – Od początku tak wyglądał?

Dziewczyna zmarszczyła czoło. Pewnie gdyby była wypoczęta i w pełni sił, oburzyłaby się, że ktoś mówi tak o jej dziecku. Teraz jednak nie była w stanie wykrzesać z siebie choćby odrobiny gniewu.

– No nie – odparła. – Wcześniej był mniejszy i bardziej czerwony, ale odkąd troszkę podrosł...

Kłamca zaklął siarczyście i biegiem wrócił do pokoju. Zaczął uważnie oglądać łóżeczko, przypatrując się najpierw stelażowi baldachimu, karuzelce, potem dokładnie nóżkom i wszystkim prętom.

W międzyczasie Abigail zdążyła dojść do pokoju i wesprzeć się o framugę.

– Co ksiądz robi? – Zapytała z niepokojem.

– Szukam czerwonej wstążki – odparł. – Tej przeciw urokom. Gdzie ją przywiązałaś?

Chwilę trwało, zanim dotarły do niej jego słowa.

– Wstążeczkę? – Katoliczką była zdecydowanie dłużej niż matką, stąd w jej głosie zabrzmiała nutka oburzenia. – Co też ksiądz? Przecież to zabobon, który...

...Chroni dom przed wizytą pierdolonych elfów – dokończył za nią Loki. – Takich, które zabierają ludzkie dzieci i zostawiają zamiast nich wykoślawione podmieńce. Rany, jak można tego nie wiedzieć? Zwłaszcza mieszkając na tych chrzanionych wyspach? To wy to wymyśliliście!

Wyprostował się i raz jeszcze zajrzał do łóżeczka. Pokraczne szkaradztwo właśnie się przebudziło i spoglądało teraz na niego swymi maślanymi oczkami. Na szpetną buzię wypłynął słodki uśmiech idioty.

Westchnąwszy ciężko, Kłamca niedbałym machnięciem wykonał znak krzyża.

– Wygląda na to, Abigail, że jesteście siebie warci – powiedział, mijając dziewczynę w progu i ruszając korytarzem. – Z dwojga złego lepsze to niż Antychryst, prawda? Którego zresztą dzięki tobie muszę teraz szukać po cholernych nibylandiach.

Będąc już przy drzwiach wyjściowych, przystanął na moment, jakby się zastanawiał.

– A skoro już masz podmieńca – zawołał do pustego korytarza – trzymaj go chociaż z daleka od żelaza, żeby się nie pochorował! I zacznij czytać bajki, na litość! Jemu i sobie!

## Paryż

Spacer nad Sekwaną nie był co prawda aż tak przereklamowany jak pływanie gondolą kanałami Wenecji, ale i tak okazał się dla Jenny sporym rozczarowaniem.

Teoretycznie wszystko wyglądało jak na widokówkach i w przewodnikach: zgrabne ławeczki wzdłuż wyłożonych kostką bulwarów, a pomiędzy nimi niewysokie drzewka otoczone niskimi ogrodzeniami z siatki. W tle ulica i czteropiętrowe kamienice o interesująco zdobionych fasadach. Do tego dochodziły jeszcze ustawione wzdłuż chodnika sodowe lampy o wielkich kulistych kloszach. W dzień nie prezentowały się imponująco, za to wieczorem zalewały świat swym jasnobrązowym światłem, tworząc obrazek jak z przedwojennego zdjęcia.

Wszystkie problemy zaczynały się, gdy ktoś, jak Jenny właśnie, chciał zachęcony zdjęciami pospacerować nad rzecznym bulwarem. I to właściwie o każdej porze. Rano trudno się było opędzić od żebraków i dworcowych kloszardów wietrzących zatęchłe ubrania, w południe od malarzy, grajków i natrętnych Cyganów, a wieczorem od pijanych amantów, złodziei torebek i zwyczajnych bandytów gotowych pobić, bo nie spodobał im się czyjś wyraz twarzy.

Kosze na śmieci opróżniano, dopiero kiedy wszystkie kubły wzdłuż bulwaru były pełne, co prowadziło do sytuacji, że w niektórych miejscach śmieci aż się przesypywały, podczas gdy w innych świeciły pustkami. No i jeszcze sama Sekwana, która śmierdziała jak jeden wielki ściek, zwłaszcza w ciepłe dni. Tak też zresztą wyglądała.

Mimo to Jenny chodziła tędy dwa razy dziennie: rano i późnym popołudniem. Powód był prozaiczny – to była najkrótsza droga do domu.



Tego dnia gotowa była na dłuższą, okrężną trasę. Zajęcia skończyły się później niż zwykle, więc zanim wyszła z uczelni, było już ciemno. Ulice – jak na paryskie standardy – świeciły pustkami, a pojedynczy przechodniemieli blade, mokre od potu twarze i postękiwali cicho z każdym krokiem.

*Może to jakaś epidemia?* – Przemknęło dziewczynie przez głowę. Przypomniała sobie, że rano usłyszała w radiu wiadomość o tajemniczej skrzyni rozmiarów jednodrzwiowej szafy znalezionej przez policję na Polach Elizejskich. Czy mogła to być biologiczna broń terrorystów? No ale służby by ją chyba zabezpieczyły...

Aż żałowała, że w ciągu dnia nie miała okazji posłuchać radia. Właściwie cały dzień spędziła zamknięta w pracowni i skupiona na usuwaniu patyny z ozdobnej pozłacanej ramy oddanej przez Luwr do renowacji. Jedyнным dźwiękiem, jaki jej tam towarzyszył, był szum ustawionego w kącie wentylatora.

Właśnie wtedy przeszło jej przez głowę, że może nie powinna iść dziś pasażem. Nie bała się, że ktoś ją napadnie i zrobi jej krzywdę – od incydentu w Górach Skalistych, gdzie szajbnięty anioł wydlubał jej oko, dużo czasu poświęciła na naukę, jak sobie radzić. Chodziło raczej o to, że jeśli to rzeczywiście epidemia, bandyci również mogą być chorzy, a wtedy walcząc z nimi, zaraziłaby się na pewno. Zdecydowanie wołała tego uniknąć, zwłaszcza jeśli jedyną ceną miał być spacer dłuższy o piętnaście minut.

Kiedy jednak zeszła z mostu, zauważyła, że bulwar i równoległa do niego ulica były zupełnie puste. To sprawiło, że ostatecznie postanowiła pójść skrótem.



Alejka wyglądała jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Rozsypane śmieci walały się po chodnikowej kostce, na trawniku leżały porozrzucane szmaty zniszczone tak, że nie chcieli ich już nawet kloszardzi. Nieco dalej ktoś złamał na pół jedno z drzewek.

– Coś się musiało stać, to pewne – powiedziała Jenny i zdumiała się brzmieniem własnego głosu. Dopiero teraz dotarło do niej, że choć minęła przecież na ulicy kilku przechodniów, żaden z nich nie powiedział ani słowa. Przyspieszyła kroku.

Była już w połowie drogi, gdy nagle dobiegł ją ochrypły głos spod jednej z ławek:

– *Mad... Mademoiselle*, proszę mi pomóc. Odwróciła się i dostrzegła twarz całą w krwawych wybroczynach.

Żebrak wyciągał ku niej owrzodzoną rękę, jednocześnie próbując się wyczołgać.

– Proszę, tak strasznie boli.

Jenny zawahała się przez moment. Stała, patrząc na żebraka z mieszaniną strachu, litości i obrzydzenia, niepewna, co powinna zrobić. Wezwać karetkę? Jeśli to rzeczywiście epidemia, nikt nie przyjedzie. Zresztą nawet jeśli nie, to który szpital chciałby przyjąć na oddział owrzodzonego kloszarda? Sama bała się pomóc, bała się nawet podejść bliżej. Zresztą nie wiedziała, co mogłaby zrobić. Na krótkim kursie pierwszej pomocy nikt nie wspominał o podobnych przypadkach.

Tymczasem na ulicy obok pojawili się inni ludzie. Wychodzili z budynków, sunąc powoli, kołysząc się na boki – brakowało tylko wyciągniętych przed siebie rąk, by wyglądali jak lunatycy ze starych filmów. Z początku poruszali się w ciszy, ale w pewnym momencie ktoś jęknął, upadając, a reszta, uznawszy to najwyraźniej za przyzwolenie, podjęła owo jęknięcie i poniosła je dalej, stękając i zawodząc jeden przez drugiego.

Nie sprawiali wrażenia, jakby chcieli komuś zrobić krzywdę. Wyglądali raczej na oszołomionych i zdezorientowanych. Zachodzili sobie drogę, odbijali się od siebie nawzajem, czasem padali na kolana, a innym razem na tyłek.

Dziewczyna nie miała już wątpliwości: Paryż dotknęła jakaś epidemia. Chorzy pojawili się już niemal wzdłuż całej ulicy i wolno, bo wolno, ale wszyscy sunęli w stronę bulwaru i Sekwany. Odcinek był zbyt długi, aby zdążyła dobiec do końca, zanim przekroczą pas zieleni. A to znaczyło, że tak czy siak zblizną się do niej... I zarażą. Plując, smarkając czy po prostu oddychając. Kiedyś czytała, że w odległości metra od chorego zarażającego drogą kropelkową zagrożenie sięga dziewięćdziesięciu siedmiu procent.

– Pomóż mi, pieprzona dziro! – Krzyknął spod ławki kloszard, któremu najwyraźniej skończyła się cierpliwość. – Pomóż mi, słyszysz?!

Usłyszała. I co ważniejsze, zareagowała. Ścisnęła mocniej torebkę, zrzuciła buty na obcasie i pognąła w stronę domu.

– *Va t'faire mett, salope!*<sup>[7]</sup> – Wydarł się za nią kloszard.

Kostka chodnikowa była zimna, a do tego nie brakowało na niej śmieci, które przylepiały się do stóp dziewczyny lub raniły skórę. Jenny nic sobie z tego nie robiła. Zerkała tylko, czy zdąży.

Szanse były marne – pierwsi chorzy przed nią wkraczali już na pas zieleni szeroki na jakieś trzy metry, a ona miała jeszcze ze sto metrów do przebiegnięcia.

I wtedy właśnie usłyszała ten dźwięk. Z początku brzmiał jak wyjątkowo głośny komar, ale z każdą chwilą się nasilał.

*Skuter!* – Zrozumiała. Nie zwalniając, zerknęła przez ramię i dostrzegła pędzącego ku niej Erosa.

– Zatrzymaj się, Jenny! – Zawołał bóg miłości. – Stań na chwilę, na ruiny Olimpu!

Posłuchała. Zatrzymała się, a gdy podjechał, wskoczyła na tylne siedzenie i mocno objęła wybawcę. Trochę przeszkadzał jej w tym sztuczny brzuch, ale jakoś sobie poradziła.

– Gaz do dechy! – Zawołała.

– Chciałbym zauważyć, że to jedynie skuter i...

– Jedź! – Wrzasnęła. Wiedziała, że jeszcze chwila i zyskana właśnie przewaga weźmie w łeb.

Eros skinął głową i pognał bulwarem.



Skuter zdążył minąć kolejną przecznicę, zanim chorzy doszli wreszcie do barierki. Większość zatrzymała się przy niej, drepzcząc w miejscu, nieliczni zawrócili i ruszyli w stronę kamienic.

Jeden chłopak, na oko dwudziestoletni, wpadł do wody. Nie zdążył się nawet w całości zanurzyć, gdy spod powierzchni wystrzeliła pełna wypustek macka i złapała go, miażdżąc żebra w twardym uścisku. Chłopak wrzasnął, a zaraz potem macka wciągnęła go w otchłań.

### *Okolice Chengdu, Chiny*

– A mogłem wziąć Japończyka – żalił się anioł stróż Zerael siedzącemu na ogrodzeniu skrzydlatemu kompanowi. – Oni chociaż mają wolną telewizję i miliony kanałów.

Jego towarzysz, anioł Lee – naprawdę wcale się tak nie nazywał, ale nie rozmawiał z nikim, kto mówił do niego inaczej – wzruszył ramionami.

– Ja tam nie narzekam – powiedział. – Spokój mamy przynajmniej, ciszę.

– No pewnie – mruknął Zerael – i dziesiątki srających wszędzie pand. Musiałbyś ciągle fruwać, by w nic nie wdepnąć.

Wzniósł się w górę i usiadł na ogrodzeniu obok kolegi.

Ośrodek Badań nad Pandą Wielką – tak brzmiała oficjalna nazwa placówki, w której pracowali ich podopieczni – położony był kilka kilometrów za miastem i zajmował, wedle tabliczki stojącej u wejścia, dwieście trzydzieści hektarów. Większość stanowiły wybiegi pełne zieleni, oczek wodnych... I oczywiście bambusów, którymi żywiły się czarno-białe misie. Poza tym na terenie ośrodka znajdowała się jeszcze klinika, mały biurowiec oraz obowiązkowe muzeum i sklepik z pamiątkami. W tym ostatnim pracowała katoliczka, która również miała swojego stróża, ale ani Zerael, ani Lee nigdy nie gadali z tym nadętym bucem twierdzącym, że osobiście przetrącił skrzydła Lewiatanowi. Wyglądał, jakby Metatron, wyśpiewując go, nabawił się czkawki, i wątpliwe było, czy dałby radę dolecieć do miasta bez międzylądowań.

– Mówiłem ci, że mój znowu dostał zaproszenie na konferencję w Pekinie? – Odezwał się po dłuższym milczeniu Zerael. Jego podopieczny był weterynarzem, uznanym specjalistą od pand, więc dość często gdzieś go zapraszano. Zawsze odmawiał, tłumacząc się, że na miejscu jest bardziej potrzebny.

Lee skinął głową.

– Mówiłeś. Przykro mi.

– Wiesz, gdyby nie te odmowy, to może i nawet byłoby z nim fajnie. A tak to sobie myślę, czy nawet chóry nie byłyby...

Lee uciszył go gestem.

– Spójrz tam – powiedział.

Zerael popatrzył we wskazanym kierunku.

– Na Trony i Zwierzchności, co to?

Nie dalej jak sto metrów od nich olbrzymia panda szła sobie właśnie po tafli jeziora. Jej łapy praktycznie się nie zanurzały – ledwie tyle, że unosząc je, wzbijała w górę deszcz kropel.

– Tam są ze dwa metry głębokości. – Zdumiony Lee przełknął ślinę. – W zeszłym miesiącu mój władował się tam jeepem i...

Nie skończył, bo panda wstała właśnie na tylne łapy i zaczęła tańczyć. Z początku kołysała się tylko na boki, ale już po chwili rozochociona kręciła brzuchem, a nawet usiłowała wykonać księżycowy chód. Wszystkie w rytm fal, które ni stąd, ni zowąd wezbrały na jezioru i przewalały się teraz to w jedną, to w drugą stronę, nic sobie nie robiąc z kierunku wiatru.

– Lecę tam – oznajmił Zerael i wzbił się w powietrze.

Lee pognał zaraz za nim.

Wylądowali tuż przy brzegu oczka wodnego i przez chwilę wbijali wzrok w zwierzę. Miś właśnie

wykonał niezgrabny obrót z łapami w górze. Przewrócił się, ale zaraz podniósł i płynnie przeszedł do podstawowego kroku cza-czy.

– Myślisz, że powinniśmy kogoś wezwać? – Zapytał Lee.

– Do tańczącego niedźwiedzia? – Zerael popatrzył na niego z politowaniem. – Oni je tu uczą sztuczek, Lee. Może nie powinni, ale to robią. Nad tą pandą ktoś wyraźnie długo pracował...

– ...Bo umie tańczyć na powierzchni jeziora. Mówiłem ci już, że tu jest ponad dwa...

– Co ona teraz robi? Gdzieś już widziałem to machanie ręką.

Lee wzruszył ramionami. Najwyraźniej musiał poczekać z wyjaśnieniami, aż miś zakończy swój występ. Wcześniej nie było szansy, by coś do Zeraela dotarło.

– Oczywiście, że widziałeś – powiedział. – W „Gorączce sobotniej nocy”.



– Dobra, są – szepnął inkub, wyglądając zza krzaka. – Występ Yu wyraźnie ich zaintrygował.

Odwrócił się i spojrzał na towarzyszących mu ośmiu chińskich nieśmiertelnych, znanych bardziej jako Ba-xian – bóstwa wywyższone spośród wszystkich chińskich duchów i dżinijów. Trzech z nich dawno temu żyło jako ludzie, a gdy odeszli, ich czyny obrosły legendą, stali się najpierw bohaterami i patronami, a potem awansowali na pomniejszych bóstwa. Pozostałych pięciu miało znacznie prostsze życiorysy – powołała ich do istnienia siła wiary w świat duchów. Niestety, ludzie, dając im w ten sposób życie i moc, przy okazji obdarzyli Badian pychą i głupotą – a to najgorsza z możliwych mieszanek.

– I co? Mamy tak po prostu na nich skoczyć? – Zapytał Lan Cai-he, najbardziej wygadany ze wszystkich. A może po prostu najgłupszy, bo on jeden nie czuł wcale lęku przed demonami w czerni.

– Tak – pokiwał głową inkub. – Najpierw jednak musicie ich zobaczyć. No więc, panowie, tak jak ćwiczyliśmy, zróbcie zeza i...

– Skoczyć, zakatrupić, utopić w jezioru? – Upewniał się Lan Cai-he. – To cały plan?

Pozostali wzruszyli ramionami na znak, że dzielą jego wątpliwości.

– Nie jest to plan godny Fu-manchu, to pewne – stwierdził Zhang Guo-lao. – No tak, z zezem ich widzę, ale tylko dwóch. Gdyby było ich więcej albo chociaż troiło mi się w oczach po wódce z sorgo... A tak? To nijak nie wzbogaci naszej legendy.

Inkub westchnął ciężko. Wciąż nie potrafił zrozumieć, jak Asmodeusz mógł zrobić mu coś takiego. W całej Azji nie było demona, który lepiej niż inkub uwodziłby zakonnice i świeckie misjonarki. Kilka z nich na jego cześć założyło nawet nowe zgromadzenie, którego nazwa w wolnym tłumaczeniu z chińskiego znaczyła Zakon Nocnych Rozkoszy.

Trzysta lat nienagannej służby i co w nagrodę? Od trzech dni latał i uczył mitycznych, co zrobić, by mogli zobaczyć anioły. To już nie była nawet niedogodność. To zwyczajne upokorzenie...

– Panowie – zaczął powoli, najspokojniej jak tylko potrafił – wiem, że zadanie może się wam wydawać niegodne, ale to, niestety, konieczność, jeżeli chcemy wykonać nasz wspólny plan. W całej okolicy zostały jeszcze tylko trzy anioły pracujące na terenie ośrodka. Tych dwóch dorwiemy teraz, a trzeciego później.

– A może lepiej poczekać, aż ci dwaj zawołają towarzysza? – Zaproponował Lan Cai-he.

Inkub zerknął w stronę tańczącej pandy, której najwyraźniej już brakowało pomysłów na kroki – od kilku chwil zaczynała się powtarzać. Uznał, że trzeba działać szybko.

– Nie, trzeci potem. Zróbmy, jak ćwiczyliśmy. Patrzcie w stronę jeziora, skupiając wzrok na brzuchu pandy... Przepraszam, wielkiego Yu. A teraz spróbujcie popatrzeć jakby przez niego, na wylot. No dalej, nie wstyďte się, możecie robić zeza... Już? Widzicie ich? No to jazda!

Ba-xian z mieczami w rękach wyskoczyli na polankę.



Po wszystkim inkub odhaczył dwa kolejne imiona na liście i zamknął notatnik.

– No dobrze, na mnie już czas – powiedział. – Muszę jeszcze dziś nauczyć tej sztuczki panów Tengu

i Kappę z Japonii, a potem nareszcie mogę wrócić do swojej zwyczajnej pracy. Z tym ostatnim poradzicie już sobie sami?

Ba-xian pokiwali głowami. Mogli grymasić przed akcją, ale pokonanie skrzydlatych ciemnych ludzi sprawiło im naprawdę wielką satysfakcję. Lan Cai-he stanął nawet w triumfalnej pozie z jedną nogą na piersi zabitego przeciwnika, a Zhang Guo-lao wrywał mu pióra i próbował je potem przeciąć w powietrzu.

Tylko siedzący pod drzewem Yu nie wyglądał na zadowolonego. By to podkreślić, przybrał postać sędziwego starca, jakim był pod koniec swego panowania.

– Mogłem przemienić się w smoka jak dawniej – mamrotał pod nosem. – Uporałbym się z nimi raz-dwa i nie trzeba by było tych głupich tańców. Wystarczy raz w młodości przybrać postać niedźwiedzia i już potem wypominają całą wieczność...

Incub chciał mu powiedzieć, że to nie tak, ale w końcu machnął ręką. Właściwie co go to obchodziło? Miał swoją robotę.

– Do zobaczenia kiedyś, panowie! – Zawołał, zmieniając się w zielonkawą mgłę. – Mam nadzieję, że gdy już nadejdzie nowy ład.

Wzniósł się pod niebo i pozwolił, by porwały go powietrzne prądy płynące na wschód – ku Japonii. Mimo odległości wciąż słyszał narzekania Yu:

– I w ogóle co to jest panda?! To ma być niedźwiedź?!

### *Okolice Drumsum, Irlandia*

Od godziny nie dało się złapać żadnej stacji – słychać było wyłącznie suche trzaski, zupełnie jakby ktoś złapał antenę radiową. Loki, nie odrywając wzroku od drogi, otworzył schowek i spróbował wymacać jakąś kasotę. W końcu po kilku próbach udało mu się wydobyć dwie: „Irish Dream” – ludowe pieśni Irlandii, i składankę The Who. Wcisnął tę drugą do odtwarzacza. Samochód wypełniły dźwięki. Muzyka – przyjemny, pozytywny rock – odrobinę poprawiła Kłamcy humor, ale i tak miał ochotę zrobić komuś krzywdę. Problem w tym, że nie wiedział za bardzo komu. Matce skazanej na niedorozwiniętego elfa? Operatorowi telefonii, przez którego za nic nie mógł się dodzwonić do Jenny, od kiedy wylądował na tej pieprzonej wyspie? A może archaniołowi, bo domaga się od swojego cyngla, by ten rozwiązał problem bardzo nieanielskimi metodami? Antychryst przecież, podobnie jak kiedyś Chrystus, urodził się człowiekiem. A aniołom ludzi zabijać nie wolno.

Swoją drogą, to niezwykle, jak brak durnej wstążeczki może wszystko pogmatwać. Wystarczyłaby mała czerwona aksamitka przywiązana do nogi łóżka. Zabobon – wielkie słowo! Mogłaby sobie zwiisać po prostu dla ozdoby jak bombki na choince i już byłoby po sprawie. Elfy przychodzą ze swoim szkaradziństwem, patrzą – ładny dzieciak, próbują dokonać podmiany i wtedy dostają po łapach magicznym pastuchem. Odchodzą jak niepyszne, a Antychryst nawet nie dostrzega ich obecności zajęty sikaniem w swą przeklętą pieluchę zła.

Równie, a może nawet bardziej zaskakujący był fakt, że przecież obie strony, ci z dołu i ci z góry, znali wartość dzieciaka. Dlaczego nikt go nie pilnował? Dlaczego...

– Cholera! – Kłamca skręcił gwałtownie, aż zniósło go na przeciwny pas, ale jakimś cudem wyminął mężczyznę, który niespodzianie wyskoczył na jezdnię. Lokizerknął w lusterko i dopiero wtedy dostrzegł, że z okolicznego rowu wystawał tył rodzinnego vana. Facet miał wypadek i potrzebował pomocy.

– Wybacz, stary – powiedział Kłamca. – Nie ten Samarytanin.



Dopiero trzeci wypadek na odcinku nie dłuższym niż dwadzieścia mil uzmysłowił Lokiemu, że dzieje się coś dziwnego. Kiedy sprawdzał tę drogę w przewodniku, dowiedział się, że to jedna z lokalnych szos, rzadko używana przez turystów, że samochody przejeżdżające nią w ciągu godziny można policzyć na palcach jednej ręki.

A teraz nie dość, że namnożyły się wypadki, to jeszcze na asfalcie pełno było martwych lisów i myszy.



To drugie zjawisko stanowiło ewidentny dowód, że natężenie ruchu musiało nastąpić nagle – zwierzęta nie zdążyły się przyzwyczaić.

W pewnym momencie, widząc samochód stojący na poboczu – nietknięty, za to z nieprzytomnym kierowcą – Kłamca chciał nawet zjechać i sprawdzić, co się dzieje, ale ostatecznie uznał, że szkoda mu czasu. Według mapki, którą sobie wydrukował, od celu dzieliło go jeszcze nieco ponad piętnaście mil, a chciał jeszcze dziś dokonać przejścia i załapać się na lot do Paryża przed północą.

Na wszelki wypadek – w końcu im bliżej celu, tym większe ryzyko – zwolnił i uważniej obserwował tak drogę, jak i okolicę.

Za niewielkim wzniesieniem dostrzegł na pastwisku stado krów. Spośród ośmiu czy dziesięciu jałówek tylkojedna chwiejnie stała na nogach, reszta leżała na bokach, z wysiłkiem opędzając się przed chmurami much. W pobliżu nie było nikogo, kto by je doglądał.

*Może to pogoda?* – Pomyślał. Sam nie odczuwał zmian ciśnienia i nie wpływało ono na jego samopoczucie, ale zbyt długo przebywał wśród ludzi, by nie zaobserwować, jak na nich działa niższy o kilka kresek słupek na barometrze. Cóż byłby z niego za oszust, gdyby nie dostrzegał takich darów od losu?

Sięgnął do kieszeni po wykałaczkę... I w tym momencie coś uderzyło o maskę samochodu. Było to spore czarne ptaszysko, prawdopodobnie wyrosnięta wrona, może kruk. Musiał spaść z wysoka, bo udało mu się zrobić wgniecenie.

Kłamca zahamował gwałtownie.

– Co, do cholery?! – Zawołał.

I niemal w tym samym momencie z nieba posypały się kolejne ptaki. Spadały po kilka naraz, niektóre z przodu, inne tuż za samochodem. Jeden wylądował na dachu, wbijając się w niego dziobem. Nie zdołał przekuć tapicerki, ale zdrowo ją wyrzucił. Inny odłamał boczne lustro...

*Kurwa, ale Hitchcock!* – Przemknęło Lokiemu przez głowę. Wrzucił bieg i gwałtownie ruszył przed siebie. Leżące na samochodzie ptasie truchła pospadały na asfalt.



Curtis O'Banion docisnął rękę do brzucha i ostrożnie zsunął się z krzesła. Usłyszał pierwsze bulgotanie. Ostrzegawcze.

– Dasz radę, Curt – powiedział sam do siebie, przecierając czoło drugą ręką. – Dasz radę, to niedaleko.

Drugie bulgotanie połączone z bólem i lekkim skurczem zwieraczy. To już nie było ostrzeżenie, tylko zapowiedź. Rzucił się biegiem przez sklep w stronę toalety.

Wyszedł po piętnastu minutach, ale wcale nie czuł ulgi. Odbyt palił go teraz, jakby ktoś nawtykał weń papryczek chili. O'Banion wciąż miał mdłości, a do tego czuł, że nogi tylko czekają, aż zrobi pierwszy krok, by zdradziecko się pod nim ugiąć i zwalić go na podłogę. Raz jeszcze przetarł czoło i usiadł oparty plecami o ścianę. Oddychał głęboko, trzymając się za brzuch.

Czegoś takiego nie pamiętał od naprawdę dawna. W ogóle jeśli spojrzeć na ostatnie pięć lat życia Curtisa, można by dojść do wniosku, że choroby zwyczajnie bały się tego olbrzymiego, ryżowłosego trzydziestolatka o bujnej brodzie zaplecionej w gruby warkocz. Żadnych przeziębień, rozstrojów żołądka, dolegliwości związanych z nocowaniem na ziemi podczas niezliczonych zjazdów rycerskich, którym z taką pasją się oddawał. Aż do teraz.

Siedział tak jeszcze przez chwilę, po czym uznał, że musi wracać na swoje stanowisko – stąd widział co prawda kasę sklepu, ale już dystrybutory z paliwem były poza jego zasięgiem. Podniósł się z trudem i powoli począł za ladę.

Ledwie zdążył usiąść, gdy pod jedynekę podjechał mocno pokiereszowany opel corsa. Samochód wyglądał, jakby ktoś solidnie go obtłukł kijem bejsbolowym – miał urwane lustro, powgniatany dach i maskę, do tego pajęczynkę pęknięć na przedniej szybie. Z drzwiami też było coś nie tak – kierowca trochę się namęczył, zanim je otworzył.

*Musiał mieć wypadek* – pomyślał Curtis, przecierając czoło. – *Pewnie będzie chciał zadzwonić po*

*pomoc.*

Odwrócił się, by sięgnąć po telefon.

Tymczasem kierowca zdążył już dojść do budynku. Na krótką chwilę jego uwagę przykuł plakat promujący program lojalnościowy dla kierowców. Uśmiechnął się do zdjęcia modelki, po czym pchnął drzwi i wszedł do środka. Nie spieszyło mu się widać, bo zamiast podejść do lady, przystanął przy stoisku z prasą.

Brzuch przypominał o sobie bulgotaniem – pierwszym ostrzeżeniem nowej serii. Curtis zerknął tęsknie w stronę toalety.

*Za chwilę będę musiał wyprosić faceta albo zostawić go samego w sklepie* – pomyślał. Ani jedno, ani drugie nie uśmiechało mu się za bardzo.

– Mogę w czymś pomóc? – Zapytał. Zdał sobie sprawę, że facet zaparkował przy dystrybutorze, ale nie zatankował. Może nie umiał? – Jeżeli życzy pan sobie...

– Szukam przejścia – mruknął tamten ze wzrokiem utkwionym w magazynie motoryzacyjnym. – Wiem, że jedno z nich jest gdzieś tutaj.

O'Banion nabrał tchu. Tego się, przyznał, nie spodziewał. Docisnął rękę do brzucha, próbując tłumić drugie bulgotanie.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł.

Klient podniósł wzrok znad magazynu i uśmiechnął się do niego z sympatią. Wykałaczka w jego ustach przewędrowała z jednego kącika ust do drugiego. Z kieszeni płaszcza wystawała główka pluszowego misia.

– Myślę, że potrzebujesz teraz krótkiej przerwy – powiedział. – Umówmy się, że jak już załatwisz swoją potrzebę, wrócę i wtedy dasz mi to, o co proszę, dobrze?

– Naprawdę nie wiem, o czym pan...

– Poczekam na zewnątrz. – Klient odłożył gazetę i wyszedł przed lokal.

W samą porę, bo właśnie w tym samym momencie rozległo się trzecie bulgotanie. Curtis elektronicznie zablokował drzwi i pognął na zaplecze.

*Ciekawe, skąd facet wie* – myślał, jednocześnie walcząc ze zwieraczami i mocując się z paskiem. – *Przecież tak naprawdę mało kto wie o przejściach. A już żeby znać ich lokalizację? To może oznaczać wyłącznie kogoś z kapituły Stowarzyszenia Naturalnych Religii Europy. Ale po co któryś z nich miałby próbować przejścia, które dla każdego człowieka to pewna śmierć?*

Wyciągnął rękę w stronę klamki... Gdy nagle ta przejechała na drugą stronę drzwi.

Zamrugął.

– Rany, co się ze mną dzieje? – Stęknął. Ponownie spróbował złapać klamkę, ale ta uciekła wysoko, pod samą framugę. Stamtąd zamachała na Curtisa swym ramieniem, pozdrawiając go, a może przywołując.

W brzuchu sprzedawcy znów zbulgotało, a zaraz potem przyszedł skurcz. Bolało, jakby grupa Riverdance odtńczyła całą rewię na jego żołądku. Czuł, że nie może już dłużej, oczy zalewał mu pot.

Ostatkiem sił podniósł rękę i spróbował jeszcze raz. Gdy chwycił za klamkę, ta wierzgnęła mu pod palcami niczym jaszczurka, a potem gwałtownie pociągnęła jego rękę w dół. Curtis runął na ziemię.

– Właściwie to zmieniłem zdanie – odezwał się nieznajomy stojący ledwie parę metrów obok. W zębach wciąż trzymał wykałaczkę, a w rękach wciąż miał ten sam magazyn motoryzacyjny. – I chyba jednak mi się spieszy. Gdzie jest przejście?

Curtis z trudem obrócił się na plecy i popatrzył na klienta.

– Kim jesteś? – Zapytał.

– Odpowiedź *bogiem* raczej nie sprawi, że błysnie ci żarówka, nie? W końcu tyłu ich macie... – Nieznajomy odłożył gazetę, przykucnął. – Podpowiem ci. Trochę mnie nie lubili w Walhalli. Wąż i takie tam...

Grymas bólu na twarzy sprzedawcy na moment ustąpił miejsca przerażeniu, gdy zrozumiał, z kim ma do czynienia.

– Ty jesteś Loki, zabójca Baldra.

– Dokładnie tak. – Kłamca uśmiechnął się. – Dodajmy, że załatwiłem go zwykłą jemiołą. Pomyśl, co mógłbym zrobić z... – Podniósł coś z półki, przeczytał napis z opakowania – *megapaka skittles dla*

*prawdziwych łasuchów.*

Mrugnął wesoło i rzucił Curtisowi cukierki.

– Więc gdzie jest to przejście?



Sprzedawca stał zgięty w pół i patrzył, jak Loki najpierw odsuwa jedną z lodówek i staje na skraju tęczy – przejścia do innych światów. Wikingowie nazywali ją Bifróst i wierzyli, że pilnuje jej bóg Heimdall. Według legendy miał być tym, który zabije boga kłamstwa, sam ginąc z jego ręki. Teraz młody sprzedawca miał tylko nadzieję, że zanim strażnik padnie, solidnie skopie Lokiemu dupę.

– Przepraszam – dobiegło od strony lady.

Curtis odwrócił się gwałtownie. Zupełnie zapomniał, że jest przecież na stacji benzynowej, miejscu, było nie było, publicznym. Teraz myślał w panice, jak wyjaśnić nowemu klientowi tęczowe przejście za lodówką.

– Dzień dobry – powiedział, siłąc się na uśmiech. – To taka nowa chłodnia, którą właśnie...

– Nie musi mi pan niczego tłumaczyć, O'Banion – odparł mężczyzna w czerni. – Zwłaszcza że spisał się pan wyśmienicie.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl małą świeczkę. Zapalił ją, pstrykając palcami.

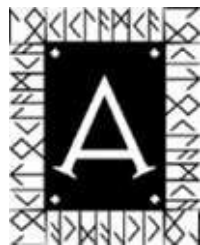
– Gdy płomień zgaśnie, nie będzie pan pamiętał o przejściu, o Lokim, o mnie. – Postawił świeczkę na ladzie. – I proszę się też nie przejmować biegunką. Zapewniam, że niedługo minie.

Przeszedł koło oszołomionego sprzedawcy i położył na progu tęczowego przejścia coś, co wyglądało jak hokejowy krążek. A potem zwyczajnie rozwiął się w obłoku czarnego dymu.

Kilka sekund później potężna eksplozja targnęła sklepem przy stacji benzynowej. Dach uniósł się na kilka metrów, z szyb został tylko szklany pył. Oczywiście Podmuchał także świeczkę.

## Rozdział 4

### Tuttlingen, Niemcy



niół z przetrąconym kręgosłupem leżał na szczycie stosu. Skrzydła rozłożone miał szeroko, jakby ostatkiem sił próbował uczynić z nich całun dla leżących pod nim towarzyszy. Jego czaszkę ogolono do zera, a prócz tego wyłupiono mu oczy i wyrwano serce.

Klatka piersiowa pozostała otwarta na oścież – nawrzucono do niej błota i gliny.

Archanioł Michał stał pochylony nad ciałem – z rękami splecionymi na piersi, skrzydłami otulającymi ramiona niczym peleryna – a tatuaż na jego twarzy z każdą chwilą gorzał coraz bardziej.

Podobnych stosów było na równinie kilkanaście. Wszystkie złożone z kilku anielskich ciał rzuconych jedno na drugie i przykrytych skrzydłami leżącego na samej górze. Lśniły w porannym słońcu blaskiem piór i rosą.

– To wszystko twoi? – Zapytał Gabriel, stając za plecami Michała.

– Miałeś czekać na wzniesieniu – warknął Wódz Zastępów. – Razem z generałami.

– Czekałem, ale tkwisz tu już ponad godzinę. – Gabriel przykucnął nad jednym z ciał i położył na nim dłoń. Bóg nigdy nie wyjaśnił, co się dzieje z odchodzącymi aniołami, archanioł jednak głęboko wierzył, że każdy z nich wraca do Pana jako natchnienie do kolejnej pieśni dla Metatrona. Teraz, klęcząc nad zabitymi towarzyszami, życzył im odrodzenia.

Michał, widząc to, prychnął i przeszedł do kolejnego stosu. Podniósł leżący obok miecz, zamachał nim kilka razy.

– Znam każdego z nich z imienia, Gabrielu – powiedział. W jego głosie tym razem miast gniewu słyszeć było smutek i gorycz. Tatuaż w jednej chwili przygasł; ledwo się tlił. – Tam leży Adeo, zaraz pod nim Erygion, który pomógł Jozuemu obalić mury Jerycha. Dalej masz Unaela, Izrafela, Jakse zwanego Cwaniakiem i...

– Dość, Michale! – Gabriel położył rękę na ramieniu Wodza Zastępów i zmusił, by ten się odwrócił.

Oczy archanioła – posłańca śmierci, były teraz czarne, a skóra przywarła do policzków, uwydatniając kości. Jego włosy rozwiały się i falowały, choć nie było wiatru, a rozpostarte skrzydła, mimo iż białe jak śnieg, chłonęły światło i rzucały cień na polanę.

– Twoi generałowie czekają na rozkazy, bracie. Idź do nich i powiedz, co mają robić – powiedział już spokojniej Gabriel.

Wódz Zastępów po chwili lekko skinął głową.

– Każ stróżom i chórzystom zabrać poległych w jakieś godniejsze miejsce – polecił, rozkładając skrzydła i wznosząc się na kilka metrów. – Nie zostawię ich tutaj.

Wzleciał jeszcze wyżej, po czym pofrunął w stronę wzniesienia, gdzie czekali na niego generałowie Zastępów.



Narada odbyła się na niewielkiej polance ukrytej między drzewami, w naprędcie rozstawionym namiocie. Wokół na drzewach ukrywało się kilka tuzinów żołnierzy anielskich Zastępów obserwujących okolicę, a archanioł Rafael uważnie szukał śladów obcych myśli. Takich środków ostrożności nie podjęto na ziemi od czasu buntu Lucyfera.

Wewnątrz namiotu nie było krzeseł ani stołków, więc wszyscy generałowie Zastępów siedzieli bądź klęczeli na trawie. Ich pozaginane skrzydła aż trzeszczały przy każdym ruchu, twarze wyrażały skupienie

i niepokój. Dwanaście par oczu uważnie śledziło każdy ruch wodza.

– Dwadzieścia tysięcy stróżów, dwustu jedenastu żołnierzy – powiedział w końcu Michał, odsuwając się od ściany namiotu, na której zapisał kawałkiem węgla podane właśnie liczby. – Dane z ostatnich dwóch dni. Zastawiono na nich pułapki przygotowane z udziałem mitycznych bóstw i demonów. Pomiotów ludzkiej wyobraźni, które na ziemi w ogóle nie powinny nas widzieć!

Płomień buchnął z tatuażu archanioła, a węgiel w jego dłoni rozżarzył się. Ciśnięty gniewnie na bok wypalił dziurę w ścianie namiotu.

Generałowie popatrzyli po sobie. Czuli, że ktoś powinien się odezwać, zanim archanioł zacznie zadawać pytania, na które żaden z nich nie znał odpowiedzi.

Wszyscy pamiętali, że zobaczyć anioła można albo w jednej z mitycznych krain i wtedy działo się to samoistnie, albo na ziemi za przyzwoleniem skrzydatego. W przypadku mitologicznych w grę wchodził jeszcze fizyczny kontakt – ot, anioł uderzył bądź pochwyił bóstwo, a wtedy ono go zobaczyło. No ale to anioł zawsze miał przewagę, więc tyłu z nich miałyby zostać pokonanych przez – rzecz by można – duchowych ślepców?! Jedynie Loki i jego greccy kompani mieli przyzwolenie na oglądanie skrzydlatych zawsze i niezależnie od ich woli.

– Nie powinni nas widzieć, wodzu. Dlatego właśnie daliśmy się zaskoczyć – powiedział w końcu Elemiah, następcę Nathaniela, który zawiódł Michała w Asgardzie.

Ten najmniej doświadczony spośród dowódców Zastępów był – jak głosiła plotka – stworzony, aby pobudzać słuszną dumę i hamować impulsywność. Tym razem jednak mu nie wyszło. Michał spiorunował generała wzrokiem, a zaraz potem na twarz wodza wypłynął uśmiech tak paskudny, że siedzący po obu stronach Elemiaha Mazariasz i Trezear o twarzy dziecka odsunęli się, byle jak najdalej od niego.

– Pan zatem powierzył nam opiekę nad jego dziełem wyłącznie w sytuacji, gdy wszystko będzie jak zwykle? – Głos Michała, z początku spokojny, zaraz przybrał na sile. – Armia stwórcy wszechświata, która obróciła w perzynę Olimp, Walhallę i Śrirangam dała się zaskoczyć, bo przeciwnik zastosował nową taktykę?! Wystarczyło, że...

To nie tak, wodzu – wtrącił Asaliah zwany Boską Prawdą. Dawno temu zafascynowany pewnymi zagadnieniami związanymi z procesami fizjologicznymi człowieka poprosił Metatrona, by ten postarzył go pieśnią. Chciał zobaczyć, jak to jest, gdy przestaje się akceptować własne odbicie. Jednak z miejsca polubił swe siwe, przeredzone włosy i zmarszczki wokół oczu i ust. Budziły szacunek.

Oczywiście na Michale nie robiły wrażenia, ale i tak przerwał swoją tyradę, spoglądając na generała. W przeszłości zdarzało się, że Asaliah mówił do rzeczy, a i teraz musiał mieć coś ważnego do przekazania, skoro przerwał wodzowi.

– Jeśli nie tak, to jak? – Zapytał archanioł.

– Wydaje mi się, że to nie jest wcale nowa taktyka, a jedynie nowe wojsko. – Anioł kątem oka dostrzegł, że do namiotu wśliznął się Gabriel i usiadł w kącie. – Skoro my mogliśmy wziąć na służbę Lokiego i jego kompanów, to dlaczego Upadli nie mogli wpaść na to samo? Im byłoby nawet łatwiej, bo przecież bóstwa i demony nas nie znoszą.

– Tak, a Lucyfer mógłby nauczyć ich widzenia naszych. Przecież był aniołem i wie, jak się to robi – dopowiedział ochoczo Elemiah, podpadając po raz drugi. Zdecydowanie nie był to jego dzień.

– Czyli to nawet nie nowa taktyka? – Michał udał zdumienie. – To zwyczajnie opcja, zlekceważona przez nas opcja, bo mieliśmy na usługach cyngla, który wszystko robił za nas, tak? Dobrze rozumiem? No to świetnie. Jak dobrze, że spostrzegliśmy to w porę, tracąc nieodwracalnie tylko... – Zerknął na zapiski za sobą – dwadzieścia tysięcy stróżów i dwustu jedenastu wyśmienitych wojowników!

– A to dopiero początek, Michale! – Rzekł głośno ktoś z tyłu. – Jest jeszcze gorsza nowina.

Generałowie obejrzel się, by spojrzeć na Gabriela. Posłaniec śmierci siedział w kącie ze spuszczoną głową, czarne włosy opadały mu na twarz, palcem kreślił znaki na wyschniętej ziemi kretowiska.

– Rozkopano groby czterech i skradziono ich sarkofagi – kontynuował archanioł. – I to właściwych czterech. Teraz, a dokładniej: od wczoraj w Ameryce masowo gnije żywność, w Europie wybuchło równocześnie kilka różnych epidemii, a w Azji siły Korei Północnej przekroczyły granicę z Koreą Południową, grożąc atakiem nuklearnym, gdy którykolwiek spośród innych krajów się wtrąci. Jakby tego

było mało, zniknął Loki. Z tego, co mówił Bachus, miał wybrać się na urlop. Planował nam to zgłosić, ale potem jakby zapadł się pod ziemię i teraz nikt nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Podejrzewam, że porwali go poplecznicy Lucyfera i...

– Albo przystał do nich sam z siebie, kundel! – Prychnął Michał. – Kłamca zniknął dokładnie w przeddzień Apokalipsy. Niezwykły zbieg okoliczności, zważywszy na to, jak wiele o nas wie i jak bardzo może być pomocny dla wroga, nie uważasz?

Gabriel uniósł głowę i spojrzał prosto w oczy Michała, którego twarz płonęła wściekłością.

– Nie wiem, bracie – powiedział głosem posłańca śmierci. Ostatnio stanowczo za często go używał. – Myślę natomiast, że czas najwyższy, byśmy opowiedzieli twoim chłopcom o naszej pomysłowej sztuczce sprzed dwóch mileniów.

### *Hortonville, Wisconsin*

Bachus wciąż święcie wierzył, że jest panem sytuacji. To nie anioły przegoniły go od telewizora – on sam postanowił, że ktoś powinien siedzieć z więźniem. Nie one wypłyły mu cały zapas wina – sam je oddał, bo pijanymi łatwiej dowodzić. Nie one wreszcie wysłały go do sklepu. Zwyczajnie nie było nikogo odpowiedniejszego, a bóg wina wątpił, by któryś ze skrzydlatych miał kartę kredytową.

Szedł więc przez park, pogwizdując cicho, z rękami w kieszeniach, zadowolony z tego, że może być na świeżym powietrzu w taki miły słoneczny poranek.

*Niech sobie skrzydlate palanty oglądają „Słoneczny patrol” w małym, śmierzącym mieszkanku* – myślał. Emitowane odcinki to i tak powtórki. Zresztą od kiedy zabrakło Eriki Eleniak, to nie był już ten sam serial co kiedyś – a Pamela nigdy mu się nie podobała. Wyszedł z parku i ruszył wzdłuż głównej ulicy.

Już z daleka zobaczył, że przy sklepie coś się dzieje. Pod drzwiami wejściowymi rósł wyraźnie rozdrażniony tłum. Jakaś kobieta pokrzykiwała, wywijając zielonym ogórkiem, inna podskakiwała, wykrzykując swoje oburzenie na nieświeżego kurczaka. Obok zgarbiony staruszek pokazywał oblesnemu grubasowi w przepoconym podkoszulku zawartość trzymanej reklamówki – obaj krzywili się nad nią, klnąc jak w hip-hopowym klipie.

Po chwili tłum rozstał się na moment i wtedy Bachus dostrzegł czterech mężczyzn szturmujących schodki – uzbrojeni w butelki, reklamówki pełne pomidorów i jedną trzepaczkę do dywanów próbowali wtargnąć do sklepu. Nie było to łatwe, bo sprzedawca, czując, że może to być jego ostatni bój, dzielnie odpierał ataki kijem od miotły, a przed pomidorami krył się za standem pepsi.

– To jakieś szaleństwo – mruknął bóg wina. Stojący obok ulizany chudzielec w okularach ze szklami jak denka od słoików posłał mu pełne pogardy spojrzenie.

– Szaleństwo? To re-kla-ma-cja!

Podniósł wyżej reklamówkę z ciekącymi mrożonkami i próbował przebić się bliżej wejścia. Bezskutecznie.

Bachus odszedł kilka kroków, słuchając pokrzykiwań, po czym odwrócił się na pięcie i powoli, nadal pogwizdując, ruszył w stronę oddalonego o kilka przecznic Wal-Marta.



– Tak, archaniele. Będzie, jak rozkażesz. – Af skłonił się po raz kolejny, po czym powoli wstał z klęczek. Wyszedł z łazienki.

– Zbieramy się, chłopaki – powiedział już w pokoju. – Wzywają nas.

Anioły, rozwalone na kanapie, fotelu i jeden – dla którego zabrakło lepszego miejsca – przycupnięty jak ptak na parapecie, popatrzyły niechętnie na towarzysza. W telewizorze leciała właśnie reżyserska wersja „Żyły” z Pamelą zamówiona dzięki specjalnej usłudze kablówki.

– Coś się stało, Af? – Zapytał ten z fotela pod oknem. W niskiej szklance trzymał coś, co mogło być

równie dobrze whisky z lodem, jak i mrożoną herbatą. – Przecież pilnujemy więźnia do czasu, aż Loki...

– Bachus będzie musiał poradzić sobie sam. – Anioł gniewu przeszedł przez pokój i wyłączył telewizor.

– No ej, nie w takim momencie! – Krzyknął ten z parapetu. I tak kiepsko widział, a w dodatku Af przerwał efektowną scenę walki. Nie żeby w filmach o mistrzach kung-fu, których kilka obejrżeli wczoraj, nie było lepszych, ale tam nikt nie dysponował równie wydatnym biustem.

Anioł gniewu spiorunował go wzrokiem, potem odwrócił się, zasłaniając całym ciałem odbiornik, i oparł ręce na biodrach.

– No już, ruchy, ruchy, wojownicy Zastępów!

Jeśli liczył, że rozkaz podziela mobilizująco, spotkał go srogi zawód. Skrzydlaci co prawda podnieśli się z miejsc, ale leniwie, niechętnie, jakby przez ostatnie dwa dni przyrosli do kanapy. Co – patrząc na dziesiątki lepkich żelków, płatków i innych słodkości, które oklejały siedzisko – było całkiem prawdopodobne. Każdy z aniołów miał na skrzydłach przynajmniej parę kolorowych miśków i połamanych chipsów.

*Panuj nad sobą, Af* – przestrzegł się w myślach dowódca. – *Panuj nad sobą, bo inaczej skończysz w chórach, jak ci obiecano.*

Opuścił ręce wzdłuż ciała i okrył je skrzydłami. Dzięki temu nikt nie zauważył zaciśniętych pięści.

Blisko kwadrans zajęło aniołom doprowadzenie się do porządku, ale gdy w końcu stanęli w szeregu, wyglądali, jak przystało na żołnierzy Pana. Ich elegancko wyczesane skrzydła skrzyły się w słonecznym blasku, lśniły przywdziane napierśniki, a z twarzy zniknął grymas znudzenia. Byli gotowi.

I w tym właśnie momencie do mieszkania wpadł Bachus.

– Nie uwierzycie, co się stało! – Zawołał z przedpokoju. – W całym mieście gnije żywność. W Wal-Marcie pleśń porasta półki, a ludzie szturmują kasy z żądaniem... Hej, co wy robicie?!

Zatrzymał się w progu i powoli postawił na podłodze z trudem wywalczoną torbę pełną przeterminowanych krakersów.

– Co to ma znaczyć? Gdzie wy się wybieracie w tych odświętnych ciuszkach?

– Zostaliśmy wezwani – odparł Af. – Musimy lecieć.

– A więzień? Przecież mieliśmy go razem pilnować do czasu powrotu Lokiego.

– Już mu to mówiliśmy, ale... – Zaczął jeden z wojowników, jednak spiorunowany wzrokiem dowódcy umilkł w pół zdania.

– Są ważniejsze sprawy niż bóstwo podszywające się pod Mikołaja. – Af poprawił paski pancerza i ruchem głowy wskazał pozostałym wyjście. – Poza tym nie wiadomo, kiedy Kłamca wróci. Archaniołowie nic nie wiedzą o jego urlopie, ani w ogóle gdzie się podziewa. Rozmawiałem przed chwilą z Rafaelem.

Skrzydłaci wykonali w prawo zwrot i karnie, równym krokiem pospieszyli ku wyjściu, mijając coraz bardziej czerwonego Bachusa.

– Jak to nie wiedzą?! – Krzyknął bóg wina. – I co ja właściwie mam teraz zrobić z więźniem?!

– Możesz go sam odprowadzić na biegun. Albo posiedzieć tutaj i obejrzeć do końca „Żyletę”. –

Dowódca aniołów wzruszył ramionami. – W obliczu tego, co się szykuje, możesz go nawet wypuścić. To bez znaczenia.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Bachus patrzył za nimi przez chwilę, po czym podniósł stojącą u jego stóp torbę z krakersami. Wyjął jednego.

– Bez znaczenia, tak? – Mruknął. – Jeżeli nawet pracowałeś z Lokim, palancie, to wyraźnie nie dość długo.

Podszedł do kanapy, oczyścił ją z żelek i usiadł, biorąc do ręki pilota. Jak przekonał się już po chwili, wszystkie programy nadawały teraz jedną wiadomość. W całych Stanach zapanował GŁÓD.

*Namiot archanioła Michała Tuttligen, Niemcy*

Odwieczny dylemat: czy w chwilach jak ta – gdy wszystko się wali i właściwie każda sekunda droga – jest pora na opowieści? Czy warto wtedy poświęcać czas na wyjaśnianie, co jest skutkiem, a co przyczyną?

Gabriel nie miał stuprocentowej pewności, postanowił jednak zaryzykować. Nie miał też pojęcia, ile wie druga strona – być może sporo, jeśli rzeczywiście Loki do nich przysłał – a nie chciał być tym, który swym milczeniem daje przewagę wrogowi. Westchnął głośno i zaczął mówić:

– To, że ten świat zostanie zniszczony, było wiadomo już w chwili, gdy pierwsi ludzie opuścili Raj. To znaczy nie powszechnie. Wiedział o tym Pan, który tak postanowił, wiedziały Trony, Zwierzchności i Panowania, wiedzieliśmy my. Lucyfer, sprawca całego zamieszania, z całą pewnością też to przewidział. W końcu po coś zastosował całą tę sztukę z węzem. Cała reszta, w tym by, usłyszała o Apokalipsie dopiero z objawienia Jana. Wątpię, by wcześniej ktoś z aniołów sam z siebie wpadł na taki pomysł. Nie mylę się, prawda?

Przerwał, popatrzył po twarzach zebranych generałów. W kącie namiotu stał Michał z założonymi rękami i miną wskazującą dobitnie, że w kwestii takich wyjaśnień za pięć dwunasta nie podziela zdania Gabriela. Nie odzywał się jednak ani słowem.

– Ważne jest, byście wiedzieli, że wbrew temu, co mówi Święta Księga, to nie ziemia powstała w ciągu siedmiu dni. Większość z was pozostawała wówczas w uspieniu bądź leczyła rany po buncie Upadłego, więc nie możecie tego pamiętać. Tydzień Wszchemogący pracował, ale nad Rajem, świętym ogrodem, który dziś pozostaje domeną świętych. Ziemię, po której stąpają ludzie, stworzono w jedną noc, tak by Bóg nie musiał odsyłać ludzi w nicość. Krótco to trwało, ale to miejsce zdawało się nie wymagać szczególnej staranności, bo...

– ...Zostało stworzone tymczasowo, aż ludzie uzyskają zbawienie i uwolnią się od grzechu – nie wytrzymał Michał. – Na Trony! Przestań się wreszcie powtarzać i przejdź do sedna. Nadchodzi Apokalipsa, pamiętasz?!

Gabriel skinął głową.

– Nigdy nie wyznaczono daty końca świata i Sądu Bożego. Przez długie lata wyglądało na to, że w ogóle nie nastąpi, skoro ludzie mimo przestróg i kar wciąż bardziej skłaniali się ku grzechowi niż...

– Ekhm!

– Ludzie nie byli dobrzy i wciąż ciążył na nich grzech. Lepiej?! Więc przestań łaskawie chrząkać!... Tak było do czasu, aż pojawił się Syn. Ci z was, których wyznaczono, by sprawowali nad nim pieczę, z pewnością pamiętają, że początkowo przybył on wyłącznie w celu wizytacji. Miał nadzieję, że to już, że nareszcie skończy się test i ludzie powrócą do Boga. W końcu tyle się o nich nasłuchiwał historii pełnych ojcowskiej... Michale! Jak będziesz robił takie miny, spalisz namiot! Już przechodzę do sedna.

Przeczesał włosy, westchnął ciężko.

– Jak było potem, sami wiecie. Syn człowieczy, kazania i własny przykład, wreszcie śmierć na krzyżu i zbawienie dla wszystkich. To nie mogło zawieść, więc Pierworodny uznał, że czas najwyższy przygotować Apokalipsę. I zrobił to, polecając nam przekazanie czterech darów najbardziej wiernym spośród uczniów. Nie ograniczył nas do wyboru spośród swoich dwunastu, to mógł być każdy z wiernych, jednak dostaliśmy termin na ich znalezienie: dwa stulecia. *Później wszystko toczyć się będzie zbyt szybko – powiedział – a oni muszą mieć czas, by nauczyć się, jak dźwigać swoje brzemie. Gdy przyjdzie czas, powstaną gotowi, by mu sprostać.* Potem wrócił do Ojca. A my wyznaczyliśmy czterech.

Gabriel zerknął na Michała, ten jednak mu nie przerwał, choć wciąż miał zniecierpliwioną minę.

– Dobieraliśmy ich wedle zgodności charakteru z darem. Ten, który przez lata skazywał ludzi na głód, pracując jako celnik, został GŁODEM. Lekarz, który na co dzień borykał się z epidemiami, stał się ZARAZĄ, wybitny wojownik i strateg WOJNĄ, a ten, któremu pan zesłał wizję końca świata – ŚMIERCIA. Niedługo potem rodzący się Kościół, dostrzegłszy piętno darów w zapisanych przez nich wersjach historii Syna, wybrał ich zapisy spośród setek innych jako cztery ewangelie.

– Nie rozumiem, archanielu. – Asaliah nieśmiało podniósł rękę. – Skoro, jak rozumiem, Mateusz jest GŁODEM, Łukasz ZARAZĄ, a Jan ŚMIERCIA, to wszystko wskazuje na to, że tym wybitnym strategiem musiały być Marek. A to przecież nieprawda.

– I tu nareszcie docieramy do sedna. – Gabriel uśmiechnął się, lekceważąc głośne sapnięcie Wodza



Zastępów. – Kościół nie wybrał ewangelii Marka, a Eustachego, zwanego wcześniej Placydem, wybitnego wodza rzymskiego. To my podmieniliśmy właściwy tekst i jego autora na ten apokryf. Dokonaliśmy tego przy pomocy kilku anielskich objawień i paru sfalszowanych dokumentów. Aniołów, którzy dla tego celu podjęli się złamania zasad, nie ma już dziś wśród nas.

Na chwilę w namiocie zapanowała cisza. Nawet Michał, chcąc uczcić pamięć poległych dla sprawy, lekko skłonił głowę i nie wspominał nic o upływającym czasie.

– Dlaczego musieliście to zrobić? – Asaliah po raz kolejny okazał się jedynym odważnym. A może tylko właściwe mu dążenie do prawdy okazało się silniejsze od strachu. – Bo był jakiś powód, prawda?

– Tak, był. Wiedzieliśmy o tym my, wiedział skądś także Upadły i jego poplecznicy. Czterej powstaną, dopiero gdy nadejdzie odpowiedni dzień, ale moc darów w nich zaklętą można obudzić i wcześniej, jeśli zna się odpowiednie słowa i zbierze się czwórkę razem – odparł Gabriel. – Wtedy...

– Nie mów, jakby to była hipoteza! – Wódz Zastępów wystąpił do przodu, zajmując swoje miejsce przy liczbach poległych zapisanych na płachcie namiotu. – To właśnie nastąpiło. Lucyfer obudził moc czterech i teraz mamy niekontrolowaną Apokalipsę! Do tego z całą masą tych przeklętych mitycznych.

Wydobył miecz i powiódł wzrokiem po swoich generałach. Uśmiechnął się, a płomień na jego twarzy rozgorzał na czerwono.

– Ale są też plusy, panowie. Skoro świat właśnie się kończy, zasady przestają obowiązywać. Wreszcie możemy się ujawnić.

Uniósł oręż na wysokość piersi i ruchem nadgarstka rozpałił głównię.

– Mam nadzieję, że Rafael zwołał już Zastępy – rzekł. – Bo oto ruszamy na wojnę!

## Paryż

Eros zaparkował skuter w wąskiej, śmierdzącej moczem bramie dwie kamienice od domu. Na ulicach z każdą chwilą przybywało snujących się chorych, a ostatnie, czego chciał bóg miłości, to ściągnąć ich pod własne okna.

– Dobra – powiedział, zsuwając się z siodelka. – Teraz będziemy musieli przejść kawałek po dachach. Te budynki stykają się ze sobą, więc z pewnością jest to możliwe, choć pewnie niełatwe. Może być ślisko i chwilami stromo.

Możesz mi powiedzieć, skąd się tam, do cholery, wzięłeś? – Zapytała Jenny, zaczynając odpinać sztuczny brzuch. – Nie żebym nie była ci wdzięczna, ale już ci chyba powiedziałam, że nie życzę sobie, żebyś mnie śledził, prawda?

Od strony ulicy dobiegł ich najpierw odgłos odskakującej pokrywy ściekowej, a zaraz potem obrzydliwy dźwięk, zupełnie jakby ktoś nagrał odgłos lizania pumeksu i teraz puszczał go bardzo głośno. Paskudne połączenie mlaskania i jednoczesnego tarcia sprawiało, że włoski na karku stawały dęba, a po kręgosłupie przebiegał dreszcz.

– Nie ruszaj się, Jenny. Ani drgnij.

Eros przywarł do muru, przysunął się do samej krawędzi i wyjrzał.

Środkiem ulicy pomiędzy chorymi czołgały się oślizłe, nagie postaci o sinobiałej skórze jak u topielców. Wypełzały z kanałów. Rękami o rozczapierzonych palcach łapały się szczelin między kostkami bruku, a potem podciągały się, szurając brzuchami po ziemi – stąd właśnie brał się ów paskudny dźwięk. Drogę, którą przebyły, znał błyszczący śluz jak u ślimaków.

– Pamiętasz może, kto mieszka w tej dzielnicy?

– Emigranci, z tego, co wiem. Bóg miłości przewrócił oczami.

– Też mi nowina! – Parsknął. – Cały Paryż to emigranci. W tym kraju nawet prezydent jest tylko trochę Francuzem. Pytam, jaka nacja?

– Nie wiem, nie pamiętam. Chyba...

- Albańczycy?
- Możliwe, a co?

Dwaj pełzacze dopadli właśnie powłóczącego nogami chłopaka. Przewrócili go najpierw na kolana, a potem na plecy. Jeden z nich wgrzyzł się w twarz ofiary.

– Wygląda więc na to, że będziemy potrzebowali dużo okruszków i ciastek – stwierdził Eros, odwracając się i łapiąc Jenny za rękę. Wciągnął ją na klatkę schodową, a potem na górę po schodach.

– Po co nam okruszki? – Zapytała dziewczyna. Udało jej się ledwie połowicznie odpiąć brzuch, więc teraz obciążona sztuczną skórą galareta podskakiwała przy jej boku jak sflaczały balon. Było to nie tylko irytujące, ale też potwornie utrudniało bieg. Ale Eros ścisnął ją mocno i parł do przodu, przeskakując po trzy stopnie.

– Żeby zyskać przychylność Bardha. To te białe paskudztwa na ulicy. Musiały wypełznąć spod ziemi i teraz wyglądają na głodne. – Bóg miłości przystanął, łapiąc oddech. Od dachu dzieliło ich tylko jedno piętro.

Jenny wykorzystała ten moment, by do końca odpiąć brzuch. Cisnęła go na schody.

- I w tym celu będziemy im dawać cukier i okruszki?! – Warknęła.
- Albo to, albo zjedzą nam mózgi. Co wybierasz?



Przeprawa górą okazała się trudniejsza, niż mogli przypuszczać. Dachówki były mokre i śliskie, a do tego wiele z nich ledwie się trzymało. Raz kilka dosłownie wyjechało spod nóg Erosa i byłby spadł, gdyby w ostatniej chwili nie złapał anteny. Ta zatrzeszczała ostrzegawczo i wygięła się, ale utrzymała ciężar bóstwa na tyle długo, by zdołał znaleźć oparcie dla stóp.

Jenny radziła sobie nieco lepiej. Poruszała się na płasko, przywierając całym ciałem do powierzchni dachu i sunąc ostrożnie centymetr po centymetrze. Każdy komin czy wylot wentylacyjny stanowił dla niej pokusę, by się zatrzymać, ale dzielnie ją zwalczała. Wiedziała, że jeśli raz przyłgnie do takiej stałej podpory, to już nikt nigdy jej od niej nie odczepi.

– Jak sobie radzisz? – Zapytał Eros.

– W porządku – odparła. – Słuchaj, a co zrobimy, jak już wejdziemy do naszej kamienicy? Przecież tam też są ludzie i pewnie również ulegli epidemii.

– Nie sądzę. Rafael, gdy odwiedzili nas z Michałem, rzucił z rozpędu błogosławieństwo na cały dom i wszystkich mieszkańców. A jak wiesz, jest boskim lekarzem.

– No tak, rzeczywiście.

Przesunęli się do krawędzi dachu. Między jednym a drugim budynkiem była różnica poziomów, więc musieli stanąć prosto, by się wspiąć. Minął dobry kwadrans, zanim Jenny opanowała drżenie kolan. Eros podsadził ją, a potem sam podciągnął się zgrabnie i usiadł na krawędzi.

Mieli stąd całkiem niezły widok. W oddali błyszcząca rozświetlona wieża Eiffla, nieco bliżej częściowo przesłonięta dachami kamienic skrzyła się Sekwana skąpana w księżycowej poświacie. Zazwyczaj pewnie nie dałoby się jej stąd zobaczyć, przeszkadzałyby w tym światła, ale dziś nikt ich nie włączył w całej dzielnicy.

– Myślisz, że co to jest? – Zapytała dziewczyna. – Znaczy ta zaraza, potem ci... Jak im było?

– Bardha. Możesz mówić Biali, bo to chyba znaczy to samo.

– Skąd ty w ogóle wiesz takie rzeczy?

Wzruszył ramionami.

– Jak się pracuje z twoim facetem, to trzeba się obryć. Zawsze to lepiej, gdy wiesz, z kim walczysz.

Spojrzał na swoje brudne ręce i z obrzydzeniem wytarł je o spodnie.

– A w związku z tą zarazą... Nie wiem, co powiedzieć. Od wieków żadnej nie widziałem, a nawet wtedy była to zazwyczaj jedna choroba naraz.

– Tu jest więcej?

– Naliczyłem chyba z pięć, a przecież nie jestem lekarzem.

Podniósł się i chwycił za najbliższą antenę. Tu dach był mniej spadzisty, a i dachówki wyglądały na niedawno zmieniane. Uznał, że powinno pójść szybciej.

– Ruszamy – zadecydował. I ruszyli.



Jean Baptiste Gericault, zwany przez pana Pleurdeau *tą mendą ze strychu*, odłożył wałek i przyjrzał się swojemu najnowszemu dziełu.

Jak wszystkie poprzednie obrazy, tak i ten nie przedstawiał absolutnie niczego. Ot, chaotyczna plątanina wielobarwnych kresek, maźnięć i plam, wykonana bez pomysłu, bez wyczucia, byle zapełnić płótno. Idealne dzieło awangardowe – wystarczyło wymyślić tytuł i maznąć podpis.

Malarz uśmiechnął się pod nosem. To było dobrze spożytkowane piętnaście minut.

– Nadaję ci imię „Euforia” – powiedział, biorąc do ręki pędzel zamoczony w czarnej farbie. W dolnym rogu obrazu złożył zamaszty autograf. A potem, włożywszy elegancko odprasowany fartuch, zabrał się do prawdziwej pracy rozłożonej na biurku. I wtedy właśnie rozległ się brzęk tłuczonego świetlika, do pracowni wskoczył Eros, a zaraz po nim Jenny.

Jean Baptiste poderwał się z krzesła, przewracając buteleczkę tuszu – czerni popłynęła po białych arkuszach – i odruchowo wyciągnął przed siebie rękę uzbrojoną w piórko.

– Nic tu nie mam, jestem biednym malarzem – wyrecytował pospiesznie, bez zająknięcia, zupełnie jakby ćwiczył tę kwestię od lat.

Bóg miłości powoli podniósł się z ziemi i zerknął w stronę towarzyszki. Nie wyglądała na ranną, więc spokojnie strzepnął z siebie odłamki szkła.

– Proszę się nie denerwować, sąsiedzie. – Wyciągnął przed siebie rękę. – Tam na zewnątrz jest małe zamieszanie i woleliśmy przejść górą, bo do drzwi wejściowych trudno byłoby się dopchać. Mieszkamy pod...

– Tak, wiem. – Malarz opuścił piórko. – Widzieliśmy się kilka razy na korytarzu. Zwymiotowałem panu kiedyś na koszulę.

– Och, rzeczywiście, pamiętam! – Eros przypomniał sobie spotkania z niedomytym łachmaniarzem o śmierdzącym wódką oddechu i tłustych, pozlepianych w strąki włosach. Mężczyzna stojący przy biurku istotnie był wykapaną i trzeźwą wersją tamtego indywiduum. – Ale nie żywię urazy. Jeśli teraz pan pozwoli, pójdziemy już, prawda, kochanie?

Odwrócił się w stronę Jenny, która zdążyła już wstać i teraz z zaciekawieniem rozglądała się po pracowni.

Strych był wystylizowany na wnętrze eleganckiej galerii. Wyłożona terakotą podłoga z eleganckim dywanem pośrodku, starannie i pomysłowo zabudowane rury... Na ścianach wisiały podświetlone z góry antyramy, w większości puste. Tylko jedna czy dwie zawierały strony komiksowe powiększone do rozmiarów plakatu filmowego. Z kąta zerkał złowrogo stand z Wolverinem.

Jean Baptiste westchnął ciężko i zabrał się do ścierania plamy z tuszu.

– Skoro już państwo... Hmm... Wstąpili z wizytą... To proszę chociaż zostać na kawę.

– Nie, naprawdę już pójdziemy. – Eros zmusił Jenny, by wstała, i ściskając za ramię, pociągnął ją ku wyjściu. – Nie będziemy panu zawracać głowy. Z całą pewnością pan pracuje...

– Nie, już nie. – Malarz zebrał zaplamione arkusze i wcisnął je wszystkie do kosza. – Na dzisiaj skończyłem.

Brodą wskazał sztalugę, na której stała „Euforia”.

– Kawał dobrej roboty – pochwalił bóg miłości już spod samych drzwi. Puścił rękę Jenny i niemal siłą wypchnął dziewczynę na korytarz. – Od razu widać rękę artysty.

– Ależ skąd, panie sąsiedzie! – Zaśmiał się Jean Baptiste. – To pretensjonalny chłam. Ale z moim nazwiskiem i z takim przodkiem nie można być zwykłym grafikiem komiksowym, nawet doskonale opłacanym. Ludzie uznaliby, że się marnuje. Proszę więc nikomu nie mówić o tym, co tu państwo widzieli.

– Nie będziemy – obiecał Eros.

- A przy okazji, tamte wymiociny nie były prawdziwe.
- Śmierdziały dość przekonująco.
- Tak! – Malarz wyszczerzył zęby. – Lata pracy nad wizerunkiem owocują doświadczeniem.

## *Piekło*

Baal siedział rozpostarty na krześle i gapił się w sufit, Lewiatan układał pod nosem kłatwy, a Asmodeusz wcinał chipsy. Reszta demonów bez szczególnego zainteresowania patrzyła na Lucyfera bawiącego się wielkim nadmuchiwanym globusem. Piłka oklejona była kawałkami różnokolorowej taśmy oznaczającymi a to udaną zasadzkę na anioły, a to wspólne akcje z mitycznymi przeciw ludziom. Czarne krzyżyki wskazywały miejsca, gdzie znajdowały się sarkofagi trzech spośród czterech.

Władcy Piekieł czekali. Na białej tablicy zapisano, a potem przekreślono mnóstwo nowych rzeczy w miarę postępu akcji. Loki został już wyłączony z gry – Lucyfer ręczył za to głową – Antychryst znalazł się, gdzie powinien, a chaos i panika na ziemi z każdą chwilą przybierały na sile. Osobną, wydzieloną rubrykę zajmowały stale zwiększane liczby określające pokonanych skrzydlatych – jedyny kawałek tablicy, gdzie Gwiazda Zaranna, miał skreślać, używał ściereczki.

– Długo jeszcze, Lucyferze? – Nie wytrzymał w końcu Belial. – Ileż można tak siedzieć?!

Ten, stojący akurat tyłem do stołu, odwrócił się gwałtownie. Dmuchany globus powoli opadł na ziemię, podskoczył lekko i spoczął pod tablicą.

– Mówi nazareński mistrz: *Czuwajcie więc i bądźcie gotowi* – powiedział pierwszy pośród Upadłych. – I tylko tego od was teraz wymagam. Czy to naprawdę aż tak wiele za obietnicę zwycięstwa?

– Nie, ale...

– Panie! – Rozległo się od strony drzwi. W progu stał wyraźnie podekscytowany Mammon. – Archanioł Michał zebrał Zastępy. Podobno postępuje jak przy Apokalipsie i skrzydlaci mogą już działać otwarcie.

– Wspaniale! – Lucyfer uśmiechnął się. – To znaczy, że finiszujemy już z pierwszym etapem planu. Oczywiście zanim wejdziemy w drugi, przydałoby się jeszcze troszkę podkreślić atmosferę.

Asmodeusz zamarł z chipsem przy ustach.

– Co znaczy podkreślić? – Zapytał.

Gwiazda Zaranna nie spieszył się z odpowiedzią. Podniósł z ziemi globus i przez chwilę podrzucał go przed sobą, potem odbił biodrem, głową, kolanem... Wreszcie, złapawszy piłkę w obie ręce, położył ją na stole. Klasnął i w tym samym momencie nadmuchana kula ziemską pękła z hukiem.

Lucyfer rozłożył szeroko ręce, odchylił głowę.

– Otwórzcie na oścież wrota Piekieł! – Krzyknął. – Wypuście wszystkich potępionych! Niech wracają na ziemię!

Część 2.

**Po drugiej stronie**

### Tęcza nad Doliną



skazówka na cyferblacie wirowała jak szalona. Stop. Zielony – skok do przodu i w bok – łapanie równowagi. I od początku...

Loki powoli posuwał się wzdłuż tęczy, nie chcąc nawet myśleć, co będzie, gdy kolorowe plastikowe kółko ze wskazówką rozsypie się bądź stopi. Kupił je zamiast prawdziwego *przewodnika po tęczy* w komplecie z wielką matą do twistera. Sklep z zabawkami w Quarrytown sprzedawał go przecenionego na pięćdziesiąt procent.

Teraz, rzecz jasna, Kłamca żałował, że tak się pospieszył. Gdyby miał więcej czasu, pewnie zajrzałby na eBayu do działu z antykami.

Wskazówka zatrzymała się na czerwonym polu. Przeskoczył na właściwy kolor i przez chwilę łapał równowagę – pięta zapadała mu się w niematerialne pomarańczowe widmo. Wreszcie odetchnął głęboko i podjął Wędrownkę czerwona ścieżką. Nerwowe spojrzenie za krawędź tęczy pozwoliło mu ocenić, że jest mniej więcej w połowie drogi.

*A co potem?* – Zastanawiał się. – *Co, gdy już się tam znajdziesz?*

Z dawnych, naprawdę dawnych dni pamiętał, że Dolina jest rozległą krainą. Jak długo zajmie mu odnalezienie dziecka? I skąd będzie wiedział, że właśnie o to dziecko mu chodzi?

Zaklął na myśl o urlopie, który z ogromną prędkością oddalał się od niego coraz bardziej. Miał nadzieję, że gdy wróci, Jenny wciąż jeszcze będzie chciała z nim rozmawiać. Jeśli nie, cóż, być może trzeba będzie jednak skorzystać z pomocy Erosa. W końcu każdy ma prawo zmienić zdanie...

Opuścił wzrok i z przerażeniem odkrył, że wskazówka stoi na fiolecie. Nie zatrzymuje się, a właśnie stoi – pasek czerwieni pod jego stopami zamigotał lekko. Loki skoczył.

Gdyby tylko nie był to pasek dokładnie po przeciwnej stronie tęczy albo gdyby chociaż Kłamca odbił się sekundę wcześniej, zanim ścieżka pod jego stopami przybrała konsystencję budynku... Wówczas wszystko mogłoby pójść inaczej.

Teraz jednak stopy, a potem cała reszta utonęły w niematerialnym błękitcie. Kłamca przebił się przez łuk tęczy i runął w dół...

### Południowa Ćwiartka, Dolina

Cluny zdjął kapelusz. Przetarł czoło rękawem lnianej koszuli i robiąc daszek z otwartej dłoni, spojrzał na zalane słońcem pole. Jego pole...

Oczywiście wcześniej też mógł tak o nim mówić. Na mocy pism i traktatów oraz wolą samego Oberona większość Południowej Ćwiartki należała bowiem do jego rodu. W praktyce znaczyło to wyłącznie tyle, że niżej urodzeni mieszkańcy owych ziem pracowali na jego próżniacze życie w zamku, a on miał co zastawiać podczas gry w kości. Zanim bowiem nie doznał objawienia podczas największej z burz, jakie pamiętała Dolina, Cluny nie widział nawet skrawka ze swych ziem.

Teraz uśmiechnął się z politowaniem nad własną niegdysiejszą grzesznością, wsunął kciuki pod szelki i ruszył w stronę snopka, przy którym zostawił marynarkę i tobołek z wałówką.

Ile to już dziesięcioleci minęło, odkąd po raz pierwszy wziął udział w sianokosach? Odkąd na własnej skórze poczuł trud ciężkiej fizycznej pracy, zobaczył na dłoniach bąble od ścisanej kosy? Wtedy, pierwszego dnia, mało brakowało, by się poddał. Ze łzami w oczach próbował przekonać samego siebie, że nie musi schodzić aż tak nisko, by żyć zgodnie z Nowym Prawem. Mógł przecież zrezygnować

z próżniaczego życia, nadal mieszkając na dworze – poświęcić życie studiowaniu ksiąg, pisaniu oświeconych pism...

A potem bracia – ci, których jeszcze niedawno traktował wyłącznie jako służbę – przynieśli mu świeży chleb. I wszystkie podjęte wyrzeczenia znowu nabrały sensu.

– Błogosławiona bądź, Naturo, która obdarzasz nas owocami swej miłości – powiedział teraz, odwijając z liści pajdę chleba i patrząc na stogi związanych ciasno snopków. Dalej, pod samą niemal linią horyzontu, falowały na wietrze nieskoszone jeszcze łany złotego zboża. Ucieszyła go myśl o kolejnych pracowitych dniach.

I wtedy właśnie, podczas tego uświęconego przez samą Naturę momentu radości, ktoś runął z nieba...

Cluny zamrugał gwałtownie i zerknął na posilających się nieopodal Donna na i Evana – ten pierwszy był kuzynem jego żony, również nawróconym dworzaninem, drugi synem z jego własnych, grzesznych niegdyś lędźwi. Szczęśliwie Natura nie obarczyła chłopca winą za przewinienie ojca i uczyniła go pięknym, na podobieństwo pierwszych spośród elfów. Obaj mężczyźni z osłupieniem wpatrywali się w kopiec, na którym wylądowała tajemnicza istota.

– Co się tak gagicie?! – Zawołał Cluny. – Nuże, pomóc biedakowi.

Donnan, z dawnych dni przywykły do rozkazów, z miejsca rzucił się wykonać polecenie. Cisnął na bok kosę i pognął ku stogowi. Evan, donoszony i urodzony już w Społeczności, ociągał się przez chwilę.

– A co, tatku, jeśli to ludź jakowys? – Powiedział. – Z nieba spadł, znaczy tęczą szedł. Może być, że po dziecko, co mu porwali.

– Może tak być – zgodził się Cluny, nie spuszczać wzroku z Donnana, który już dobiegł na miejsce i właśnie zdejmował marynarkę, by przykryć nią rannego.

– Jak mu pomożemy – kontynuował swój wywód Evan – a potem wieść o tym dotrze na Dwór...

Nie musiał kończyć. Władcy pobbłazali wyznawcom Nowego Prawa, bo ci chętnie i z własnej woli płacili Dworowi ogromną daninę. Gdyby jednak któryś złamał Prawo... Chyba nic nie przyniosłoby Oberonowi większej radości niż wsadzenie takiego nieszczęśnika do żelaznej klatki. Pewnie nawet przyniosłoby sobie krzesło i orzeszki, które by sobie chrupał, oglądając z zaciekawieniem długą agonię.

– Jeśli to ludź, pewnikiem i tak nie przeżył wypadku – stwierdził po namyśle Cluny. – A jeśli Sidhe... Być może Natura w swej łaskawości dała mu właśnie szansę nawrócenia?

Evan skinął głową. Chwile, gdy ojciec rezygnował z prostej mowy, by wygłosić jedną ze swych mądrości, zazwyczaj bezpośrednio poprzedzały te, gdy sięgał po pas. A mimo że teraz byli już niemal tej samej postury – a z twarzy bardziej przypominali braci niż ojca i syna – strach przed karzącą ręką tkwił w młodym elfie zakorzeniony równie mocno jak wiara w Naturę i Nowe Prawo. Pognął więc w stronę zniszczonego snopka pomóc wujowi.

– Żyw? – Zapytał, dotarłszy na miejsce.

– Albo tak, albo jest najbardziej wulgarnym nieumarłym, jakiego widziałem.

Evan pochylił się nad Lokim i przysunął ucho do jego szepczących coś ust. Nie minęła chwila, a wstał cały czerwony na twarzy.

– On mówi o spółkowaniu! – Wykrzyknął z oburzeniem. – O nieczystości!

Donnan potwierdził skinieniem głowy.

– Tak, ale nie sądz go surowo, chłopcze – powiedział. – Choć jego słowa to szlam, dla nich nieczystość nie jest grzechem.

– Dla nich?

– No, ludzi – wyjaśnił elf. – Przecież to jasne. Zobacz, jaki niski, uszy bez szpica. To nikt z nas.

– Nie Sidhe... Ale i nie ludź.

Obejrzeni się. Cluny szedł ku nim z kosą w ręce i marynarką przewieszoną przez ramię. Dzieliło go od nich ledwie kilka kroków. Wystarczająca odległość, by móc przyjrzeć się leżącemu.

– Więc kto to jest, tatku? – Spytał Evan, robiąc ojcu miejsce. – Znasz go może?

– Poznają. I ty też byś poznał, Donnanie, gdyby nie to, że w tamtych czasach zdarzało ci się pić więcej, niż ważysz. To Loki z Asów. Swego czasu gościł wraz z Odysem, Tyrem i Thorem na Dworze.

– Znaczą... Druh Władców?

- Znajomek raczej. – Cluny uklęknął przy nieszczęśniku, rzucił okiem na rany, nastawił złamaną nogę.
- Znacie ten hełm Oberona, który przywdziewa, ruszając na bitwę?
- Ten z porożem jelenia? – Skojarzył Donnan. Z tonu jego głosu można było wnioskować, że poczuł się urażony wytknięciem mu dawnej słabości. Ostatnią uwagą chciał podkreślić, że nie o wszystkim jednak zapomniał.
- Ten sam – potwierdził Cluny. – Zanim na Dwór przybył ten tutaj, rogi były tylko nic nieznaczącą ozdobą.
- Podniósł się z kolan i otrzepał ręce. Nie do końca wiedział, co powinien właściwie zrobić w tym momencie. Z jednej strony Loki nie był człowiekiem i nie trzeba było zgłaszać jego obecności. Z drugiej jednak, gdyby Oberon dowiedział się, że wyznawcy Nowego Prawa leczą niegdyśszego gacha jego żony... Cóż, mógłby nie słuchać tłumaczeń i interpretacji Prawa, tylko przybyć tu z armią...
- Co robimy, tatku? – Evan przerwał rozmyślenia ojca.
- Cluny westchnął i wetknął kciuki za szelki.
- Potrzebny nam będzie wóz.

### *Głucholazy, południowa Polska*

Karolek odsunął na bok postrzępioną szmatę i kolejny raz zerknął przez piwniczne okienko.

- I co? – Zapytał jego siedzący w kącie towarzysz.
- Chłopiec docisnął nos do brudnej szyby.
- Ciągłe tam są. Przyprowadzili i wieszają kolejnych.
- Aha.
- Może to już naprawdę ostatni. I potem sobie pójdą.
- Może.

Mały spojrział w piwniczną ciemność, próbując dojrzeć towarzysza, ale jak zwykle nic mu z tego nie wyszło. Wiedział jednak, że tamten go widzi. Uśmiechnął się pocieszająco.

- Nie znajdą nas tutaj – powiedział i znowu wyjrzał przez okienko.

Siedzieli tu już drugi dzień. W ciszy przerywanej jedynie dochodzącymi z zewnątrz jękami i okrzykami, w niemal całkowitej ciemności. Chłopiec żywił się dżemem ze stojących na półce słoików, a towarzysz... Właściwie nie wiadomo czym. Pewne było tylko to, że jedząc, strasznie mlaskał.

A wszystko zaczęło się niespełna tydzień wcześniej od wiadomości w telewizji. Z początku były to tylko komunikaty o niezwykłych zjawiskach meteorologicznych, ostrzeżenia o prawdopodobnej epidemii w województwie mazowieckim, śląskim, pomorskim... Doniesienia o rosnącej fali przestępstw.

A potem wszystko zmieniło się w jedną wielką relację z placu boju. Pokazywano zdjęcia płonącej Warszawy, po której szaleli ludzie w dziwnych kostiumach, z łbami krów bądź kozłów, Krakowa, gdzie owrzodzeni mieszkańcy miasta wili się na ulicach niczym robactwo, a pomiędzy nimi płąsały kobiety o włosach z wodorostów i twarzach nabrzmiąłych jak u topielców.

Spanikowani telewizyjni eksperci mówili o wojnie nowej generacji, terrorystach i ich broni biologicznej, która budziła do życia trupy z cmentarzy, a ludzi przemieniała w obrzydliwe mutanty. Coraz częściej padały słowa *koniec świata* i *Apokalipsa*. A potem, późnym wieczorem drugiego dnia, w całym mieście wysiadł prąd. A na ulicę wypełzły odmienne.

Ta pierwsza noc była najgorsza. Chłopiec z różnych stron słyszał wrzaski tych, którzy nie zabarykadowali się dość dobrze. Odmienne – w większości kobiety o włosach jak przegniła trawa, a skóry białej i śliskiej oraz porośnięci sierścią mężczyźni z wilczymi uszami i kłami wielkimi jak palce – wyły potępieńczo i węszyły w poszukiwaniu coraz to nowych ofiar.

Nad ranem, gdy wszystko ucichło, ludzie – w tym Karolek z rodzicami – opuścili swe domy, kryjąc się w kościele. Ksiądz przyjął ich z otwartymi ramionami, powiedział jednak, że to kara za występne życie,



i kazał wszystkim się nawrócić. Strwożeni ludzie posłuchali. W oparach kadzidła pomknęły ku niebu żale za grzechy i pieśni przebłagalne... I to chyba one właśnie ściągnęły wskrzeszeńców pod zabytkowy portal kościoła.

Było ich całe mnóstwo. W pierwszym rzędzie kołysał się wujek Karolka, Władek, którego pochowano dwa miesiące temu. Trudno go było poznać – wzdęty, pożółkły, z gałkami ocznymi zapadniętymi w głąb czaszki, skórą, która opinała go ciasno niczym balon naciągnięty na globus. To chyba wtedy przerażony chłopiec modlił się najgłośniej, przywołując przed oczy obraz niezwykłego anioła z płonącym mieczem, którego czasem widywał na obrazkach. W małym kościele przy głównej ulicy, gdzie odbywały się msze dla dzieci, stała nawet jego figura.

Nie myślał wtedy o swoim towarzyszu. Właściwie zupełnie o nim zapomniał, choć teraz było mu wstyd – może Karol i nie zawsze go lubił, ale od dwóch lat bardzo się przyjaźnili. Jedyne, co wypełniało wówczas jego głowę, to modlitwy, głód i że koniecznie musi do ubikacji. Ksiądz przystał co prawda na zamienienie jednej kruchty na toaletę, ale przy takim tłumie w kościele trudno się było tam dopchać.

Aż wreszcie nie dalej jak trzy dni temu – dzień przed tym, zanim Karolek znalazł się w piwnicy – przybyli aniołowie. Byli brudni, poranieni i zmęczeni, ale mimo to prezentowali się imponująco. Lądowali w szyku, jeden obok drugiego, delikatnie manewrując skrzydłami. Na ich czele stał rosły cherubin o zmierzwionych złotych włosach. Stanowczy w ruchach i słowach wyglądał na wielce zadowolonego, że może tu być. Jakby czekał na to od lat.

Karol, siedzący na konfesjonale i wyglądający na dziedziniec przez okno, widział, jak czteroskrzydły wydaje rozkazy swym żołnierzom, a potem wznosi się i frunie ku umieszczonemu nad ołtarzem witrażowi z Matką Boską. Po chwili wewnątrz świątyni wypełniła jasność, gdy wniknęła przez ścianę do środka.

– Kto tu dowodzi? – Zapytał, lądując przed tabernakulum. Mówił tak głośno, że nie potrzebował mikrofonu, by słychać go było za kolumnami. – Kto odpowiada za te owce?

– Ja – odparł ksiądz. Wyraźnie chciał, by brzmiało to równie donośnie, ale głos mu się załamał. – Jestem tu proboszczem.

Przez chwilę panowała cisza, a potem anioł ryknął, aż zatrzęsły się żyrandole:

– Przejmujemy tę świątynię i parafię. Zastępy Pana znakiem krzyża oczyszczą ją ze wszelkiego plugastwa. Wszelkich strzyg i wilkołaków, które wciąż tkwią w waszych na poły pogańskich głowach, wszelkich strachów i zjaw czających się w szafach czy pod łózkami. Nadszedł bowiem dzień Sądu i jedyne, czym musicie się teraz martwić, to czy wasze dusze zasłużyły na odkupienie i czy jesteście godni stanąć przed Sądem. Skończył się bowiem czas wiary. Teraz już wiecie... Jesteśmy.

I wtedy właśnie Karol przypomniał sobie o towarzyszu. Chwilę potem, korzystając z zamieszania, uciekł z kościoła, by – nie bacząc na nieumarłych i inne stwory – ostrzec przyjaciela. Bo anioł wcale nie wyglądał na takiego, który dla kogokolwiek zamierzał robić wyjątki...



Wzdłuż całej głównej ulicy – od zakrętu aż po jedyne w mieście skrzyżowanie ze światłami – ciągnęły się rzędy słupów i krzyży, na których wisieli dogorywający mityczni. Najwięcej było strzyg i wilkołaków, choć nie brakowało i topielic wyłowionych z pobliskiej górskiej rzeki. Potępionych, którzy wrócili na ziemię, trzymano w ogromnych prowizorycznych klatkach. Ściśnięci jeden obok drugiego na przemian to próbowali szarpać pręty, to znów atakowali siebie nawzajem. Pomiedzy tym wszystkim przechadzali się aniołowie uzbrojeni w miecze, doglądając więzów, czasem zdejmując już martwą istotę i zastępując ją nową – co najmniej kilkanaście czekało związanych na boisku pobliskiego liceum. I wciąż przybywało nowych.

– Ooo! – Wyrwało się Karolkowi.

– Co się stało? – Zapytał zaniepokojony towarzysz. – Idą tu?

– Nie, ale prowadzą jednorozca. Rany, jaki śliczny!

– Już zaraz przestanie taki być. Zrobią z nim to, co z resztą...

Chłopiec skinął głową, choć miał nadzieję, że jednak nie. W końcu jednorozec był taki piękny. I z całą

pewnością nie mógłby nikomu zrobić krzywdy. A to przecież byli aniołowie. Ci wspaniali, do których modlił się co wieczór, by czuwali nad jego łóżkiem. „Aniele Boży” nauczył się dużo szybciej niż „Ojciec nasz”.

– Karol, chcę, żebyś wiedział, że bardzo doceniam, że jesteś tu ze mną – powiedział po chwili towarzysz. – Wiesz, że nigdy nie chciałem cię straszyć, prawda? Pamiętam, jak co wieczór modliłeś się o dobrą noc, a potem szybko wstałeś na materac. Taki byłeś przestraszony, że czaję się pod łóżkiem... I byłem tam. Od zawsze. Od początku. Ale nigdy nie chciałem cię straszyć.

Tak, wiem. – Chłopiec zeskoczył ze stołka i wszedł w mrok. Rozłożył ręce, licząc na to, że wpadnie przyjacielowi w ramiona. – Jesteś najlepszym potworem spod łóżka, jakiego można sobie wymarzyć.

Nie zdążyli się uścisnąć. Nagle wyważone z zawiasów drzwi z impetem wpadły do środka, a wnętrza piwnicy zalała jasność. W świetle towarzysz Karolka wyglądał jak wyliniały yeti.

– Jest jeden Bóg, poczwaro! – Ryknął anioł stojący na przedzie i przyskoczył, odtrącając na bok chłopca.

Potwór dał się pojmać. Nie stawiał oporu.



Archanioł Michał wraz ze swą świętą wylądował na głuchołaskim rynku, tuż obok pamiątkowej lipy. Wiele lat wcześniej w drzewo uderzył piorun i teraz jego wciąż żywa połówka podparta została drewnianymi belkami ustawionymi na kształt litery A.

Właśnie tam, przy wsporniku, czekał na archanioła dowodzący akcją cherubin Ragat wraz z blisko połową swojej centurii.

– Bądź pozdrowiony, archaniele – powiedział, skinąwszy głową. – Zadanie zostało wykonane.

Wódz Zastępów rozejrzał się. Wokół całego rynku, na każdej zabytkowej kamieniczce, każdej latarni i drzewie dość silnym, by unieść ciężar ciała, wisiały truchła szarych jak skały koboldów, kudłatych i brodatych Dziadów Borowych, wił utkanych z wiatru i smutku...

Na świerku niczym zapomniane ozdoby choinkowe kołysały się skrzaty w czerwonych czapeczkach, a do pni przywiązano skatowane rusałki. Michał, który zanim przybył na rynek, zdążył obejrzeć sobie miasteczko i rzędy krzyży ciągnące się wzdłuż ulic, miał nieodparte wrażenie, że tu, w centrum miasteczka, jego oficer rozwiesił same najciekawsze okazy.

*Okrucieństwo plus wielkie ambicje* – pomyślał Wódz Zastępów – *niebezpieczna mieszanka.*

Zaskoczyło go, że wcześniej tego nie zauważył. Uśmiechnął się krzywo, poprawiając osmolony pancerz. Tatuaz na jego twarzy płonął delikatnie błękitnym ogniem.

– Imponujący widok, Ragacie – powiedział Michał, otulając się skrzydłami. Stąpał ostrożnie, bo wyłożony kostką deptak wiodący na przetrzał od dawnego placu targowego prosto na dziedziniec parafialnego kościoła był śliski od krwi. – Doprawdy nieźle się spisałeś.

– Dziękuję, wodzu. – Cherubin wyprężył pierś. – Kto by pomyślał, że taka maleńka mieścina okaże się siedzibą tak wielu mitycznych plugastw?

– Ja pomyślałem, Ragacie – przypomniał archanioł. – Dlatego cię tu wysłałem, nie pamiętasz?

Pochylił się nad konającą rusałką, złapał ją pod brodę i przez chwilę patrzył w oczy. Potem wykonał ruch nadgarstkiem, łamiąc jej kark. Podniósł się.

– Dobijcie ich wszystkich. Nie powinni cierpieć wyłącznie dlatego, że swym istnieniem obrażają Pana. Mamy być stanowczy, nie okrutni.

– Tak, wodzu.

– Gdzie są ludzie?

Ragat odwrócił się i wskazał na kościół – wysoki, neogotycki, pomalowany najbrzydszym chyba odcieniem żółtego.

– Większość tam, sporo w knajpach, niektórzy kryją się też w domach. Nie przeszkadzali.

Towarzyszący Michałowi Asaliah – Boska Prawda, parsknął:

– To przecież oczywiste. Ty byś przeszkadzał na ich miejscu?

– Pan nie postawił mnie na ich miejscu – odparł hardo cherubin. – Nie muszę się więc nad tym zastanawiać. A oni nie przeszkadzali.

Od strony lipy dobiegł ich jęk skrzypiącego drewna i ciąg stłumionych przekleństw. Michał obrócił się błyskawicznie, wznosząc rozpaloną głownię, pozostali generałowie również sięgnęli po miecze. Nie poruszył się natomiast żaden spośród skrzydlatych żołnierzy Ragata.

Cherubin wyszczerzył zęby i przejechał dłonią po włosach.

– A to, wodzu, stwór, po którego mnie posłałeś – oznajmił z dumą. – Trudno go było pojmać, tym bardziej żywcem, bo większość mitycznych chroniła go do ostatka, dając czas na ucieczkę.

Skinął na dwóch skrzydlatych, a ci wzniesli się, przelatując nad płotkiem okalającym lipę, i sięgnęli w głąb pustego w środku drzewa. Wyciągnęli zeń istotę nieco podobną do golema – ciało miała barwy gliny, ale oplatające je żyły mieniły się złotem. Podobnym blaskiem lśniły tęczówki rozbieganych ze strachu oczu.

– Oto Darzbóg, archaniele – przedstawił więźnia cherubin.

– Nie licząc Światowida, ostatni fałszywy bóg Słowian? Osławione bóstwo bogactwa i ziemi? Jakże mi miło! – Wódz Zastępów przyglądał się spętanemu mitycznemu, z zaciekawieniem przechylając głowę.

W końcu westchnął i wsunął miecz do pochwy. Odwrócił się na pięcie, stając tyłem do Darzboga.

– Zabijcie go – polecił. – A potem spalcie miasto z całym tym martwym plugastwem. Nie patrzcie na sprawiedliwych, jeśli Pan wróci na Sąd, rozpozna swoich. Tylko bez ociągania, jesteście mi potrzebni gdzie indziej... Prawdziwe bitwy dopiero przed nami.

Rozłożył skrzydła, wzbił się w powietrze i pofrunął na południe.

### *Południowa Ćwiartka, Dolina*

Pomieszczenie pełne pudeł i drewnianych skrzyń. Zamkowe ściany, na których miast gobelinów wiszą przeszkłone antyramy. W centralnym punkcie ogromny płaski telewizor, a na nim menu DVD „Indyany Jonesa i ostatniej krucjaty”.

Wszystko jest rozmyte, niewyraźne jak świat widziany przez zalaną deszczem szybę. Dźwięki są stłumione, niższe niż w rzeczywistości, zapachy zlewają się w jeden – lekko metaliczną woń wiosennych kwiatów.

Ktoś pojawia się w drzwiach.

– Panie – mówi.

Niewyraźna ręka wznosi się, pozostawiając za sobą kolorową smugę. Rozmyty palec dotyka ust, a uciszające ćśś brzmi jak szum wody w rurze.

– Cokolwiek to jest, może poczekać. – Kłamca wie, że to właśnie on wypowiada te słowa. Czy też może nie on, ale ten, którego oczami Loki ogląda teraz świat.

– Tak, panie – odpowiada mroczna sylwetka o rozchwianych, falujących konturach, kłaniając się i znikając za drzwiami.

Na wyciągniętym w stronę telewizora pilocie rozmyty palec wciska PLAY...



Słońce już zachodziło, gdy Loki wreszcie się obudził. Zanim jeszcze otworzył oczy, westchnął głośno i zaraz stęknął z bólu – popękane żebra stanowczo zaprotestowały przeciwko tej nagłej mobilizacji. Spróbował podnieść ręce, docisnąć koniuszki palców do skroni, ale zorientował się, że nie może.

Przez chwilę w nagłym przypływie paniki wyobraził sobie, że oto znowu tkwi w podziemiach Walhalli związany wnętrznościami własnego syna. Uwięziony po wiek wieków, skazany na wieczne cierpienie za sprawą węzowego jadu palącego mu twarz...

*Ale to przecież minęło* – uspokajał się w myślach – *nie ma już ani jadu, ani więzów, ani jaskini. Nie ma*

*już nawet całego pieprzonego Asgardu. Tylko ja!*

Długo jednak wolał nie otwierać zaciśniętych powiek. Gdy w końcu się odważył, mimo bólu odetchnął z ulgą. To zdecydowanie nie była jaskinia.

Pokój, w którym leżał, urządzono nad wyraz skromnie: łóżko, obok mała komoda, jednodrzwiowa szafa na wprost i wąskie biurko będące w zasadzie przedłużeniem parapetu. Ściany pomalowane na biało, a może w lekkim odcieniu różu – trudno było ocenić, co jest zasługą farby, a co słonecznych promieni. Nikt nawet nie próbował łamać tej prostoty żadnym obrazkiem czy inną ozdobą. Jedyny wyjątek stanowiła maleńka wiklinowa gałązka zawieszona nad drzwiami. Kłamca skojarzył, że w podobny sposób chrześcijanie oddają swoje domy opiece Jezusa – wieszając krzyż nad framugą.

Ponownie westchnął i raz jeszcze stęknął z bólu.

– Jak się czujesz? – Dobiegło go nagle od strony biurka.

Kłamca spojrzał w tamtym kierunku i wyteżył wzrok. Dostrzegł lekkie falowanie powietrza, jak nad ogniskiem. Gdy się dobrze przyjrzeć, można było zobaczyć ludzki kształt.

– To zależy – odparł Loki.

– Od czego?

– Wiem już, że kurujecie rannych. Nie wiem, jak postępujecie ze zdrowymi. Możesz się ujawnić? I powiedzieć, kim jesteś?

Przestrzeń nad biurkiem zamigotała, w powietrzu błysnęły czarne linie ludzko podobne do tych, które z biegiem czasu znaczą filmową taśmę. Rozmówca Lokiego właśnie dość nieudolnie uruchamiał projekcję samego siebie.

– Jestem Cluny – powiedział, gdy w końcu udało mu się przybrać zwyczajną postać. Siedział teraz na krześle ubrany w proste brązowe spodnie, taką samą marynarkę i kremową płócienną koszulę. Na kolanach trzymał kapelusz o wąskim rondzie. – Od wielu lat przewodzę Społeczności jako jej duchowy przewodnik i ojciec.

Kłamca westchnął po raz trzeci. Gdziekolwiek pójdzie, księża i kapłani. Zaczynał podejrzewać, że rzucono na niego jakąś klątwę. Szarpnął się lekko. Nie po to, by na serio odzyskać wolność, ale by zwrócić uwagę na więzy.

– Mogę wiedzieć, co zrobiłem waszej Społeczności, że podjęliście te... Hmm... Środki ostrożności? – Zapytał.

– Przybyłeś po tęczy z prawdziwego świata – wyjaśnił Cluny. Odłożył kapelusz na blat biurka i wstał. – Oberon wymógł na nas obietnicę, że poinformujemy go o każdym człowieku, który się na to zdecyduje.

– A co, jeśli nie jestem człowiekiem?

Elf otworzył szafę i wydobyl z niej garnitur identyczny jak ten, który miał na sobie. Z górnej półki zabrał kapelusz.

– Po co to *jeśli*, przyjacielu? Przecież obaj doskonale wiemy, kim jesteś.

– Wiemy? – Zdziwił się Kłamca.

– Owszem. Jesteś Loki, łąta doszyta do tkaniny Asów.

Nordycki bóg westchnął ponownie, po raz czwarty. Pomyślał, że jeśli zrobi to jeszcze ze dwa, trzy razy, zdoła przyzwyczaić się do bólu. Na razie z każdym głębszym oddechem czuł, jakby armia liliputów przypuściła zmasowany atak na jego żebra. I to z użyciem artylerii oraz lotnictwa.

– Sądząc po użytym określeniu, nie zapisałem się złotymi zgłoskami w twojej pamięci – stwierdził po chwili. – Nie żeby ktoś pierwszy raz witał mnie inaczej niż chlebem i solą, ale...

Zrobił przerwę na nabranie oddechu. Wciągał powietrze powoli, jakby chleptał wodę ze strumienia nabraną do ręki.

Cluny położył garnitur na łóżku i zajął swoje miejsce na krześle.

– Ale?

– ...Ale jedyna osoba, której tu naprawdę podpadłem, Oberon... – Loki zawahał się, starannie dobierając słowa. – Cóż, gdy przed chwilą wymieniłeś jego imię, nie brzmiało to, jakbyś pałał do niego szczególnym uczuciem. Przeciwnie nawet. Zasada wrogowie wroga są przyjaciółmi nie działa po tej stronie tęczy?

Cluny pokręcił głową.

– Dość długo cię tu nie było, Loki, więc wyjaśnię ci, co się zmieniło. Tym samym odpowiem na pytanie, dlaczego wciąż żyjesz i nie oddaliśmy cię jeszcze Oberonowi. Ale najpierw wypij to.

Podniósł otwartą dłoń i poruszył nią lekko w bok, jakby coś przesuwiał.

Kłamca spojrział na niego jak na wariata.

– Niewidzialne herbatki? To może jeszcze ubierzemy bufiaste sukienki i zaprosimy pana Królika? Doprawdy...

I wtedy przed jego twarzą zmaterializował się gliniany kubek. Opadł powoli wiedziony zdalnym ruchem Cluny'ego, aż jego krawędź dotknęła ust pokiereszowanego boga.

– Pij – nakazał Sidhe.

Loki wypił. Płyn smakował jak sok jabłkowy rozcieńczony wodą z wyjątkowo brudnej kałuży, zaraz jednak rozlał się ciepłem po całym ciele, gasząc ogniska bólu. Niemal dało się wyczuć, jak parują.

Tymczasem Cluny, rozsiadłszy się wygodnie, zaczął opowiadać:

– Jak wiesz, nie jesteśmy bogami. Wywodzimy się od nich w prostej linii, ale to pieśń przeszłości. Po naszych przodkach, Tuatha De Dannan, odziedziczyliśmy długowieczność i pewne zdolności, które pozwalają nam na drobne kuglarskie sztuczki. Jak iluzje na przykład. Bez obrazy...

– Jasne. – Kłamca wzruszył ramionami. Syknął, bo jednak wywołało to kolejną falę bólu. Przeniósł skuteczność elfiej herbatki. – Twoich popisów i tak nie nazwałbym inaczej. Chyba że z grzeczności. Możesz mnie rozwiązać? Albo chociaż podać wykałaczkę z kieszeni płaszcza?

Cluny pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Żebyś mógł przy jej pomocy rozpiąć klamry i wypłatać się z więzów? – Zapytał. – Masz mnie za takiego idiotę, Loki?

– Przysznam, że może przez chwilę...

– Więc radzę ci, przestań. – Elf uśmiechnął się. – Urażona duma Sidhe, nawet nawróconego, objawia się strasznie. Nie wódź mnie na pokuszenie.

– Obiecuję, że się postaram. – Kłamca poruszył się odrobinę i ostrożnie obrócił głowę, chcąc rozruszać zastane mięśnie karku. Dostrzegł, że zza rogu poduszki wystaje pluszowe ucho Kłamczucha. Widocznie ten, kto go tu kładł, uznał, że tak będzie słodko. Albo zabawnie...

Loki uśmiechnął się. Może rzeczywiście będzie.

– Skończyłeś na tym, że nie jesteście bogami – przypomniał Cluny'emu. – Kontynuuj, proszę, jeśli możesz, tylko weź pod uwagę, że coś jednak o was wiem. Daoine Sidhe, Tytania i Oberon jako władcy, a wokół nich wielkie rody, słodki hedonizm i dekadencja na królewskim dworze... Może od razu przejdiesz do tego, co to za Społeczność, której przewodniczysz, i dlaczego nie przepadacie za władcą Doliny?

Ktoś cichutko zapukał, po czym w lekko uchylonych drzwiach pojawiła się prześliczna, ubrana w prosty czepek dziewczęca główka.

– Przyszłam, wuju, by zapytać, czy... Och! – Dziewczyna dostrzegła, że Loki nie śpi. Jej drobne różowe usteczka uformowały się na kształt litery O, zatrzepotała długimi rzęsami.

– Wyjdź stąd, Duanna! Natychmiast! To nie jest towarzystwo dla ciebie! – Krzyknął Cluny, podrywając się z krzesła. Szybkim krokiem przeszedł przez izbę i wypchnąwszy dziewczynę za próg, zamknął drzwi.

Kłamca wykorzystał ten moment. Lekceważąc ból, wychylił się najmocniej jak mógł ku rogowi poduszki i zębami złapał wystające ucho pluszaka. Wyciągniętego misia rzucił sobie najpierw na pierś, a potem, podnosząc się delikatnie – i tworząc z własnego obolałego torsu coś na kształt równi pochyłej – dopilnował, by zabawka wylądowała tuż obok jego prawej ręki.

Gdy Cluny wrócił na swoje miejsce i spojrział na Lokiego, ten znowu leżał w swej poprzedniej pozycji, trochę tylko bardziej spocony.

– Widzę, że lekarstwo zaczyna działać – stwierdził Sidhe. – Lada chwila poczujesz się już zupełnie dobrze, a wtedy będziemy mogli rozważyć, co z tobą zrobić.

– A póki co powiesz mi wreszcie, co to za Społeczność?

– Och, Loki, gdybyś był jednym z nas, uznałbym to za dobrze wróżącą gorliwość. Obawiam się jednak, że to religia wyłącznie dla wybranych.

Przetarł twarz, przez chwilę patrzył na pola rozciągające się za oknem, zalane teraz ciemnością wstępującą z ziemi na niebiosy. A potem zaczął mówić...



Ryba psuje się od głowy. To królowa była pierwszą, która urodziła potwora. Owszem, z każdym pokoleniem dzieci Sidhe – owoce kazirodczych stosunków rodzeństwa czy kuzynostwa – rodziły się coraz brzydsze i bardziej pokraczne, ale długo uważano, że to jedynie gasnąca iskra boskości. Kolejnym pokoleniom Tuatha De Dannan coraz bliżej było do ludzi...

Aż wreszcie owej pamiętnej nocy, gdy krzyk przerażenia królowej zmroził cały dwór, złudzenia przysły. Postępująca pokraczność wcale nie skończyła się na etapie człowieka. Postępowała dalej.

Oczywiście byli tacy, którzy nie uznali tego za znak. Stare księgi wspominały, że w swej rozwiązłości Tytania nie brzydziła się spółkować nawet z osłem, oczywiście więc było, że prędzej czy później zrodzi jakieś szkaradzieństwo. *Są na tym świecie rzeczy właściwe królom, a niedostępne nam, maluczki* – mawiali niektórzy, uśmiechając się na myśl o przewrotności tych słów.

Niedługo potem jednak na świat przysły kolejne dzieci – garbate, zaślinione, o przerośniętych głowach i rybich, pokrytych błoną oczach – i nikt już nie miał wątpliwości, że tym razem Natura postanowiła nie wyróżniać koronowanych głów i wszystkich obdziela po równo. Jak zaraza.

I wtedy właśnie okazało się, że w jednej z klatek Oberona zawieszonych pod sufitem sali tkwi pewien człowiek. Wielu ich tam było od czasu, gdy jeden z ludzkich gości nadużył królewskiego zaufania i wykradł święte Księgi Opowieści, by potem opublikować je na ziemi, ten jednak miał szczególne znaczenie dla historii ludu z Doliny.

Nazywał się John Dee, a pytany o zawód nie mógł się zdecydować, czy nazywać go cyrulikiem, alchemikiem, czy magiem. Z całą pewnością jednak, jak zapewnił, był tym, który może pomóc znaleźć wyjaśnienie.

W zamian za obietnicę wolności Dee opowiedział władcom Doliny historię o pewnej małej wyspie, gdzie – podobnie jak na dworze – kobiety zaczęły rodzić potwory. A potem długo i pokrętnie wyjaśniał, jak do tego doszło. Wtedy właśnie Sidhe po raz pierwszy usłyszeli o Naturze jako o silnej, niemal boskiej istocie, która twardo domaga się respektowania jej praw. Jednym z nich był zakaz obcowania między braćmi i siostrami, ojcami i córkami, kuzynostwem...

Cóż to znaczyło dla ludu z Doliny, gdzie wszyscy byli ze sobą spokrewnieni? Nietrudno się domyślić. Natychmiast zaczęto szukać sposobu, jak zapobiegać ciąży. Imano się wszelkich pomysłów, od guseł i zaklęć po jedwabne *ochraniacze* szyte na miarę. Wreszcie gdy wszystko zawiodło, ktoś przypomniał sobie o starym zwyczaju znanym jeszcze z czasów, gdy po ziemi chodzili synowie bogini Dannan. Jeden z najpotężniejszych czarów, jakie znała Dolina, akt przekazania nieśmiertelności... Wymiana.

Po blisko tysiącu lat przerwy Sidhe ponownie zaczęli podrzucać ludziom swe potomstwo w zamian za zdrowe, śliczne niemowlaki. Nie był to może sposób na odbudowanie wspaniałości ludu z Doliny, ale z pewnością metoda na opóźnienie jego upadku. Może nawet o kilka tysięcy lat...



Cluny przerwał. Przez chwilę przyglądał się trzymanemu w rękach kapeluszu. Podniósł go w trakcie opowieści i od tamtej pory obracał, palując rondo kawałek po kawałku.

– No dobrze – powiedział Loki. – To póki co jest jasne, ale nadal nie powiedziałaś, kim jesteście wy. Ty i cała ta twoja Społeczność. Jakiś ruch na rzecz wyzwolenia odmieńców? Jak Greenpeace, tylko z ludźmi?

– Kto? – Sidhe zmarszczył brwi.

– Nieważne. – Kłamca wzruszył ramionami. Tym razem przyszło mu to z łatwością i niemal bezboleśnie. Lekarstwo rzeczywiście działało. – Kim jesteście?

– Wyznawcami Natury i jej praw – wyjaśnił Cluny. – Religią, która zrodziła się wśród maluczki, sług i chłopów, ale która urosła w siłę i wstąpiła aż na Dwór. W imię naszej wiary wyrzekamy się obcowania

cielesnego i żyjemy wyłącznie z tego, co uda nam się osiągnąć ciężką pracą. Jak jedna wielka rodzina nieskalana nieczystością ani w myśli, ani w mowie, ani w uczynkach. Nie posługujemy się mową z Książki Opowieści i za nic mamy dworskie tradycje. Jesteśmy...

– Tak, słyszę. Jesteście sektą. Możesz mi poprawie poduszkę?

– Mogę.

Cluny poruszył ręką, ale poduszka ani drgnęła. Wstał i podszedł do Kłamcy.

– Nie wiem, co znaczy słowo *sekt*, Loki, ale jeśli coś obraźliwego, to uważaj, bo...

– ...Bo to tak, jakbym nazwał Sidhe idiotą?

Prawa dłoń Kłamcy wystrzeliła ku górze, zaciskając się na krtani Cluny'ego i pozbawiając go tchu. Loki zgiął rękę w łokciu, przyciągając elfa do siebie i uderzył jego twarzą o poręcz łóżka.

Trysnęła krew.

### *Hortonville, Wisconsin*

Było zupełnie jak w kreskówkach. Wystarczyło, że skupił wzrok na telefonie, a ten zaraz przemienił się w wędzoną szynkę. Spojrzenie na telewizor, a przed oczami wypełniona po brzegi lodówka. Ze stojącej w kącie lampy zwisały pęta kiełbasy, na półkach między książkami leżały sery i krągłe, chrupiące bułeczki... Bachus starł ślinę z brody rękawem.

– Możesz przestać?! – Krzyknął.

– Możesz mnie wypuścić? – Dobiegł głos z drugiego pokoju.

– Wiesz, że nie mogę.

– Więc ja też nie.

I nagle leżąca na stole zwinięta w rulon gazeta wypełniła się po brzegi pieczonymi ziemniakami i kawałkami panierowanej ryby. Bóg wina stęknął, zrezygnowany opadł na kanapę.

Od dwóch dni nie jadł niczego prócz przeterminowanych krakersów, które wydzielał sobie w coraz mniejszych porcjach. Z początku dzielił się nimi ze Światowidem, ale potem burczenie w brzuchu zagłuszyło empatię. Teraz zostały mu ostatnie dwie połówki. Połamane tak, że w innej sytuacji starłby je ze stołu jako okruchy.

Leżący obok pilot zamienił się w trójkątną kanapkę z tuńczykiem. Bachus sięgnął po nią wbrew rozsądkowi, ale zanim wsunął do ust, ta z powrotem stała się kawałkiem plastiku pełnym przycisków.

– Albo natychmiast przestaniesz, albo będziemy mieli wypadek przy czyszczeniu broni! – Krzyknął bóg wina, celując niedawnym sandwichem w niedawną lodówkę.

– Nie masz naboju, gruby pajacu, więc nie strasz – odparł Światowid ze swojego pokoju.

Miał rację. Bachus stracił swój pistolet zeszłego wieczora, gdy bronił się przed szturmem pochodzących z południa sąsiadów z domku obok. Ci, skądinąd wyglądający na miłych, najpierw złożyli mu uczciwą propozycję – albo dasz nam do zjedzenia twoją tłustą rękę, albo spalimy tę chatkę i zrobimy z ciebie pieczone. Następnie w obliczu odmowy usiłowali zrealizować obietnicę. Ostrzelani z balkonu uznali jednak po namyśle, że kuzyn Joey, z chwilą gdy zarobił kulkę między oczy, przestał być członkiem rodziny i utracił swoje przywileje. Potem wieczorem słychać było śpiewane z teksańskim akcentem piosenki ogniskowe i od czasu do czasu ryk spalinowej piły, gdy ktoś prosił o dokładkę.

Bachus włączył telewizor i urządził sobie szybką przebieżkę po kanałach. Wszędzie to samo. Głód, głód, głód, zamieszki, głód, głód, akty kanibalizmu. Wojsko wsparło Gwardię Narodową, na ulice miast wyjechały wozy opancerzone i czołgi.

Kanał piąty retransmitował wczorajsze przemówienie prezydenta informującego o pewnych przejściowych kłopotach, które oczywiście wszyscy przetrwają, bo przecież drzemie w nich amerykański duch. Mówił powoli, wyraźnie i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że wyglądał jak cień samego siebie z czasu kampanii. Dwa dni klęski wystarczyły, by zamienił się w chodzący szkielet. Sprawiał

wrażenie, jakby był gotów odrzucić ideały i dołączyć do Republikanów za paczkę fistaszków. A potem nagle zmienił się w pieczonego kurczaka.

– Światowidzie, na nieśmiertelny łeb tej dziwki Hydry, możesz wreszcie przestać?!

Nie powinien był krzyczeć, właśnie to sobie uświadomił. Nie powinien był krzyczeć, tak samo jak nie powinien po zmroku włączać świateł. Blask ognia przyciąga wilki, krew przywołuje rekiny... Głodnych zaś ściągają nieostrożni, krzykliwi bogowie. Zwłaszcza ci tłuści jak polska kuchnia.

Wyłączył telewizor i kolejny raz skupił się, próbując wprowadzić Światowida w stan upojenia. Albo jednak był zbyt osłabiony, albo fałszywy Mikołaj miał łeb twardszy niż granit, bo kolejny raz nie przyniosło to żadnego efektu. Zamiast tego kieszonka na jego koszuli zmieniła się w plasterek szynki. Nie zerwał jej, lecz wymagało to całej siły boskiej woli.



## Rozdział 6

### Gdzieś na Bałtyku



enning Ullmann, kapitan norweskiego żaglowca szkoleniowego „Ulisses”, stał na rufie i uważnie obserwował spokojną taflę Bałtyku. Było jak na jeziorze – księżycowy blask rozlewał się na nieruchomej powierzchni wody niczym ropa z rozbitego tankowca. Na niebie ani jednej chmurki, nie wiał nawet najłżejszy zefirek...

*Kiedyś – myślał sobie Ullmann – gdy taka cisza na morzu trwała zbyt długo, marynarze zaczynali się rozglądać za winnym wśród załogi. Czasem był to szczególnie grzesznik, czasem oficer ignorant, który dostał się na pokład dzięki rodzinnym koneksjom. Nazywali takiego delikwenta Jonaszem i wyraźnie dawali mu do zrozumienia, że wcale by się nie obrazili, gdyby kontynuował podróż wplaw. Podobno pomagało.*

Henning westchnął ciężko i kolejny raz tej nocy włączył latarkę. Cisza na morzu – mimo że „Ulisses” od trzech dni właściwie stał w miejscu – nie była teraz wcale największym problemem kapitana. Znacznie większy kłopot stanowiło to, co kryło się pod powierzchnią wody.

Pamiętał, że kiedy był mały, zawsze chciał je zobaczyć. Wierzył w nie, jak inne dzieci wierzą w Mikołaja czy wielkanocnego zajączka. Czytał na ich temat wszystko, co się dało – od Odysei po Andersena, a ten głupawy film z Daryl Hannah widział chyba z tysiąc razy. Właściwie to one sprawiły, że wybrał się na swój pierwszy rejs „Christianem Radichem” – prawdziwą chlubą Norwegii...

Snop światła latarki przeszył wodę i rozlał się po jej powierzchni, jedynie częściowo zaglądając głębiej. Na szczęście dla kapitana Ullmanna chwilowo nic „Ulissesowi” nie towarzyszyło. Naprawdę bał się, że zobaczy je znowu. Kobiety o sinobiałych twarzach topielic, z zębami ostrymi jak kolki ostrokołu, oczami, z których biła dzikość... Dźwięk, gdy jedna z nich jęła się wspinać po kadłubie, wbijając swe szpony w deski, szorując po nich swym rybim ogonem, był jednym z najstraszniejszych, jakie Ullmann kiedykolwiek słyszał. Strącali ją bosakami, ale tylko śmiała się potępieńczo. A potem, gdy już zepchnęli ją do wody, wyskrzeczwała, że gdy przyjdzie sztorm, fale same wniosą ją na pokład. Inne syreny śmiały się, jakby to był najprzedniejszy żart świata. Ich śmiech brzmiał jak kadłub ryjący mieliznę...

– Boże, pomóż nam – powiedział Ullmann, gasząc latarkę i wznosząc oczy ku niebu.

– Niestety, Boga chwilowo nie ma... – Odparł głos za jego plecami. Głos, któremu towarzyszył łagodny powiew wiatru.

Kapitan odwrócił się błyskawicznie i zobaczył uzbrojonego w miecz anioła.

– ...Ale jako twój stróż, Henning – uśmiechnął się skrzydlaty – zobaczę, co da się zrobić.

### Paryż

– Uwaga! – Wrzasnął Eros ze swego posterunku przy oknie między pierwszym a drugim piętrem. – Próbują szturmu na okna!

– Z której strony?

– Kuchnia pana Pleurdeau.

– Moja kuchnia?! *Sacrebleu!*

Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, a zaraz potem przeciągły jęk szturmującego truposza i stękanie towarzyszy, na których upadł.

– Pomóżcie mi to czymś zastawić! – Zawołał gospodarz domu. Przez chwilę nie było słyhać żadnego odzewu, więc dodał wspaniałomyślnie: – No już, będą niżki w czynszu!

Eros odetchnął głęboko i usiadł na przyniesionym z domu stołku. Z talerzyka leżącego na podłodze podniósł napoczętego croissanta.

Sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Na ulicach w zasadzie nie było już chorych. Gdzieniedzie walały się jeszcze podrygujące ciała, ktoś z marnym skutkiem usiłował – pełzając – uciec przed Białymi, a kto inny wrzeszczał, że to kara boska za zakaz noszenia krzyżyków... Ponadto ulice zaludniały przede wszystkim żywe trupy.

Niektóre z nich przybyły tu z pobliskiego cmentarza – te miały przegniłe, zielonobrazowe twarze i ręce, a z ich korpusów zwisały resztki odświętnych pogrzebowych ubrań. Wyglądały w zasadzie niegroźnie. W większości pozbawione oczu wyły tylko i próbowały wymacać cokolwiek do jedzenia. Trafiając wyłącznie na podobnych sobie, serwowały mieszkańcom kamienicy efektowne pokazy trupiego kanibalizmu.

Dużo gorsi byli świeży wskrzeszeńcy – ci, u których iskra świadomości nie zdążyła jeszcze zgasnąć, choć właśnie odbyli krótką wycieczkę pod zamknięte wrota piekła i z powrotem. Oni to właśnie – niedawne ofiary szalejącej wszędzie wokół epidemii – postanowili zapewne, że za swoje krzywdy odpłacą się pierwszej napotkanej garstce zdrowych ludzi. I to właśnie oni zawzięcie szturmowali teraz budynek, stękając coś o mózgach i krwi...

– Chcesz może kawy?

Eros podniósł głowę i dostrzegł Jenny stojącą u szczytu schodów z tacą w rękach. Sądząc po ilości filiżanek, musiało być jej naprawdę ciężko i bóg miłości zdziwił się, że nie opiera tacy na poduszce udającej brzuch. Dopiero po chwili dotarło do niego, że przecież prawdziwa przyszła matka nigdy by tak nie zrobiła. A Jenny uczyła się subtelnej sztuki kłamstwa od najlepszego mistrza.

Patrzył, jak schodzi powoli, skupiona mimo hałasu dobiegającego z zewnątrz. Świetnie sobie radziła w tej ekstremalnej sytuacji. Lepiej niż większość sąsiadów. Lepiej niż on, który w panicznym odruchu już trzy razy próbował dozwonić się do Bachusa.

– Kawa... – Powtórzył teraz. – A wiesz, że chętnie? Nie zapowiada się, bym miał spać w najbliższym czasie.

Jenny oparła tacę o parapet i podniosła jedną z filiżanek, jednocześnie patrząc za okno.

– Dobrze to nie wygląda – w jej głosie prawie nie było emocji. Proste stwierdzenie faktu. – Co to za łyse skrzydlate stworki podobne do małp tam pod latarnią?

Eros nie musiał zerkać. Widział je już wcześniej.

– Nie pamiętam, jak się nazywają, ale pochodzą z Afryki – odparł. – Takie tam pomniejszych demony.

– Żywią się ludźmi?

– Wyłącznie.

– Aha.

Jakby na potwierdzenie słów Erosa jedno ze stworzeń odbiło się od latarni i rozłożywszy skrzydła, pognało w stronę wrzeszczącego chorego. Po chwili wrzask zmienił się w charkot i zamarł zupełnie. Pozostałe małpy przyglądały się przez chwilę podrygującej ofierze swego towarzysza, po czym – gdy chory wrzście znieruchomiał – obsiadły go, dołączając do uczt.

Jenny odwróciła wzrok.

– Jak myślisz, kiedy zjawi się Loki? – Zapytała.

Bóg miłości wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć, nie wiem, czy w ogóle. Znając go, nieźle teraz kombinuje, jak wyjść z tego wszystkiego obronną ręką.

– Co masz na myśli?

– Rano widziałem anioły nad Sekwaną, ale teraz już ich tam nie ma. – Westchnął i odgryzł kawałek rogalika. – Trudno się walczy, gdy wróg atakuje z każdego okna, zaułka i kubła na śmieci. A już najgorzej, gdy wrogów ciągle przybywa.

Na schodach pojawił się nagle Anton, najmłodszy spośród czterech kochanków madame Bixby – sąsiadki z trzeciego piętra.

Ta dochodząca już do siedemdziesiątki kobieta, mimo że wcale nie zamożna, miała niezwykle talent do gromadzenia wokół siebie młodych mężczyzn. Nawet dla Erosa stanowiło zagadkę, w jaki sposób to robiła. Nie była ani szczególnie piękna, ani też nie starzała się ładnie. Zmarszczki wokół ust, obwisłe policzki,

ostry, zadarty nos i zimne, stalowe oczy pod grzywką przeredzonych siwych włosów... Do tego z wiekiem jej figura coraz bardziej upodobniała się do gruszki.

Nazwanie madame Bixby głupią byłoby z pewnością przesadą, ale gubiła się w rozmowach ze zbyt dużą ilością trudnych i długich słów. I to nie tylko, gdy usiłowała konwersować po francusku, bo nawet ojczysty angielski sprawiał jej czasem trudności.

Anton z kolei, podobnie jak jego trzech koledzy, był młodym, przystojnym Hiszpanem – w tym sezonie oni podobał się madame najbardziej – umiśnionym jak grecki posąg i obdarzonym gracją rosyjskiego baletmistrza. Nawet teraz, gdy wchodził po schodach, wyglądał, jakby tańczył.

– Moja *amor* pyta, czy nie potrzebujesz, *señora*, pomocy przy tej kawie – powiedział po angielsku, opierając się o poręcz. Wyglądał jak z katalogu Hugo Bossa.

Jenny uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Gdybyś był tak miły, Anton. – Podała mu tacę. – Jak sobie radzicie?

– Nie najgorzej. – Hiszpan wyszczerzył się, prezentując idealnie równe białe zęby. – Javier był kiedyś szermierzem i teraz wywija tym, no...

– Pogrzbaczem? – Podpowiedziała dziewczyna.

– Tak właśnie. A Conrado i Francisco pomagają panu Pleurdeau zastawiać okna. Reszta na zmiany obstawia posterunki.

– Trzeba by zobaczyć, jak się ma nasz sąsiad z góry – przypomniał sobie Eros. – I czy czegoś nie potrzebuje.

Anton zmarszczył nos. Nawet ten grymas wyglądał jak odegrany. Pasowałby idealnie w reklamie odświeżaczy powietrza.

– Mówisz, *senor*, o mendzie ze strychu? Kiedyś po pijaku nasikał nam na drzwi. Potem *amor* kazała nam ścierać lakier do gołej deski i malować na nowo. – Hiszpan wzdrygnął się na samo wspomnienie, nie wiadomo tylko, czy obsikanych drzwi, czy ciężkiej pracy. – Prawdziwy *hijo de puta*<sup>[8]</sup>.

Eros przypomniał sobie o swojej zarzyganej koszuli, a także o rozmowie odbytej w eleganckiej galerii na strychu. Jeśli mieli się stąd jakoś wydostać – a przecież nie mogli siedzieć w tej kamienicy wiecznie – przydałby im się ktoś tak sprytny jak malarz z poddasza. Ktoś, kto potrafi się maskować tak doskonale jak on.

– Jenny, zastąpisz mnie chwilę?



Drzwi do mieszkania i pracowni Jeana Baptiste Gericault wyglądały na zbite ze zwykłej sklejk. Zrobiono je na tyle przekonująco, że na wysokości ramienia znajdowało się w nich wgniecenie, jakby ktoś próbował je kiedyś wyważać. Ponadto od dołu płyta podwijała się lekko – wyglądało, że z powodu niedysiejszej panującej na korytarzu wilgoci.

– Bardzo przekonujące kłamstwo – mruknął Eros z uznaniem, myśląc, czy nabrałby się, gdyby nie widział tych samych drzwi od drugiej strony – eleganckich, masywnych, obitych dobrej jakości skórą. Doszedł do wniosku, że owszem, złapałby się w jednej chwili. Wystarczyło przypomnieć sobie, jak zareagował dawniej na koszulę i spływające po niej fałszywe wymiociny.

Zapukał do drzwi. A potem, gdy przez dłuższą chwilę nie uzyskał odpowiedzi, zastukał jeszcze raz.

Na dole kochankowie madame Bixby odpierali kolejny szturm zombich atakujących tym razem od drzwi wejściowych. Słychać było pokrzykiwania i przekleństwa, zwłaszcza gospodarza domu na bieżąco oceniającego szkody. Dwa razy wypalono nawet z zabytkowego rewolweru starszych państwa Babeuf z pierwszego, co znaczyło, że sytuacja wyraźnie się zaostrzała.

Eros po raz trzeci zapukał w sklejkę.

– Kto tam? – Dobięło bełkotliwe pytanie z wnętrza mieszkania.

– Elliot Ros, sąsiad. Byłem u pana z żoną, pamięta pan? Wpadliśmy przez dach i...

Rozległ się dźwięk przekręcane go zamka, a zaraz potem czyjaś ręka uchyliła nieco drzwi.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Eros wiedziony impulsem wytarł buty w brudną szmatę leżącą zamiast słomianki i przestąpił próg. Dopiero wtedy poczuł kuszący zapach pieczonego mięsa, który sprawił, że usta wypełniły mu się śliną, a żołądek zawinął w pętelkę.

– Może pan skosztuje? – Zapytał gospodarz. Ubrany w T-shirt z komiksowego konwentu i gładko ogolony w niczym nie przypominał swojego artystycznego alter ego.

*Ani mi się waż odmawiać!* – Zagroził żołądek boga głośnym burczeniem.

– Jeśli pan pozwoli, to chętnie.

Rozejrzał się po galerii. Właściwie jeśli nie liczyć uprzątniętego szkła i tego, że na sztaludze miast obrazu znajdował się teraz szkic komiksowej strony – ze stojącym tyłem Wolverinem zapatrzonym w skąpaną w słońcu prowansalską winnicę – nic się nie zmieniło. Tym razem jednak bóg miłości miał czas, by przyjrzeć się temu miejscu uważniej. Dostrzegł stojący w kącie parawan skonstruowany tak sprytnie, że nieomal zlewał się ze ścianą. Gdyby nie to, że teraz był lekko odchylony, nie dałoby się go zauważyć.

*Tam pewnie stoi łóżko* – pomyślał. – *Może jakaś szafa, względnie kufer z niezbędnikiem prawdziwego kłozarda.*

Po lewej od wejścia znajdowała się wnęka kuchenna z eleganckimi meblami zrobionymi na wymiar. Tam właśnie pichcił coś gospodarz, przyświecając sobie namiotową lampką.

– Mam nadzieję, sąsiedzie, że ani pan, ani małżonka nie zdradziliście mojego małego sekretu? – Zapytał, nakładając mięsiwo na talerz.

– Ni słówkiem – zapewnił Eros. – Obawiam się jednak, że ta konspiracja jakby troszeczkę straciła na znaczeniu, odkąd naszą kamienicę szturmują demony i hordy żywych trupów.

– Tak, domyśliłem się – odparł Jean Baptiste tonem człowieka rozmawiającego o tym, jak kłopotliwe bywają gołębie na Polach Elizejskich. – A z tego, co widziałem dziś w telewizji, nie tylko naszą kamienicę.

Bóg miłości zamrugał gwałtownie.

– Że co proszę? – Zapytał. To było pierwsze, co przyszło mu teraz do głowy.

Gospodarz odwrócił się i podszedł do gościa, podając mu talerz z pieczystym.

– Mówię, że widziałem dziś w telewizji wiadomości i tam mówili o...

– Ma pan tu prąd?!

– Tak. – Malarz po raz pierwszy się uśmiechnął, był to jednak smutny uśmiech. – Po tym jak ten głupek Pleurdeau w ramach ostrzeżenia odciął mi go na dwa dni, zaopatrzyłem się w nowoczesny generator, a także kilka butli z gazem i zapas świeżej wody. Pokażę panu, jeśli pan ma ochotę.

– Później. – Eros machnął ręką tłustą od mięsa, jakby odpędzał muchę. – Teraz raczej interesuje mnie, co pan widział w tej telewizji. Niezłe to, muszę przyznać.

Włożył do ust spory kawałek pieczystego i mlasnął z zadowoleniem. Kawalkiem bagietki zebrał sos.

Jean Baptiste przyglądał mu się przez chwilę z wyrazem twarzy właściwym dla docenionego szefa kuchni.

– Cieszę się, że smakuje – powiedział w końcu. – A co do telewizji... Cóż, myślę, że Apokalipsa byłaby właściwym słowem. Widziałem demony i chodzących umarłych, a potem anioły i diabły walczące ze sobą nad ulicami Berlina i chyba Wiednia. Tego drugiego nie jestem pewien, bo w pewnym momencie jakaś wielka owłosiona łapa porwała operatora i relacja się urwała.

Eros przełknął przeżuty kawałek.

– I pan mówi o tym tak spokojnie? – Zapytał szczerze zdumiony. – O aniołach, diabłach, zombich i tak dalej? Większość naszych sąsiadów dopiero dziś rano zaczęła dochodzić do siebie po tym, co widziała, a i tak myślę, że tylko działanie utrzymuje ich przy zdrowych zmysłach.

– Pan też nie wygląda na szczególnie zaskoczonego, Ros – odparł malarz, uśmiechając się po raz drugi. – Poza tym ja jestem artystą i całe życie uczyłem się, jak nie dziwić się niczemu. To czasem dobry nawyk. Jeszcze bagietki?

Bóg miłości miał właśnie podziękować i powiedzieć, że musi już wracać, gdy nagle drzwi wejściowe otworzyły się na oścież i stanął w nich Pleurdeau.

– Aha! – Zawołał, czy raczej chciał zawołać, bo zeszło z niego powietrze. Stanął jak wryty i tylko na

przemian otwierał i zamykał usta jak ryba.

– No i tyle z tajemnicy – mruknął malarz. – Zje pan coś, panie Pleurdeau?

## *Berlin*

Lewiatan cisnął aniołem o bruk, po czym oparł stopę na jego karku i z całej siły szarpnął za skrzydło. Rozległ się trzask, a skatowany skrzydlaty jęknął przeciągle. Upadły dopełnił dzieła, przenosząc ciężar z jednej nogi na drugą i łamiąc ofierze kręgosłup. Stojący obok Beliał przyglądał się tym popisom z podszytą drwiną obojętnością.

– To tylko stróż, Lewiatanie. Nawet nie żołnierz – powiedział. – A minę masz taką, jakbyś właśnie dokopał samemu Michałowi.

– Mógłbym – stwierdził Upadły o przetrąconych skrzydłach. – Gdybyśmy tylko skończyli z podchodami i przeszli do normalnej walki... Jak za dawnych dni.

– Lucyfer mówi, że już niedługo.

– Lucyfer szmyfer! On tam się bawi ludzkimi zabawkami, a my musimy patrzeć na przemarsze anielskich zastępów, sami kryjąc się w śmierdzących zaułkach!

Beliał wzruszył ramionami. Jemu to odpowiadało. Podobały mu się te ciasne berlińskie uliczki wymoszczone zużyтыми kondomami, pełne zakażonych strzykawek i woreczków z resztkami białego proszku. W wielu miejscach, które zwiedził tu przez ostatnie dni, wystarczyło dotknąć ceglanych ścian, by usłyszeć stłumione krzyki ofiar napadów, czy jęki gwałconych cudzoziemców.

Poza tym, co tu dużo ukrywać, jako demon kaleka nieszczerze nadawał się do otwartej walki. Teraz przynajmniej mógł wykazać, co potrafi.

– Zostaw już to truchło, Lewiatanie, i chodźmy – rzekł po chwili. – Jest jeszcze sporo do zrobienia.

Podszedł do włazu kanalizacyjnego i jedną ręką podniósł klapę.

Jego towarzysz odrzucił trzymane w ręce skrzydło.

– My poruszamy się kanałami, podczas gdy te pyszałki od Michała uczują na dachu Reichstagu – mrucał pod nosem, próbując wtłoczyć swe cielsko do ciasnego otworu. Rzecz jasna, nie obyło się bez pomocy magii.

Beliał już miał podążyć jego śladem, kiedy nagle przypomniał sobie o czymś. Szybkim krokiem podszedł do martwego anioła i rozpiął spodnie.

– Uznaj to za manifestację poglądów – powiedział, gdy skończył. Zasunął rozporek i pognał w ślad za Lewiatanem.



Poruszali się, brodząc po kolana w ściekach, według strzałek i prostych znaków, jakie namalowali im mityczni. Był to swego rodzaju kompromis, po tym jak Lewiatan kategorycznie odmówił wzięcia jako przewodnika Picculusa, pruskiego demona podziemi roszczonego sobie niegdyś prawa do dziesiątej części Piekieł. Teraz bóstwo nie było już takie łase na władzę – zbyt wiele wycierpiało na ziemi, żebrząc o choćby odrobinę wiary – ale dawna niechęć niektórych książąt pozostała.

Strzałki okazały się całkiem niegłupim pomysłem. Wystarczyło zapamiętać cztery kolory określające kierunki świata i raptem dwadzieścia kilka symboli oznaczających strategiczne obiekty w mieście. Potrzebna też była podstawowa znajomość topografii miasta, ale o tę zadbał Lucyfer, obdarowując ich szczegółowymi mapkami i pokazując zdjęcia, które zrobił w ubiegłe wakacje.

– Co teraz w planie? – Zapytał Lewiatan. Zatrzymał się i nie kryjąc obrzydzenia, zdjął z nogi kawałek przemoczonego papieru toaletowego.

– Nic. Idziemy do centrum, zajmujemy jakiś budynek i trzymamy rękę na pulsie. Chyba że znowu weźmie cię chęć na mordowanie skrzydlatych.

– Aniołów. Skrzydlaty to też ja. – Upadły wskazał kciukiem na swoje zwiędłe i gnijące skrzydła.  
– Niech ci będzie.

Skręcili w odnogę po lewej, a potem po kilku metrach przystanęli obok metalowej drabinki. Lewiatan wspiął się na górę i podbił klapę. Wyszedł na powierzchnię, odetchnął głęboko, lecz zaraz runął z łoskotem na ziemię

Belial odruchowo odskoczył na bok i przywarł do ściany. Nie zdało się to jednak na wiele, bo nagle tużobok niego wyrósł postawny, ubrany na czarno anioł uzbrojony w miecz o matowym ostrzu. Na twarz nałożone miał maskujące barwy – brudną czerń, brąz i kilka odcieni szarości. Kamuflaż kanałowy.

– Właz! – Warknął, unosząc ostrze na wysokość piersi Beliala. – Już!



Na górze czekało już kilkunastu zbrojnych. Zbici w ciasny krąg szczelnie otaczali właz kanału.

Nieco dalej na gzymsie pobliskiej kamienicy, niczym gotycki gargulec, przykucnął sam archanioł Michał. Jadł jabłko.

– No, no – powiedział na widok Upadłego. – Dwaj władcy Piekieł jednego dnia. Widać łaska Pana wciąż jest przy jego armii. Sprawilo wam przyjemność katowanie tamtego stróża?

Belial zmarszczył brwi.

– Byliście tam? – Zapytał zdumiony.

Archanioł podniósł się i cisnął ogryzkiem w pobliskie krzaki. Potem powoli, majestatycznie sfrunął do wnętrza kręgu. Żołnierze odstąpili, robiąc wodzowi miejsce.

– Przybyliśmy za późno, by mu pomóc – oznajmił – ale wystarczająco wcześniej, by przekuć jego porażkę na nasze zwycięstwo.

Tatuaż na jego twarzy zapłonął mocnym żółtym płomieniem.

– To tu, w tym parku i tych domach, kryją się teraz mityczni i posłuszne wam demony, co? Dlatego wyszliście właśnie tutaj?

Belial zebrał ślinę i plunął archaniołowi w twarz, zanim jednak plwocina zdążyła dotknąć skóry Wodza Zastępów, wyparowała w ogniu.

Michał uśmiechnął się paskudnie.

– Nie martw się, Belialu, nie będę szczególnie naciskał na odpowiedź – zapewnił. – Nie jest mi potrzebna. Mam nadzieję, że tu są i że zobaczą to, co zamierzam im pokazać.

Odwrocił głowę, spoglądając na anioła w kamuflażu.

– Ocuć Lewiatana, Zafkielu. I daj mu solidny miecz do ręki... Nie, nie swój. Długi. O, właśnie taki!

Skinął głową i ponownie przeniósł wzrok na Beliala. Prawą dłoń położył na rękojeści miecza.

– Tobie, kaleko, mogę powiedzieć tylko, że jeśli chodzi o książąt Piekieł, to...

Dobyl broni i pewnym cięciem ściął Upadłemu głowę. Zrobił to tak szybko, że mniej uważny słuchacz nie wychwyciłby krótkiej pauzy w zdaniu.

– ...Potrzebny mi tylko jeden – dokończył.

A potem z rozpaloną głównią miecza czekał cierpliwie, aż Zafkiel ocuci Lewiatana.

### *Południowa Ćwiartka, Dolina*

Cluny wyszedł z pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Już za progiem nałożył kapelusz i przejechał palcem po krawędzi runda. Wykałaczką w jego ustach przewędrowała z jednego kącika ust do drugiego.

– Śpi teraz – powiedział zgromadzonej w ciasnym holu wspólnocie. – Niech nikt mu nie przeszkadza.

Wyłowił w ściśniętym tłumie uroczą twarzyczkę, którą widział już wcześniej.

– Zwłaszcza ciebie, Duanna, nie chcę widzieć w jego pobliżu.

Dziewczyna zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

– Jak każesz, wuju – wyszeptwała.

– Dobre dziecko.

Westchnął i strząsnął niewidoczny pyłek z kłapy marynarki. Potem niespiesznym krokiem wyszedł przed dom.

W takich nocach jak ta, która właśnie otulała Dolinę, łatwo się było zakochać. Księżyc – tak wielki, że zajmował pół nieba – rozświetlał pola i łąki, a także korony drzew w pobliskim zagajniku. Gwiazdy migotały jak cekiny na chuście cygańskiej tancerki, a chłodny wiatr studził żar bijący od nagrzonej ziemi...

*Prawdziwa sielanka* – pomyślał Cluny, wypluwając wykałaczkę na schodki ganku. Odchylił poję marynarki i wyciągnął zza paska pluszowego misia. Poglądził go po szwie na brzuchu.

– Dzięki, stary – mruknął. – Jak wrócimy, wstąpimy do jakiegoś zabawkowego, wybierzesz sobie cizię, dobra?

Skrzywił się. Jakoś nie zabrzmiało to ładnie. Może dlatego, że po części naprawdę był teraz Clunym? Nie tylko Lokim ukrytym pod płaszczykiem elegancko dopasowanej iluzji – na to z pewnością nie nabrałyby się przywykłe do magii Sidhe – ale właśnie Clunym, nawróconym szlachcicem z Dworu Oberona, przywódcą i guru Społeczności wyznawców Natury. Dopasował się do niego kształtem, a po części także umysłem. Jak za starych czasów – znowu był zmiennokształtnym.

Wiedział, że nie może pozostawać w tym ciele zbyt długo – nie, jeśli chciał znów kiedyś być sobą. A spędzenie reszty życia na grzebaniu w ziemi, machaniu kosą i patrzeniu, jak marnują się prawdziwe piękności, zupełnie mu nie odpowiadało. Schował misia i przeszedł przez podwórko w stronę stajni.

Jeśli tylko znalazłby konia zdolnego unieść siodło, to w zasadzie mógłby się zbierać już teraz – w końcu czas działał na jego niekorzyść. Z każdą chwilą porywacze Antychrysta bledli w pamięci świadków, znikali. W końcu ile podmienionych dzieci trafiało do Doliny każdego tygodnia czy miesiąca? A każde z nich to fałszywy trop i kolejne dni spędzone po tej stronie tęczy.

Podszedł do stajni i szarpnął za wrota. Miał tylko nadzieję, że wciąż jeszcze pamięta, jak utrzymać się na końskim grzbiecie.

I wtedy właśnie usłyszał tętent. Z początku brzmiało to raczej, jakby wiatr zagrał na poluzowanych sztachetach płotu po drugiej stronie podwórza. Z każdą chwilą jednak dźwięk przybierał na sile i wyrazistości. A potem z mroku wyłonił się jeździec.

Wyglądał jak nonszalancja w pełnym galopie. Miał długie blond włosy, teraz rozpuszczone i rzucone na pastwę wiatru, białą koszulę wystającą spod niezawiązanego kaftana, a na nogach skórzane spodnie do jazdy konnej. Usta i kawałek nosa skrywała jedwabna chusta, ale z oczu – gdy tylko zbliżył się na tyle, by można je było dojrzeć – biło znudzenie. Jazdą, misją czy światem w ogóle... Trudno powiedzieć.

– To ty, Cluny? – Zapytał, dostrzegłszy Kłamcę.

Ten skinął głową.

– To ja. Natura jednak dała ci przewagę, bo nijak cię w mroku nie...

Loki przerwał zdziwiony brzmieniem własnego głosu i doborem słów. Czyżby, zmieniwszy kształt, zatracił się aż tak szybko na rzecz Sidhe? Zrozumiał już, co musi czuć alkoholik, który po latach abstynencji znowu sięgnął po kieliszek i ze zdumieniem odkrył, że głowę ma słabą jak wilgotny papier.

– ...Poznaję – dokończył już mniej pewnie. Jeździec odchylił się w siodle i parsknął śmiechem.

Zdjął skórzane rękawiczki, wetknął je za pasek, a potem zsunął z twarzy chustę.

– Żle z tobą i strzec się powinienes, Cluny, skoro nie poznajesz już starego, dobrego druha. – Umilkł na chwilę i gdy już wszystko wskazywało na to, że skończył prezentację, dodał, siląc się na oficjalny ton: –

Choć może to i lepiej, bo dziś przybywam tu z poselstwem raczej niżli na pogaduszki. Od samego Oberona!

Coś drgnęło w umyśle Lokiego. Małeńki kamyczek rzucony na usypane głazami zboczce. Chwilę trwało, zanim ów drobiazg wywołał lawinę. Dobry druh... Kto tytułował się w ten sposób, gdy Kłamca był gościem na Dworze? Kto za wszelką cenę chciał być kumplem wszystkich?

– Puk – stwierdził w końcu na głos. I by nie zabrzmiało to dziwnie, zaraz dodał: – Czyżbyś awansował? Gdy widzieliśmy się po raz ostatni, wszędzie musiałeś biegać na piechotę.

Na krótką chwilę uśmiech spelzł z twarzy posłańca, a w oczach błysnął gniew. Zaraz jednak wszystko znowu było po staremu. Ktoś, kto chce być dobrym druhem dla wszystkich, musi umieć wznieść się ponad urażoną dumę i honor.

– Wiesz, jak to jest. Przychodzi dzień, gdy masz dość bycia żartobliwym nocy wędrowcem. Teraz na tym czarnym bydlaku – poklepał konia po szyi – dookoła ziemię opaszę w czterdzieści minut.

– Brawo! – Kłamca uważniej przyjrzał się rumakowi. – Naprawdę, wyrazi uznania.

Puk skłonił się lekko i przełożył nogę przez siodło. Zeskoczył na ziemię tuż obok Lokiego.

– O tak! – Rzucił wesoło. – Kłaśnijcie, gdyście łaskawi...

– A Puk lepiej wnet się sprawi – odruchowo dopowiedział Kłamca i zaraz ugryzł się w język pod ciężarem spojrzenia posłańca.

– Kpisz ze mnie, Cluny? – Zapytał ten. – Kpisz z wysłannika Oberona?

– Ależ skąd! – Odparł natychmiast Loki, uśmiechając się promiennie. – Jednak zawsze uważałem, że wspólne cytowanie Szekspira zbliża...

I wtedy właśnie zrozumiał, że palnął jeszcze bardziej. Powiedział mu to wyraz twarzy Puka, wyrzeshczwała w mózg zamknięta w jego umyśle część świadomości Cluny'ego. W Dolinie nie wymienia się tego nazwiska! Za nic i pod żadnym pozorem.

Dawno temu, gdy droga do królestwa Tytanii i Oberona wiodła nie tylko przez tęczę, ale też przez magiczne lasy i zagajniki – których wszędzie było pełno jak wyspy długie i szerokie – William Szekspir i jego trupa bywali w tej krainie stałymi gośćmi.

Lud z Doliny lubił ich, bo całkiem nieźle radzili sobie z komediami, a tego właśnie potrzebowali zmęczeni pracą na roli Sidhe niższego stanu – kilku zabawnych gagów i numeru z psem. Po jakimś czasie doszło nawet do tego, że na występach przyjezdnej trupy zaczęli się pojawiać zaciekawieni nową modą członkowie rodzin szlacheckich.

Jak doszło do tego, że pewnego dnia ludzcy aktorzy stanęli przed parą królewską, nie wiedział nikt. Faktem jest jednak, że pewnej letniej nocy na Dworze wystawiono premierową komedię Szekspira noszącą tytuł „Ethel, córka pirata”. Spektakl spodobał się tak bardzo, że zachwycona królowa postanowiła pokazać przybyszowi święte Księgi Opowieści. A potem przyćmiona alkoholem zostawiła dramaturga samego w bibliotece. Co, delikatnie mówiąc, nie okazało się fortunnym pomysłem...

– Jak śmiesz wymieniać przy mnie nazwisko złodzieja?! – Puk przerwał wreszcie przedłużającą się chwilę ciszy. – Czy ta twoja Natura już kompletnie poprzewracała ci w głowie?!

Kłamca dostrzegł, że spojrzenie tamtego ucieka lekko na bok, w stronę rapiera przytroczonego do siodła, a to oznaczało, że trzeba było działać szybko. Wyciągnął przed siebie otwarte dłonie.

– Masz rację, przyjacielu – powiedział, uśmiechając się tak przymilnie, jak tylko mógł, mając do dyspozycji ograniczoną mimikę Sidhe. – Pracowałem dziś długo i słońce splątało me myśli. Wybacz.

Puk nie wyglądał na przekonanego, ale przynajmniej przestał zezować na broń. Teraz wystarczyło tylko bez wzbudzania podejrzeń samemu ustawić się tak, by w razie czego móc sięgnąć rękojeści rapiera. A potem szybkie pchnięcie, skok w siodło i galop w noc. Kłamca uznał, że na razie taki plan całkowicie mu wystarcza.

– Przekaż mi teraz swoje poselstwo, dobry druhu – poprosił, postępując do przodu pół kroku, jakby przestępował z nogi na nogę. By sięgnąć broni, brakowało jeszcze dwóch takich kroczków. – Ja przekażę je potem mojemu ludowi.

Z twarzy Puka zniknęła podejrzliwość, zupełnie jakby ktoś zmazał ją ściereczką. Poprawił kaftan, wyprężył pierś i uniósł brodę. Był odrobinę wyższy od Cluny'ego, toteż spróbował spojrzeć na niego z góry. Z góry, no i rzecz jasna – z całą powagą i surowością królewskiego majestatu.

– Władca Doliny, potomek bogów i ojciec nas wszystkich, miłościwie nam panujący Oberon – zaczął, nabijając tę formułkę taką ilością wykrzykników, że zapisana dosłownie przez kronikarza wyglądałaby jak jeżozwierz – w łaskawości swojej ogłasza, że zaszczyci was jutro swoją obecnością w ramach podróży objazdowej po Dolinie. Nie będzie zniżał się do mieszkania w waszych chatkach, ale życzy sobie, byście usłużywali jemu i jego świcie od jutra rana aż po zmierzch dnia następnego.

Zrobił przerwę na nabranie oddechu i na moment przytknął oczy, chcąc odnaleźć w pamięci następne



zdanie poselstwa. Kłamca skrętnie wykorzystał ten moment, robiąc kolejne pół kroczku. Gdyby się teraz wychylił...

– Oberon życzy sobie także, byście przygotowali prezenty dla dziedzica z okazji jego szóstego dnia w Dolinie.

Loki szykujący się właśnie do kolejnego, ostatniego już kroku zamarł w pół ruchu. Dziedzic?

– Dlaczego właśnie z powodu szóstego dnia? – Zapytał.

– Bo szóstka jest szczęśliwą, objawioną dziedzicowi liczbą – wyjaśnił posłaniec zły, że mu się przerywa. – Ma nawet znamię w kształcie...

– ...Trzech splecionych ze sobą szóstek? – Po raz kolejny tego wieczoru Kłamca dopowiedział zdanie za Puka.

A potem, zanim dobry druh zdążył zareagować, cofnął się o krok i skłonił lekko, łącząc w tym ruchu niegdysiejszą grację dworzanina i toporność prostego chłopca.

– Wielce ci jestem wdzięczny, Puku, za to poselstwo – powiedział. – Możesz zapewnić króla, że będziemy gotowi na jego przybycie.

Posłaniec jeszcze mocniej wyprężył pierś, pęczniąc z dumy.

– Tylko nie wypal przy nim z nazwiskiem złodzieja, Cluny – poradził, odwracając się do konia i wkładając nogę w strzemię. Sprawnie wskoczył na grzbiet wierzchowca, dobył zza paska rękawiczki. – Nasz pan wielce jest ostatnio nerwowy. To pewnie za sprawą tych nieprzespanych nocy.

– Dziedzic krzyczy?

– Gorzej niż krzyczy. Jak to się mawia wśród ludzi? Aha, drze się jak sam diabeł.

Kłamca nie przypominał sobie takiego powiedzonka, ale uśmiechnął się na myśl, jak bardzo pasuje ono do sytuacji.

– Bywaj, Puku. I jeszcze raz dzięki za wieści.

– Bywaj, Cluny.

Posłaniec naciągnął na nos chustę, spiął konia i pognął w ciemność nieść dalej swe poselstwa. A w głowie Lokiego powoli kiełkował plan.

## *Hortonville, Wisconsin*

Kwadrans po północy Bachus skapitulował i upił Światowida metodą tradycyjną, przy użyciu flaszki Jacka Daniela i kuchennego lejka. Był to potworny cios dla jego boskiej dumy, ale uznał, że jeszcze gorzej wpływa na nią obgryzanie poduszki kanapy – a miało to miejsce już ośmiokrotnie. Każdorazowo wzrok podpowiadał zmęczonemu umysłowi Bachusa, że ma przed sobą pieczeń ze słonia.

Potem, zostawiwszy śpiącego więźnia przykutego do kaloryfera, wyszedł w noc poszukać czegoś do zjedzenia.

Miasteczko wyglądało na opustoszałe, ale bóg hulaków przeczuwał, że to tylko pozory. Gdy nadchodzi noc, budzą się potwory, a czymże jest głodny człowiek, jeśli nie potworem właśnie? Drapieżnik nastawiony na zaspokojenie własnych potrzeb, do tego nauczony, jak prócz pazurów i zębów wykorzystywać także spryt i intelekt – przerażająca kombinacja cech.

Właściwie głodni, czy to w pojedynkę, czy grupkami, mogli się czaić wszędzie. W ciemnych bramach i zaułkach, przy oknach na parterze bądź pierwszym piętrze – skąd w razie potrzeby łatwo wyskoczyć, za drzewami... Łatwo się było również domyślić, że większość z nich nie czatowała w żadnym razie z gołymi rękami. W końcu w sytuacji, gdy kawałek pałki był w stanie sprawić, że człowiek ze zwierzyny staje się łowcą, kto nie pokusiłby się choćby o nogę od stołu? A przecież w Stanach łatwiej kupić broń palną niż paczkę papierosów.

Nie były to może zbyt miłe przemyślenia, ale Bachus – przemykający teraz od cienia do cienia, przywierający do murów i kucający przy każdej ławce jak rasowy komandos – nie potrafił chwilowo

myśleć o niczym innym. Akurat w tym momencie ciemna strona ludzkiej natury mogła mu boleśnie zagrozić.

Przekradając się najdyskretniej jak tylko potrafił, dotarł na obrzeża miasta. Liczył, że może jeśli zdoła dotrzeć do widocznej na horyzoncie stacji benzynowej, to załapie się choć na chipsy i puszkę coli. Rozochociona wyobraźnia podpowiadała mu nawet hot doga z cebulką i ogromną ilością musztardy, a myśl, że ktoś wcześniej wpadł na ten pomysł, jakoś nie mogła przebić skorupy irracjonalnego optymizmu.

Ruszył wzdłuż drogi.



Rzeczywistość okazała się bolesna. Na stację co prawda nikt nie zdołał się włamać – zabytkowy karabin Tomphson jej właściciela, zapalonego miłośnika broni, okazał się straszniejszy niż głód – ale i tak w środku nie zostało już prawie nic jadalnego. No, może z wyjątkiem eksperymentalnych prezerwatyw smakowych, wytrzymałych jak żadne inne, a rozpuszczających się pod wpływem śliny. Z tych jednak też, nie wiedzieć czemu, zostały tylko bananowe.

Bachus przykleił nos do szyby i przez dłuższą chwilę gapił się na śpiącego, obzartego właściciela stacji. Mężczyzna, wyglądający trochę jak strach na wróble, miałak wzdęty brzuch, że strach było podchodzić do niego z igłą bądź zapalniczką. W ręce trzymał na wpół opróżnioną butelkę piwa.

– Obyś szczeł, przeklęty egoisto! – Warknął wreszcie bóg wina i odwrócił się na pięcie. Zrezygnowany, osłabiony, jakby wraz z nadzieją opuściła go resztką sił, ruszył z powrotem.

Zdążył przejść połowę drogi, gdy wtem na horyzoncie, tuż przy wlocie do miasta, pojawili się oni – ludzkie drapieźniki.

Nie wyglądali na zgraną grupę czy też – by trzymać się porównania, jakie zrodziło się w głowie Bachusa – stado. Nie mieli ani jednakowych fryzur, ani chociażby zbliżonych stylem strojów, w których nawet kolor sznurówek oznacza coś arcyważnego. Przypominali raczej chaotyczną zbieraninę ludzi w różnym wieku i o różnym stanie majątkowym. Jak w przypadku klubów tematycznych czy kółek zainteresowań dzieliło ich w zasadzie wszystko prócz wspólnej pasji – chęci przetrwania.

Większość z drapieźników była uzbrojona. Niektórzy tylko w pałki, ale dało się dostrzec także strzelby i myśliwskie sztucery. Teksańscy sąsiedzi Bachusa, reprezentowani tu przez ojca i syna, zabrali nawet swoją spalinową piłę, choć do tej pory nie odpalali jej jeszcze.

Bóg wina zwołniał, ale się nie zatrzymał. Właściwie nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Nie był typem maratończyka, to pewne, więc nawet gdyby teraz zawrócił i pognał przed siebie, dopadliby go prędzej czy później. Z drugiej strony wchodzenie lwu prosto w paszczę też nie za bardzo mu się uśmiechało. Bo cóż właściwie miał do przehandlowania za własne życie? Informację, że na stacji zostały jeszcze jadalne prezerwatywy o smaku bananowym?

– Rany, Eroście! – Mruknął pod nosem. – Jak bardzo byś mi się teraz przydał.

A potem przypomniał sobie, że wcześniej nawet nie pomyślał o przyjacielu, o tym, czy wszystko z nim w porządku, i zrobiło mu się głupio.

Tymczasem drapieźniki były coraz bliżej. Bachus zdał sobie sprawę, że poznaje niektórych mieszkańców Hortonville z twarzy. Wielu spośród nich – w tym stojącego na przedzie osiłka, który wyglądał na samozwańczego przywódcę grupy – widział kilka dni temu, jak składali reklamację pod sklepem.

Spróbował przywołać na twarz uśmiech.

– Witam państwa – powiedziała, siłąc się na pogodną naturalność. – Część z was pewnie mnie zna. Jestem Bartolomew Andrew Chus, dla przyjaciół Bart.

*Dobrze, tylko tak dalej* – dopingował się w myślach. – *Stara zasada mówi, że dużo trudniej zjeść ci kogoś, kogo znasz z imienia.*

Działało w przypadku wigilijnych karpi, więc dlaczego nie miałyby teraz? I jeszcze ten chwyt z *dla przyjaciół* – lepiej tego rozegrać nie mógł...

Wielki osiłek zmierzył boga wzrokiem od stóp do głów, po czym złapał się za bokierski podkoszulek

i wzorem gwiazd wrestlingu rozerwał go, ukazując wytatuowaną na piersi kobrę.

– Mów mi wąż – warknął. – Albo wiesz co, grubasku? Lepiej nic nie mów. Chłopaki... Brać go!

*No więc to by było na tyle w kwestii reguły karpia* – pomyślał Bachus, cofając się o krok i przyjmując pozycję obronną. W pamięci obracał wszystkie możliwe zakłęcia, jakich mógłby użyć w tej chwili, ale żadne nie wyglądało na przydatne. No, chyba że z przywołanej butelki wina zrobiłby tulipana.

Drapieżniki powoli niczym wilki otoczyły go kołem i krok po kroku zacieśniały wolną przestrzeń. Nie była to najmądrzejsza taktyka – każdy mistrz kung-fu zaraz wykorzystałby ją na swoją korzyść – ale w przypadku grubego boga wina spokojnie mogła się sprawdzić. Już za chwilę w ruch pójda pałki, a potem...

– Ładnie to tak tyłu na jednego? – Powiedział ktoś nagle głosem tak niskim, że zdawał się wypełzać spod ziemi i docierać do mózgu przez stopy.

Wszyscy, tak drapieżniki, jak i Bachus, zamarli, a potem zaczęli się rozglądać.

– Cywilizacja – zadrwił głos. – Macie te swoje telewizory, komputery i ustawy w Kongresie, a wystarczy przymusowa głodówka i już zmieniacie się w stado hien.

I nagle go dostrzegli, zupełnie jakby zmaterializował się z cienia. A może po prostu odwrócił się i wtedy biel kości namalowanych na czarnym ciele zdradziła jego pozycję. Tak czy siak, stanął przed nimi teraz w całej swej okazałości – zbudowany jak atleta, czarny jak noc, nie licząc rysunku na ciele wykonanego białą farbą, w czarnym cylindrze na głowie, z potężnym pytonem na ramionach.

Uśmiechnął się, szczerząc białe zęby.

– Jaka szkoda, że bóg pająk nie może tego zobaczyć – dodał, występując z cienia i ruszając powoli w stronę drapieżników. – Zawsze marzył, by doczekać upadku tych, którzy odebrali mu jego ludzi.

Szedł powoli, a ludzie cofali się na jego widok. Krąg, w którym jeszcze przed chwilą był zamknięty Bachus, zmienił się nagle w łuk – nikt nie chciał bowiem stać na drodze czarnucha z wężem na ramionach.

Tylko osiłek z rozerwaną koszulką pozostał na swoim miejscu. Nawet założył ręce na piersi, by pokazać, że wcale się nie boi.

– A ty coś za jeden, cudaku? – Zapytał.

Murzyn zatrzymał się i bardzo powoli obrócił głowę, ogniskując spojrzenie na twarzy tamtego.

– Jeśli kiedyś jeszcze pozwolę ci się do mnie odezwać – zapowiedział – będziesz mógł tytułować mnie baronem... Cudaku.

Poruszył ręką, a wtedy wąż zsunął się z jego ramion. Spłynął najpierw na tułów czarnoskórego, potem na jego nogi, wreszcie na ziemię. Zaczął powoli pełznąć w stronę osiłka.

– Ale chyba jednak nie pozwolę – stwierdził po namyśle baron. I ledwie skończył to zdanie, wąż zaatakował.

To nie było naturalne dla pytona i absolutnie nikt się tego nie spodziewał. W jednej chwili pełzył zygżakiem po asfalcie, a w następnej wystrzelił niczym kobra, mierząc prosto w szyję ofiary. Mężczyzna zasłonił się ręką i odruchowo cofnął o krok, ale było już za późno. Wąż bez trudu zacisnął szczęki na jego ramieniu, łapiąc tym samym punkt zaczepienia, a potem, podciągawszy resztę swego cielska, owinał się wokół osiłka, miażdżąc go w śmiertelnym uścisku.

Drapieżcy i Bachus w milczeniu obserwowali to nierówne starcie – nikt nie odwrócił wzroku, zanim osiłek nie drgnął po raz ostatni. Wtedy dopiero wszystkie spojrzenia przeniosły się na barona.

– Jeśli chcecie, możecie zabrać ciało – stwierdził Murzyn. – I zrobić z nim, co uważacie za stosowne. Ale tego – wskazał palcem Bachusa – macie zostawić mnie. No już, jazda stąd!

Drapieżniki rozpierzchły się jak stado antylop zaatakowanych przez lwice. Nikt nawet nie pomyślał, by zaczekać, aż pyton spełźnie z osiłka, choć kilku, w tym Teksańczycy, posłało ciało tęskne głodne spojrzenia.

Baron patrzył za nimi. Odezwał się, dopiero gdy wszyscy zniknęli między budynkami.

– Jesteś Bachus, prawda?

Bóg wina skinął głową.

– A ty nazywasz się Samedi?

– Czasami. – Czarny wyszczerzył zęby. I nagle świat wokół niego pociemniał, jakby Murzyn w jednej

chwili przyciągnął do siebie wszystkie cienie z okolicy. Na moment przestał być pomalowanym mężczyzną w czarnym cylindrze – naprawdę stał się ożywionym szkieletem. A potem księżyc wyszedł zza chmury i złudzenie prysło.

Bachus przyglądał się swojemu wybawcy z uwagą. Dlaczego przyszedł mu z pomocą? Znał boga wina z imienia, a to znaczyło, że musiał wiedzieć o jego współpracy z Lokim – tym samym, którego baron usiłował zgładzić przy pomocy swych pracowników zombich. Czy teraz chciał dokończyć dzieła i szukał sojuszników? A może przeciwnie, chciał się odegrać na Kłamcy, wykańczając po kolei wszystkich z jego otoczenia? Tak czy siak, uratowany przed pożarciem bóg czuł się, jakby omijając leżącą na chodniku psią kupę, niechcący wpadł w szambo.

– Skoro mamy już za sobą wzajemną prezentację, czy możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę twojego szefa? – Zapytał baron.

Pyton podpełzł właśnie do jego stóp i owinał się wokół nóg, jakby były pniem drzewa. Samedi wyciągnął rękę i złapawszy gada, pomógł mu zająć miejsce na swoich ramionach. Poprawił go jeszcze, tak jak układa się szal. Potem złożył ręce na piersi.

– Bachusie?

– Tak, słyszałem. – Bóg wina zdobył się na niepewny uśmiech właściwy osobom, które muszą powiedzieć coś niemiłego komuś silniejszemu od siebie. – Zastanawiam się tylko, czy gorsza będzie śmierć z twojej ręki, jeśli ci nie powiem, czy śmierć z ręki Lokiego, gdy już dowie się, że go sypnąłem. Trudny wybór.

Samedi odchylił głowę i zaśmiał się głośno.

– Jak między abstynencją a kaczem, co? – Zapytał.

– Mniej więcej.

– I nie ma tu znaczenia, że ja stoję obok, a Loki mógłby nie przeżyć spotkania ze mną, by potem się mścić?

– Raz już przeżył. Siedziba Bocor&Wanga, ubiegły rok?

Murzyn w jednej chwili spoważniał i posłał rozmówcy niechętnie spojrzenie. Zdecydowanie nie był z tych, którzy lubią, jak przypomina im się o porażkach.

– Wtedy nie byłem osobiście w to zaangażowany – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– A teraz? – Zapytał coraz bardziej podenerwowany Bachus. Wiedział już, że ta rozmowa nie płynie ku cichej przystani porozumienia. Przeciwnie, widać już było mgłę kropeł unoszącą się nad rwącym wodospadem...

Jednak mimo jego obaw oblicze barona złagodniało.

– Teraz, Bachusie – powiedział – byłbym głupcem, gdybym zniszczył jedyną szansę dla mnie i mojego ludu.

– Że niby Loki?

Czarnoskóry umilkł na chwilę i wlepił wzrok w martwe ciało osiłka. Stał tak przez chwilę, starannie ważąc słowa.

– Tak, właśnie on – rzekł w końcu. – Jeśli to, co słyszałem, okaże się prawdą, to Loki może być jedyną szansą dla nas wszystkich.

## Rozdział 7

### Piekło



ładcy Piekieł w milczeniu wodzili wzrokiem za spacerującym wzdłuż stołu Lucyferem.

Gwiazda Zaranna trzymał dłonie splecione za plecami, głowę zwiesił, że broda prawie dotykał piersi – na jego chłopięcej twarzy malowała się troska, a także niepokój. Wyglądał, jakby z całej siły chciał ukryć ogarniającą go panikę.

Oczywiście nikt z zebranych nie miał wątpliwości, że pierwszy pośród Upadłych miał ku niej solidny powód. Dostarczała go leżąca na stole przesyłka przyniesiona godzinę wcześniej przez jedyne demona ocalałego po pogromie, jakiego w ciągu ostatniej doby anioły dokonały w Berlinie.

Było to wielkie pudło w kształcie walca, białe w czerwone serduszka. Ozdobiono je zupełnie niegustowną zieloną kokardą, do której agrafką był przypięty liścik następującej treści:

*Łeb po łbie, aż stugłowa bestia padnie. Czekam na ciebie, bracie. Michał.*

Jeden rzut oka Lucyfera na zawartość pudła, a potem dwa puste krzesła uzmysłowił pozostałym, co zaszło.

– Straciliśmy Berlin – powiedział Władca Piekieł. I to były ostatnie słowa, jakie wyszły z jego ust w ciągu ostatniej godziny.

Pierwszy ciszę złamał Asmodeusz. To znaczy łamał ją już wcześniej, głośno chrupiąc chipsy, ale pierwszy zdecydował się przemówić.

– Wszystkie plany wyglądają świetnie, zanim pojawią się ofiary, co? – Zadrwił.

Lucyfer nie odpowiedział. Doszedł do kolumny, zawrócił i ruszył w stronę tablicy.

– No dalej, Gwiazdo Zaranna – ciągnął rozochocony gruby książę. – Pokaż nam, co przewidziałeś na taką okoliczność. Czymże są ofiary poniesione przez skrzydlatych wobec dwóch książąt Piekieł. Dwóch spośród...

– Dość!

Lucyfer zatrzymał się w pół kroku i powoli odwrócił w stronę Asmodeusza.

– Myślisz, że szydząc ze mnie, wygrasz tę wojnę? Że kpiąc, pokonasz armię Michała? – Mówił, postępując powoli w jego stronę. Zatrzymał się dopiero, gdy dotknął stołu. – A może chcesz mnie zastąpić i wziąć na siebie ciężar dowodzenia?

Asmodeusz zacisnął zęby, nie odzywając się ni słowem, chociaż wiedział, że każda chwila tej przedłużającej się pauzy działa na korzyść Lucyfera. Milczenie wciąż jednak było lepsze od przyznania mu racji.

Gwiazda Zaranna odstał od stołu i ponownie zaczął tam i z powrotem przemierzać salę. Kolumna, obrót, tablica, obrót, kolumna... Znowu się zatrzymał.

– Od dziś aż do dnia, gdy zdecydujemy się na główny atak, żaden z was niech nie wychodzi na ziemię. Oszczędzajcie też swoich najlepszych i najwierniejszych żołnierzy. Najlepiej przywołajcie ich z powrotem do Piekieł. Niech czekają.

– Ale właśnie powiedziałeś, że straciliśmy Berlin – wtrącił się Moloch. – Czy to nie oznacza, że zaczynamy przegrywać?

– Ależ skąd! – Lucyfer uśmiechnął się. – To tylko znaczy, że póki co nie wygrywamy. Znając Michała, będziemy teraz tracić miasto za miastem, skąpie je bowiem w deszczu ognia i nie pozostawi kamienia na kamieniu. Ważne jest jednak, że póki nie wykończy wszystkich mitycznych, każdego dnia traci kilku spośród swoich cennych wojaków. My natomiast, jak uczy nas nazareński mistrz, zachowamy dobre wino aż do końca.

Spojrzał na jednego z gwardzistów i brodą wskazał mu pudło.

– Oprawcie te głowy w złoto i ustawcie w skarbcu na honorowym miejscu. Ich ofiara nie pójdzie na marne. A wy – ponownie zwrócił się do książąt – wracajcie do siebie. Gdy przyjdzie czas, pošlę po was.



Lucyfer odczekał chwilę, po tym jak ostatni z książąt opuścił pałac, wreszcie odetchnął z wyraźną ulgą.  
– Nawet sobie nie wyobrażasz, Mammonie – powiedział do ukrytego w cieniu sługi – jak czasem trudno powstrzymać się przed śmiechem, gdy patrzysz na tę małą trzódkę. Bywają głupszy od aniołów, a znasz moje zdanie na temat tych skrzydlatych Metatrońskich przyśpiewek.

– Chciałbym zauważyć, panie...

– Że sam jestem jedną z nich? – Lucyfer roześmiał się. – Nie musisz, doskonale o tym pamiętam.

– Ja raczej chciałem powiedzieć, że chyba jednak nie wszystko idzie zgodnie z planem, panie, skoro zginęli Beliał i Lewiatan. – Mammon wystąpił z cienia i podszedł do stołu z rolką papierowych ręczników. Z miejsca zabrał się za sprzątanie pustych plastikowych kubków, okruchów po chipsach, pościarał też mokre plamy po rozlanej wodzie. Wyglądał, jakby bardzo skupiał się na wykonywanej pracy, ale tak naprawdę po prostu wolał nie spoglądać Lucyferowi w twarz. – A co do płonących miast, to już się zaczęło, panie – dodał, wyciągając z kieszeni worek na śmieci i wrzucając doń kilka papierowych kulek. – Berlin zwyczajnie wyczyścili, zostawiając mieszkańców w spokoju, ale od rana płonie już każde większe miasto w prawie całej Europie i Azji. Właściwie ostała się jedynie Francja...

– Gdzie swój przyczółek znalazła protegowana archanioła – wtrącił Lucyfer, biorąc marker. – Szczęście dla Francuzów, że choć raz ich stolica padnie ostatnia.

Poluzował pokrętko przy tablicy i obrócił płytę. Na drugiej jej stronie znajdowała się przypięta magnesami mapa świata.

– W tym tempie nie dalej jak jutro przypuszczają szturm na obie Ameryki, a za dwa, trzy dni zostanie im już tylko Australia – dokończył swój raport Mammon.

Ostatni brzeg... – Lucyfer uśmiechnął się pod nosem. Zdjął magnes i odgiął mapę, odsłaniając ukrytą pod nim listę imion. – Myślę sobie zatem, że poczekamy tam na nich. I tam właśnie rozegra się ostatnia bitwa.

Zdjął zatyczkę z mazaka i starannymi prostymi liniami wykreślił z listy Beliala oraz Lewiatana, tak jak wcześniej zrobił to z Azazelem. Następnie odwrócił głowę, spoglądając na zdumionego Mammona. Uśmiechnął się i przyłożył palec do ust.

– Nikomu ani słówka, przyjacielu.

– Oczywiście, panie.

Lucyfer zasłonił listę mapą i odwrócił tablicę.

## *Paryż*

Okolo południa zombi wdarli się do kamienicy. Ci, w których jeszcze tliła się iskierka konceptu, wpadli na pomysł, by użyć ławki jako tarana. Po wielu próbach okupionych licznymi stratami – rozpychając się, wskrzeszeńcy zdeptali kilku mniej rozzgniętych i drobniejszych kolegów – wreszcie rozbili drzwi. Zaraz za nimi napotkali jednak dużo gorszy, bo żywy i całkiem aktywny opór.

W równym szeregu przy roztrzaskanych drzwiach wejściowych stali czterej muszkietierowie madame Bixby gotowi rozgromić armię śmierdzących nieumarłych. Anton z ramą lustra używaną w charakterze tarczy, Javier z pogrzebaczem, a Conrado i Francisco z drutami do robótek starszej pani Babeuf z pierwszego piętra. Za nimi w pełnej gotowości czaili się pozostali mieszkańcy kamienicy.

– Na trzy, panowie! – Zawołał Eros z bezpiecznego miejsca na czwartym schodku. – Raz, dwa... Trzy!

Anton postąpił krok do przodu, odpychając szturmujące zombiaki ramą, a Javier rozplątał nieumarłego, który stawał w tym momencie największy opór.

– Trzy! – Krzyknął ponownie bóg miłości i całą czynność powtórzono. I tak aż do momentu, gdy udało się wypchnąć stwory za próg. Wtedy do akcji przystąpili pan Pleurdeau i Jean Baptiste. Ten pierwszy niósł naładowany pistolet na gwoździe, drugi deski z rozebranego pospiesznie łóżka. Z miejsca zabrali się za zabijanie wejścia.

Ledwie zdążyli przybić pierwszą deskę, doskoczyła do nich z pazurami i krzykiem madame Bixby.

– Moje złotka są na zewnątrz! – Wrzasnęła nieco piskliwym, a na pewno pełnym pretensji tonem. – Nie możecie ich tam zostawić, słyszycie?!

– Nikt nie zamierza, madame. – Eros podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu. Spróbował przesłać starszej damie impuls miłości, który sprawi, że uwierzy mu na słowo. Kobieta jednak, co zaskakujące, okazała się albo zbyt doświadczona, albo po prostu genetycznie odporna na jego magię.

– Nie czaruj mnie tu, kochasiu – odparła, strząsając dłoń boga i patrząc na niego gniewnie. – Uratujecie ich? Chcę wiedzieć, jak zamierzacie to zrobić.

– Moja żona z panem Babeuf zainstalowali na piętrze wysięgnik z liną – odparł Eros szybko i sprawnie, zważywszy na fakt, jak zaskoczony był brakiem reakcji kobiety na jego talent. – Wyciągniemy ich po prostu przez okno na pierwszym piętrze. Proszę się o nic nie martwić.

– Sranie w banie! – Prychnęła madame Bixby, patrząc hardo, ale zaraz odwróciła się na pięcie i zajęła swoje miejsce w kącie obok starszej pani Babeuf. Stamtąd patrzyła na sprawną, choć gorączkową pracę gospodarza i tego faceta, którego jeszcze niedawno nazywano mendą ze strychu. Sprawiali wrażenie idealnego duetu, wprost stworzonego do współpracy. Kończyli już pierwszą warstwę i zabierali się za wzmocnianie rogów.

Eros tymczasem wrócił na swój schodek i z niego – przez okrągłe okienko nad drzwiami – obserwował, co dzieje się na zewnątrz. Nie widział czterech Hiszpanów, ale tak naprawdę wcale nie musiał. Wystarczyły mu ich pokrzykiwania, zawiedzione jęki zombich i widok tych nieumarłych, którzy wycofywali się po nieudanym szturmie.

*Jeśli tylko Jenny się pospieszy – pomyślał – może wyjdą z tego cało.*



– Panie Babeuf, nie można troszkę szybciej?! – Krzyknęła Jenny, odsuwając się od okna. – Chłopcy madame Bixby długo tam nie wytrzymają...

– Nic nie poradzę, że z tego szmelcu trudno cokolwiek zrobić – odburknął staruszek, z wyglądu poczciwy szewc, nie odrywając wzroku od mechanizmu prowizorycznego dźwigu. – Ale nie martw się, kiedy byłem na wojnie, nie z takich rzeczy...

– Tak, słyszałam! Szybciej.

Jenny nie chciała być niegrzeczna, ale nie miała ochoty po raz kolejny słuchać opowieści o tym, jak to pan Babeuf – niegdysiejszy zegarmistrz, mistrz cechu, który jako jedyny z całej francuskiej armii nie złożył nigdy broni przed Szwabami, nawet na przekłątą minutkę – konstruował wysięgniki ze starych palet, skrzynek i rybackich sieci, wyciągając w ten sposób z opresji samego generała de Gaullea.

Pan Babeuf sapnął i jakby od niechcenia pokręcił lekko korbą zrobioną z rączki od parasola. Przez chwilę przyglądał się zębátkom, które wprowadził w ruch, i pełznącemu po podłodze kawałkowi liny nakręconej na bęben.

– No, chyba gotowe – stwierdził.

– W samą porę, bo tam na dole...

Nie zdążyła skończyć, bo na ulicy ktoś jęknął przeciągle, a inny głos najpierw krzyknął, a potem zaklął po hiszpańsku.

Oboje, Jenny i pan Babeuf, doskoczyli do okna – staruszek jednak trochę wolniej, bo kulał bez swej zdobionej drewnianej laski, którą zostawił w mieszkaniu – i wyjrzel na dół. Widok, który zobaczyli, napełnił ich z miejsca strachem i odrazą.

Zombi przełamali szyk czwórki Hiszpanów. Napierając coraz mocniej i mocniej – a także gryząc gdzie popadnie i machając wyciągniętymi przed siebie rękami – zdołali rozdzielić odważnych potomków don

Kichota na dwie grupy i co gorsza, otoczyć.

Javier i Francisco szybko ustawili się plecami do siebie. Wyglądali jak dwaj spośród żółwi ninja – Leonardo z pogrzebaczem zamiast miecza i Rafael, który swe sztylety sai zastąpił drutami do robótek. Wokół nich rósł szybko stos podrygujących ciał.

Gorzej było jednak z Antonem i Conrado. To właśnie jęk tego ostatniego Jenny i pan Babeuf słyszeli zza okna. I trzeba przyznać, że Hiszpan miał powody, by jęczeć, a nawet wyc z bólu. Wskruszeni wyrwali mu prawie cały bok. Spod zakrwawionych strzępów skóry wystawały różowo-białe kości żeber, przez co wyglądał jak półtusza z rzeźni obłuczona przez trenującego na niej boksera. Nie walczył już, nie był w stanie; opędzał się jedynie coraz bardziej desperacko, tłukąc podgryzających go zombich po gnijących głowach i spoglądając błagalnie na Antona.

Ten jednak niewiele mógł zrobić swą połamaną ramą lustra. Machał nią na oślep, klnąc przy tym tak strasznie, że nawet Murzynom z Harlemu powiędłyby uszy – jeśli oczywiście znalazły hiszpański.

Jenny pierwsza odsunęła się od parapetu.

– Zaczynamy! – Zawołała, podpinając uprząż zmontowaną ze skórzanych ozdób, które znaleźli w szafie pana Pleurdeau. Sprawdziła, czy lina trzyma, po czym cisnęła prowizoryczną windę za okno.

– Łapcie! – Krzyknęła. – A pan, Babeuf, niech stanie przy korbie. Wciągamy ich!

Odgarnęła z czoła kosmyk włosów, czując, że serce zaczyna bić jej coraz szybciej. Dziewczynie trudno byłoby się do tego przyznać nawet przed samą sobą, ale od dawna marzyła o takiej chwili. Dokładnie od owego feralnego wyjazdu w Góry Skaliste, gdzie wraz z przyjaciółmi i swoim ówczesnym chłopakiem wpadła w sidła szalonego anioła Samaela poszukującego prawdziwej Korony Stworzenia. Z całej grupy jedyna przeżyła, ale bynajmniej nie dzięki samej sobie. Gdyby nie Michał, a potem Loki, już dawno byłoby po niej, bo zachowywała się wówczas jak typowa głupia panienka z filmu grozy. Teraz nareszcie miała szansę jakoś się zrehabilitować.

– Anton w pętli! Kręcimy!

Lina napięła się i wpięty w uprząż Hiszpan ruszył w górę. Nieumarli łapali go jeszcze za nogi, próbowali ściągać na dół, ale mechanizm dźwigu okazał się od nich silniejszy. Po chwili Anton, zmęczony, poraniony, ale wyraźnie podekscytowany, wspiał się na parapet i wdrapał przez okno do mieszkania.

Jenny pomogła mu zdjąć uprząż.

– Zastąp pana Babeuf za korbą – poleciła. – On już dość dziś zrobił. Francisco? Teraz ty!

Lina znowu zjechała na dół. Tym razem co inteligentniejsze martwiaki próbowały jej dosięgnąć albo przynajmniej nie dopuścić, by złapali ją Hiszpanie. Na nic się to jednak nie zdało – Javier był prawdziwym mistrzem pogrzebacza i wyprawiał nim prawdziwe cuda. Jenny przez moment pomyślała nawet, czy gdyby zostawiła go samemu sobie, to nie wszedłby wreszcie do mieszkania na piętrze po stosie ciał swych wrogów.

– *Acabado!*<sup>[9]</sup> – Zawołał Francisco, dopiąwszy uprząż. Druty do robótek wsunął między palce prawej ręki, tak że mógł nimi teraz siekać niczym komiksowy Wolverine. Co też zresztą zrobił kilka razy, zanim rozwścieczone martwiaki nie wyszły spoza zasięgu jego ręki.

Na polu bitwy został przez chwilę jedynie Javier.

## *Południowa Ćwiartka, Dolina*

Synowie i córki Natury wciąż gromadzili się w korytarzu przed pokojem, dokładnie tak, jak ich zostawił. Niektórzy mężczyźni wsparci o ścianę rozmawiali ze sobą cicho, kobiety z kolei, rozsiadłszy się na podłodze, w milczeniu cerowały skarpety i udawały, że nie obchodzi ich nic z tego, co słyszą.

Wszyscy tu sprawiali wrażenie, jakby nie było dla nich nic ważniejszego na świecie niż przebywanie we wspólnocie – nieważne, czy to wąski przedpokój, pole czy stodoła. Loki uznał, że na ziemi mogliby na tym sporo zarobić, gdyby tylko seksualną wstrzemięźliwość zastąpili właściwie ustawioną kamerą na statywie.

Pierwsza zauważyła go Duanna.



– Co się stało, wuju? – Zapytała z przejęciem w głosie. – Wyglądasz strasznie.

W pierwszej chwili Kłamca zląkł się, że coś jest nie tak z fałszywym elfim ciałem, ale ukradkowe spojrzenie w stronę okna rozwiało wątpliwości. Dziewczynie chodziło raczej o jego minę. O dość nieprzyjemny grymas nadający poczciwemu obliczu Cluny'ego demoniczny wyraz.

– Nic się nie stało, moje dziecko. – Loki przejechał ręką po twarzy i uśmiechnął się już normalnie. –

Mam dla was pewne wieści, ale najpierw chcę wam zadać pytanie. Pamiętacie oczywiście, jak my, wyznawcy Natury, podchodzimy do przemocy i zabijania?

To było wbrew pozorom całkiem bezpieczne zagajenie. Ujął je tak, iż zawsze mógł powiedzieć, że to tylko test, przypomnienie najważniejszych praw, o których najłatwiej zapomnieć. Dość powszechna praktyka wśród kapłanów wszelkich religii – nie wiesz, co powiedzieć, sięgnij do korzeni, dogmatu i skreśl jakiś banał.

Powiodł wzrokiem po elfach, szukając wśród nich ochotnika, który udzieli mu odpowiedzi. Wszyscy jednak odwracali wzrok. Dla Kłamcy już to samo w sobie było wyraźną wskazówką: niezależnie, co usłyszy, będzie to religijny dogmat, a nie wola tu zebranych. To mogło się okazać naprawdę pomocne...

W końcu dostrzegł drobnego chłopca, który nieśmiało uniósł rękę. Był to najbrzydszy z zebranych w korytarzu Sidhe. Miał popsute zęby, wyłupiaste oczy i prawie całkowity zanik uszu. Do tego wyróżniał się na tle innych swą ziemistą cerą jak Mulat na balu Ku-Klux-Klanu. Nie był potomkiem bogów z pierwszej linii, to pewne. Właśnie takich jak on podmieniano na ludzkie dzieci.

– No? – Kłamca zmrużył oczy. – Mów, dziecko. Elfi potworek popatrzył z dumą po zebranych i – strasznie przy tym plując i sepleniąc – wyrecytował:

– Natura to ciągłość, mój ssstryju. To jedność. Robiąc krzywdę innym, krzywdzimy sssamych sssiebie... Dobrze powiedziałem?

*Czyli jednak!* – Pomyślał Kłamca. Było dokładnie tak, jak przypuszczał – religia zakazywała im walki, ta jednak w wielu z nich zakorzeniona była bardziej niż seks. To powinno znacznie ułatwić realizację planu. W końcu najkrócej przekonuje się innych do tego, co i tak chcieliby zrobić.

– Powiedziałeś, jak nauczono cię mówić, chłopcze – rzekł wreszcie na głos z szerokim uśmiechem. A potem nagle odwrócił się na pięcie i wrócił na ganek. – Chodźcie za mną – rzucił przez ramię. – Pokażę wam coś.

Przeszedł przez ganek, potem po schodach, aż wreszcie zatrzymał się w połowie podwórza, obok studni. Tam czekał, aż wszyscy się zbiorą, i dopiero wtedy wskazał ręką na coś, co Sidhe sami zdążyli już zauważyć – biały ekran z kilku połączonych prześcieradeł rozwieszony na ścianie stodoły.

– Są już wszyscy, tak? Doskonale. Zaczynamy więc. Kłamca w ciele Cluny'ego klasnął w rękę i na ekranie pojawił się ryczący lew... A zaraz po nim dzika sawanna i stado antylop.

Czerwona tarcza słońca rozedrgana falującym powietrzem niknęła powoli za horyzontem, wysuszone trawy kołysały się miarowo pieszczona przez wiatr. W tle słychać było „Życia krąg” z „Króla lwa” – jedyny podkład muzyczny, jaki przyszedł Lokiemu do głowy, gdy konstruował tę iluzję.

Sidhe sprawiali wrażenie lekko zaskoczonych. Nie samą projekcją – tych widzieli bez liku na Dworze Oberona, który w ten właśnie sposób zwykł chełpić się swoimi zwycięstwami. Raczej jej tematem i scenerią. Większość z nich nigdy nie była na ziemi i sawanna nie przypominała im niczego, co widzieli do tej pory. Nawet pola na południu dotknięte suszą trzy stulecia temu wyglądały przy sawannie jak mokradła.

– Czy to Dolina? – Zapytał ktoś z tylnego rzędu. – Znaczy w przyszłości?

*Tak* – pomyślał Loki. – *Właśnie tak, a ja jestem duchem przyszłych świąt Bożego Narodzenia.*

– Nie, to nie Dolina, chłopcze, a ziemia ludzi. Jednakowoż Natura wszędzie jest taka sama w swej istocie.

Tu zaryzykował, zupełnie zapominając, że przecież wyznawcy dowolnej religii mają tendencję do lokalizowania swych bóstw. Gdyby tak było i w tym przypadku, właśnie poważnie by się odkrył. Na szczęście wszyscy zebrani tylko pokiwali głowami.

Tymczasem na ekranie jedna z antylop uniosła łeb i zastrzygła uszami. Wciągnęła powietrze, łapiąc zapach, a potem nagle, w jednej chwili, rzuciła się do ucieczki. Reszta stada bez wahania pognęła za nią. Niemal w tym samym momencie spomiędzy traw wyskoczyły lvice. I zaczęła się rzeź.

Trzeba było przyznać Społeczności, że nieźle radziła sobie z widokiem rozdzieranych tchawic i tryskającej na wszystkie strony krwi. Właściwie dopóki nie pojawiły się zbliżenia, ledwie dwie czy trzy kobiety odwróciły wzrok. Potem jednak pokazały się inne scenki:

Wąż pożerający mysz, pająk owijający siecią szarpiającą się ofiarę, krokodyl rozszarpujący człowieka, który wypadł z łódki, rozwścieczony niedźwiedź pośrodku obozowiska młodych skautek... Ten ostatni obrazek nie miał podparcia w filmach z Animal Planet – w całości pochodził z wyobraźni Kłamcy – ale dość sprawnie wkomponowywał się w ogólną wizję. No i, rzecz jasna, zrobił największe wrażenie. Po scenie rozrywania drużynowej nawet wyglądający na twardziela Donnan zwymiotował do stojącego obok cebrzyka.

– To także jest Natura, kochani – przemówił wreszcie Loki. – Ta bezwzględna, okrutna, ale przecież dająca każdemu równe szanse. Każdy może się znaleźć na szczycie łańcucha pokarmowego, jeśli tylko pojmie, w czym tkwi jego siła. Natura nie jest niezmienna. Spójrzcie sami...

Sidhe ponownie przenieśli wzrok na ekran, choć tym razem mniej chętnie niż poprzednio. Z obawą patrzyli na tę samą sawannę, te same antylopy... Nawet słyszeli ten sam muzyczny motyw.

Wszystko jednak zmieniło się, z chwilą gdy wyskoczyły lwice. Oto bowiem stado rozpierzchło się na boki, ale nie gnało na oślep. Poruszało się według określonej strategii, którą ruchem łba wyznaczał przywódca stada. Nie trwało długo, zanim ustawiły się w krąg, pochylając rogate łby w stronę zamkniętych w środku lwic. Zwartym szykiem antylopy krok po kroku zawężyły przestrzeń pułapki.

Lwice oczywiście próbowały kontratakować. Wyskakiwały do przodu, ale napotykały na zwarty i nieprzejednany opór, którego nie były w stanie złamać. Aż wreszcie na znak przywódcy stada kilka antylop wyrwało do przodu, nabijając swych niedawnych prześladowców na rogi. Znowu było mnóstwo krwi, ale tym razem nikt z Sidhe nie myślał nawet, by odwracać głowę. Jakoś łatwiej patrzeć na posokę, gdy obrywają ci, którym się należało.

Loki westchnął głęboko, po czym wystąpił do przodu i stanął między Społecznością a ekranem. Rozłożył ręce.

– Natura to ciągłość i jedność, kochani – powtórzył słowa kalekiego elfa. – I o tym wiemy już od dawna. Przed chwilą jednak, gdy stałem tak wpatrzony w rozgwieżdżone niebo, miałem wizję... Objawienie.

Przerwał na moment, wziął oddech. Coraz trudniej było mu się skupić. Z każdą chwilą więcej i więcej myśli w jego głowie należało już do Cluny'ego. Czuł, że jeśli nie wróci wkrótce do swojej postaci, już niedługo jego jedyną rozrywką będzie chodzenie z kosą po polach malowanych zbożem rozmaitym, patrzenie na łany kołyszące się na wietrze niczym fale złocistego, życiodajnego morza...

Dość! – Krzyknął w myślach, zatrzymując kolejny szturm clunowatości. Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

– To było jak sen na jawie – podjął przerwany wątek – w którym Natura objawiła mi się inaczej niż dotąd.

Uniósł w górę zaciśniętą pięść, jakby groził niebu.

– Niczym najbardziej zaufanemu przyjacielowi, takiemu, któremu można powierzyć każdy sekret, zdradziła mi tajemnicę swej zmienności i pokazała obrazy, które przed chwilą mogliście, bracia i siostry, oglądać. *Taka jestem*, powiedziała!

Opuścił gwałtownie rękę, zmuszając zebranych, by zamiast w grożącą niebu pięść wlepili swe spojrzenia ponownie w jego twarz. Wtedy wyszczerzył się w złowieszczym uśmiechu. Tak wyglądałby kot z Cheshire po obejrzeniu „Milczenia owiec”.

– Zapytacie pewnie, dlaczego to zrobiła. Dlaczego teraz właśnie objawiła mi się inaczej niż dotąd...

Znowu umilkł, tym razem ostentacyjnie wodząc wzrokiem po swych słuchaczach. Społeczność zbliżała się w ciasny, gęsty tłumek.

W końcu, widząc, że jednak nikt nie zapyta, przeszedł wreszcie do sedna:

– Jutro do naszej Ćwiartki przybędzie sam Oberon. A Natura, której nie w smak ci, co nie szanują jej praw, chce, byśmy byli gotowi na jego przyjęcie.



Kłamca zamknął się w pokoju Cluny'ego. Na wszelki wypadek zastawił drzwi krzesłem, zapalił stojącą na stole świecę i rozświetlony jej magicznym białym blaskiem stanął przed lustrem. Powoli przejechał obiema rękami po włosach, uważnie wpatrując się w oczy swego odbicia. Potem ściągnął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

Zmiennokształtność, gdy ma się przed sobą wzór, nie jest specjalnie trudna. Oczywiście wiele zależy od różnicy rozmiarów między modelem a zmieniającym się, ale generalnie przypomina to wówczas odkalkowywanie obrazka. Względnie rysowanie ze zdjęcia.

Gorzej, gdy model ciała, które chce przybrać zmiennokształtny, musi być odtworzony z pamięci. Wówczas bowiem w przypadku pomyłki czy błędu ryzykuje się nie tylko własną ukrytą w nowym ciele tożsamością. Niewłaściwie umiejscowiony pieprzyk czy minimalnie szerszy rozstaw oczu są dla anamorfa tym, czym wadliwe przeszło dla mostu. W każdej chwili grozi rozsypaniem się całej konstrukcji.

Loki zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, wiedział jednak, że nie może ani pozostać na całą noc w ciele Cluny'ego, ani też spokojnie wrócić do własnej postaci, a rano pójść do pokoju na dole, by jeszcze raz przyrzeć się leżącemu tam Sidhe. Zresztą niewiele by to pewnie dało, sądząc po stanie; w jakim na wszelki wypadek go zostawił. Teraz, rozebrawszy się do naga, rozpoczął uważne oględziny.

Sprawdzał bardzo dokładnie każdy milimetr ciała, nie tylko przyglądając się sobie, ale i wodząc opuszkami palców po skórze, czy nie ma na niej zgrubień. Słyszał kiedyś, że podobnie postępują chorzy na trąd, szukając na swych ciałach ran i nacięć. Nazywali to WKS – wizualna kontrola skóry. Gdyby coś przeoczyli, stawka była równie wysoka.

Co jakiś czas Loki zatrzymywał dłoń, skupiał uwagę na jakimś szczególe, wprowadzał go do pamięci jako znacznik na trójwymiarowym modelu i dopiero wtedy ruszał dalej.

Minęła godzina, zanim skończył.

Sama przemiana trwała z kolei bardzo krótko. Jak wskoczenie w wygodny dres po całym dniu w garniturze albo powrót do ulubionej koszulki z czaszką i różą po wizycie zdewociałej babci. Rzecz jasna, moment, w którym Kłamca, nakładając kolejne warstwy siebie, ponownie musiał spojrzeć na własną spaloną jadem twarz, nie był szczególnie przyjemny. Trwał on jednak krótko jak mrugnięcie.

– Hej, przystojniaku! – Powiedział w końcu, trąc ręką zarośnięty policzek. Przez chwilę rozważał, czy nie wyciągnąć z marynarki wykałaczki, ale darował to sobie. Nie czas na pozy, gdy trzeba wypocząć. A jutro przecież czekał go ciężki dzień.

Właściwie to Kłamcę nawet zdziwiło, jak łatwo Społeczność przyjęła jego nową koncepcję Natury. Czy też raczej w dość pokrętny sposób wróciła do starej, znanej części z nich jeszcze z Dworu. Wystarczyło kilka animacji, trochę nawiedzonego gędzenia i już miał ich wszystkich w garści. Widać, że religia Sidhe wciąż była słaba i młoda – nie wykształcili jeszcze swojego odpowiednika stosów, inkwizycji czy zamachów bombowych w imięBoga. Jednocześnie zaś była na tyle stara, by zdążyli zapomnieć, od czego uciekali...

*Ciekawe, jak spiszą się jutro – pomyślał Loki, gasząc świecę, usuwając krzesło spod drzwi i wślizgując się nago pod kołdrę. – Czy po tylu latach bierności wystarczy im odwagi, by walczyć ze strażą Oberona? I czy będą w stanie utrzymać się tak długo, by był czas na realizację planu? Czy ja jestem dość silny, by mu podołać?*

To wciąż nie były do końca jego myśli, choć nie do końca też brzmiały jak myśli Cluny'ego. Zupełnie jakby w głowie Kłamcy był ktoś trzeci. Ktoś, kto używa sformułowań takich jak *realizacja planu, czy podołać*.

Rozległo się cichutkie pukanie, a po chwili zupełnie jak rano w pokoju na dole w szparze drzwi pojawiła się urocza główka Duanny.

– Wzywałeś mnie, wu... Oooch!

Przyłożyła obie dłonie do twarzy, zasłaniając usta, i w tej pozie zamarła. Z jej oczu można było wyczytać przerażenie – z pewnością ostatnim, kogo spodziewała się w łóżu wuja, był poturbowany więzień z pokoju na dole.

– Nie bój się, moje dziecko – uspokoił ją Loki głosem Cluny'ego. – To wciąż ja, choć ze zmienioną twarzą. Ćwiczę takie sztuczki przed jutrzejszą misją. Potrzebowałem oblicza kogoś spoza naszej Społeczności.

Przywołał ją gestem, po czym poklepał miejsce na łóżku obok siebie. Uśmiechnął się, widząc, że dziewczyna, opuściwszy dłonie, postąpiła krok do przodu.

– Tylko zamknij za sobą drzwi, dziecinko – polecił. – Wiedza, której dostąpisz, jest bowiem przeznaczona wyłącznie dla ciebie.

Oczy elfki zaświeciły się na dźwięk tych słów.

– Jak to wiedza, wuju?

– Słyszałaś, jak mówiłem, że pewne zasady Natury można odczytać inaczej, niż nam się wydawało?

Skinęła głową. Wciąż uśmiechnięty Kłamca odrzucił na bok kołdrę.

– No więc nie chodziło wyłącznie o zabijanie.



Evan dobył rapiera i zamachał nim kilkakrotnie, kreśląc w powietrzu ósemkę. Raz, drugi, zasłonił się, cofając o krok, i zrobił wypad do przodu, tnąc od dołu na ukos. Powrócił do pozycji wyjściowej i nastąpiła kolejna sekwencja ciosów wymierzonych porannej mgłę.

Donnan przyglądał mu się z założonymi rękami i z pełną dezaprobaty miną. Widać było – mimo sprawności technicznej i poprawności ruchów chłopaka – że Evan nigdy w życiu nie brał udziału w prawdziwej potyczce. Niemal na każdym kroku, z każdym wyprowadzanym ciosem, odsłaniał się tak haniebnie, że nawet ślepiec trafiłby w powstałą dziurę. Do tego prawie w ogóle nie improwizował, sprowadzając ćwiczenia do prostych schematów i dawno opracowanych sekwencji.

– Nie przeżyłbyś minuty nawet z zaspanym strażnikiem Oberona uzbrojonym w kij – stwierdził w końcu Donnan, sięgając po własny oręż wsparty o pobliski snopek siana. Wyszarpnął rapier z pochwy i zgrabnie doskoczył do Evana, przykładając mu broń do szyi. – Ale czemu ja się dziwię? Jeszcze nikogo wieczorne machanie żelastwem tatusia nie uczyniło szermierzem.

Uśmiechnął się krzywo. Minęły lata, odkąd ostatni raz walczył, choćby – jak zwykli mawiać – dla wprawy i zabawy. Właściwie od dnia, gdy wraz z kuzynką i jej bliskimi opuścili Dwór, jedynie późną nocą pozwalał sobie choć spojrzeć na broń. Wykładał się wtedy z łóżka, by podziwiać klingę błyszczącą w księżycowej poświacie. Mógł to robić godzinami.

Nie narzekał na swoje obecne życie, mimo że wyboru dokonał za niego Oberon i jego dekret, wynikiem którego w niełaskę popadał każdy, kto pozostając na Dworze, ośmielał się wyznawać Naturę. A Donnan lubił pracę na roli, cieszyło go życie wśród Sidhe, którym mógł zaufać i wśród których nie musiał przejmować się każdym wypowiedzianym słowem. Wreszcie jego żołądkowi wyszło na dobre, że skończył z ciągnącymi się do późna conocnymi ucztami.

I tylko walki – jego prawdziwej życiowej pasji – było mu żal straszliwie. Tęsknił i gdzieś w głębi serca wierzył, że kiedyś może jeszcze...

– Czy możesz już to zabrać, wuju? – Zapytał Evan. – Pojąłem lekcję.

– Niczego cię teraz nie nauczyłem – odparł Donnan, ale cofnął rapier i skierował ostrze ku ziemi. – Raczej pokazałem, dlaczego nie możesz iść dzisiaj z nami.

– Ale tatko powiedział...

– Twój ojciec, choć mądry z niego Sidhe, ulega słabościom jak każdy z nas. Nieuzasadniona duma z potomka to jedna z nich.

Donnan wiedział, że tymi słowami rani chłopaka, ale w tej chwili miał to gdzieś. Duchowa tunika starannie utkana przez lata z pokory, uprzejmości i pogody ducha okazała się jedynie podłej jakości szmatką rwącą się w strzępy, ledwie tylko napiął mięśnie. Gdzieś w głębi jego serca przecierał właśnie oczy przebudzony prawdziwy potomek Bogini, szlachcic z Dworu i czwarty szermierz Doliny. Zaskakujące, jak lekkim spał snem.

Otoczająca ich mgła powoli rzedła, ukazując coraz więcej szczegółów: ścianę stodoły z wciąż

zdobiącym ją ekranem z prześcieradeł, zarys studni i korony drzew w oddali. Za plecami coraz wyraźniej rysowało się domostwo, w którym wszyscy wspólnie mieszkali.

Donnan przetarł klingę rękawem i ostrożnie wsunął rapier z powrotem do pochwy. Następnie położył dłoń na ramieniu Evana.

– Jesteś dobrym dzieckiem, Evanie – rzekł. – I zawsze o tym wiedziałem. Ale wojowanie... Zostaw tym złym.

Nie czekając na reakcję chłopca, ruszył w stronę chaty. Wstąpiwszy na stopnie ganku, odwrócił się i popatrzył przed siebie. Z pól i od strony lasu wracali pozostali Sidhe ze Społeczności. Nie było wśród nich dzieciaków w wieku Evana – sami niegdysiejsi szlachcice i dworzanie, względnie żołnierze z armii Oberona. Wszyscy zziębnięci, zmęczeni, ale szczęśliwi. Każdy z rapierem w ręku.

*Nie da się stłumić Natury* – pomyślał Donnan z uśmiechem.

### *Hortonville, Wisconsin*

Bachus nie rozumiał. Nie było w tym nic niezwykłego. Zdarzało się to już wcześniej, często nawet – zwłaszcza gdy był tak pijany – że samotny przechodzień jawił mu się jako pluton klonów. Wtedy jednak zawsze miał przy sobie Erosa, który w kilku słowach wyjaśniał co i jak. Teraz jednak bóg wina był zupełnie sam. A problem jakoś tak nie chciał się sam rozwiązać.

– Czekaj, czekaj... – Powiedział, patrząc w oczy Samediego, który wciąż stał przed nim ubrany jedynie w cylinder i węża. – Mówisz, że na to wszystko, co się dzieje, głód, zamieszki i tak dalej, jedynym lekarstwem jest akurat Loki? Dlaczego?

Murzyn wrzucił ramionami.

– Nie tylko na GŁÓD, ale i na ZARAZĘ, WOJNĘ i ostatecznie pewnie ŚMIERĆ. – Wyszczrzył zęby. – Węże syczą, że oto nadeszła zapowiadana przez Świętą Księgę aniołów Apokalipsa. I patrząc na wieści ze świata, na to właśnie wygląda.

Bachus rozejrzał się. Jedno było pewne, okolica rzeczywiście nie wyglądała, jakby przeżywała swój renesans. Podrapał się po brzuchu.

– No a gdzie w tym wszystkim Loki? Gdzie problem twojego ludu?

Samedi potrząsnął ramionami i wąż spadł z nich niczym rozsznurowana letnia sukienka z kształtnej ciała modelki. Wyglądało na to, że gad i jego pan ćwiczyli to wcześniej wielokrotnie. Może nawet przez stulecia.

– Nie rozumiesz? – Zapytał Murzyn. – Apokalipsa to walka o rząd dusz. To starcie ostateczne, w którym zmierzą się Dobro i Zło, zastępy anielskie i piekielne demony. Nie będzie tam miejsca ani dla takich jak my, ani dla tych, dzięki którym istniejemy. Rola ludzi sprowadza się teraz wyłącznie do kuponów zwanych duszami. Wygrywa ten, kto zgarnie ich więcej.

Bachus jak zwykle myślał powoli. Trzeba jednak przyznać, że czasem zdarzały mu się przebłyski geniuszu. Zwykle wykorzystywał je, by rozświetlić sobie ścieżki pamięci w poszukiwaniu jakiegoś wyjątkowo udanego rocznika. Tym razem było inaczej.

– Chcesz, by Loki utworzył trzeci front, tak? Złożony z ludzi i mitycznych? – Uśmiechnął się, widząc aprobatę na twarzy Samediego. – No dobrze, cel rozumiem, ale dlaczego właśnie on?

– Bo zna wszystkie trzy strony konfliktu lepiej niż ktokolwiek inny. Bo są tacy, którzy wierzą, że skoro miał poprowadzić swoją armię na Ragnarok, to może ma w tym zakresie choć odrobinę talentu. Wreszcie, bo od lat pracuje, by jakoś osłabić swoich pracodawców.

Wyszczrzył się, widząc zaskoczenie na twarzy boga wina.

– Nie wyjaśnił wam, po co zbiera pióra?

– Nie pytaliśmy – skłamał Bachus, wrzuszając ramionami. Oczywiście, że pytali. Usłyszeli nawet całkiem przekonującą bajeczkę o truciźnie, którą zarazili Kłamcę skrzydlaci, i o antidotum kryjącym się

w sproszkowanych anielskich piórach. Rozmawiali po pijanemu, a kwestia wypłynęła pośród rozlicznych innych żalów i zwierzeń – nie było więc podstaw, by Lokiemu nie wierzyć. Tak przynajmniej wtedy uznali.

Tymczasem wąż pelzł powoli, zamykając oba bóstwa w kręgu własnego ciała. Wydawał się dłuższy niż jeszcze chwilę temu na ramionach Samediego. Sunął zygzakiem, a złotożółty blask wydostawał się spod łusek przy każdym ruchu potężnego cielska.

– Co on robi? – Zapytał Bachus.

– Tworzy przejście – odparł baron. – Pójdiesz ze mną i pomożesz mi odnaleźć Lokiego, zanim będzie za późno.

Bóg wina cofnął się gwałtownie, chcąc wystąpić z kręgu, ale niemal w tej samej chwili wąż wbił kły we własny ogon, zamykając krąg. Zaiskrzyło, w powietrzu rozszedł się zapach ozonu i rozgrzanego piasku.

Bachus krzyknął, a zaraz potem zapadła się pod nim ziemia. Odruchowo zamknął oczy...



Gdy bóg wina ponownie zdecydował się rozewrzeć powieki, stwierdził ze zdumieniem, że oto znowu znajduje się w mieszkaniu wsparty o framugę drzwi, jak na chwilę przed wyjściem. Obraz mu się rozmywał, nogi drżały, a do tego miał mdłości – nic niezwykłego, w końcu nie jadł od kilku dni.

– Światowidzie! – Zawołał.

Bóstwo odpowiedziało cichym mruknięciem, jakim pijani reagują zazwyczaj na swoje imię. To znaczyło, że więzień jest na miejscu, a poczciwy Jack Daniels wciąż trzymał go w okowach swych oparów. Zaskakujące, zważywszy, że była to tylko jedna butelka, a Światowid to przecież słowiańskie bóstwo nawykłe do pitnego miodu. Najwidoczniej mikołajowanie zrobiło z niego mięczaka.

*A może ja wcale nie wychodziłem?* – Pomyślał nagle Bachus. – *Może to tylko zwid, przysnąłem na stojąco i przysniła mi się ta wyprawa, Samed i jego wąż, a także...*

Z łazienki dobiegł go odgłos spuszczonej wody, a zaraz potem w drzwiach stanął baron mocujący się z guzikowym rozporkiem džinsów.

– Odwykłem od noszenia takich rzeczy – wyjaśnił odrobinę zawstydzony. – Właściwie ostatnio odwykłem od noszenia jakichkolwiek ubrań. Ale tam, gdzie idziemy, jest zimno.

Bachus potrząsnął głową i przejechał ręką po twarzy, jakby chciał ściągnąć pajęczynę przesłaniającą mu oczy.

– Tam, gdzie idziemy? – Zapytał. – A co my właściwie robimy tutaj? Nic nie rozumiem...

– Masz zadanie do wykonania, prawda? – Baron naciągnął koszulkę z logo zespołu White Snake. – Dostarczyć Mikołaja na biegun.

– No tak, ale...

– Zamierzam ci w tym pomóc, żebyś potem już bez przeszkód mógł pomóc mnie. Więc lepiej ubierz się ciepło, przyjacielu. Bo na nas czas.

Minął Bachusa i przeszedł do kuchni. Poklepał po łbie węża leżącego na blacie, po czym otworzył lodówkę. Skrzywił się na widok pustych półek.

– Ale po drodze wstąpimy jeszcze do jakiegoś sklepu, dobrze? Gdzieś w tym cholernym kraju musi być jeszcze choć kawałek niepopsutego hamburgera.

Nie było chyba słów, które w tej sytuacji mogłyby skłonić Bachusa do działania bardziej niż te, które właśnie padły. Bóg wina odbił się plecami od framugi i jak na skrzydłach pognał w stronę szafy, wytrząsając z niej wszystkie możliwe swetry. Niektóre wyglądały jak wielkie kawałki schabu albo plastry ociekające miodem – najwyraźniej Światowid potrafił tworzyć wizje nawet po pijaku... Albo właśnie zaczynał trzeźwieć.

## Rozdział 8

### Południowa Ćwiartka, Dolina



oki obudził się jeszcze przed świtem. Duanny nie było już przy nim, ale wcale go to nie zmartwiło. Był pewien, że świadomość, iż oto została wyróżniona i obdarzona wielkim zaufaniem, skutecznie zamknie młodej elfce usta. Przynajmniej na te parę godzin, zanim wszystko się rozstrzygnie.

Podparł krzesłem klamkę u drzwi, zapalił lampę, a potem stanął przed lustrem i rozmasował sobie twarz. Powoli zaczął się zmieniać w Cluny ego.

Kiedyś potwornie znudzony podczas jednej z misji oglądał w telewizji program, gdzie kobiety dobrowolnie wystawiały się na pośmiewisko, byleby tylko znany chirurg plastyczny zajął się ich przypadkiem i uznał je za wystarczające wyzwanie dla swojego kunsztu, talentu i doświadczenia. W kluczowym momencie tego show, zamiast pokazywać dokładny przebieg każdej operacji, prezentowano animacje *przed* i *po* z każdego etapu. Tu zmniejszył się nos, tam uwydatniły kości policzkowe... Znikały blizny, pęczniały i jędniały wargi. Wszystko tow fotograficznym staccato do wtóru miłej, wesołej muzyczki...

To, co właśnie robił ze sobą Loki, wyglądało w zasadzie podobnie, tyle że odbywało się płynniej i nie towarzyszyły temu żadne dźwięki oprócz cichych postękiwań Kłamcy. Bo przemiana wcale nie należała do bezbolesnych. Wręcz przeciwnie – elfie narządy też pokrywa gęsta sieć nerwów, a jaki ból potrafi wywołać jeden, choćby mało ważny nerw, to wie każdy, kto choć raz był u dentysty.

Wreszcie gdy za oknem zrobiło się już jasnoszaro, a poranna mgła zaczęła ustępować, Loki znów był Clunym. W samą porę, bo niemal w tej samej chwili rozległo się pukanie. Kłamca odstawił krzesło na bok i otworzył drzwi. W progu stał Donnan.

– Na miłociwą Naturę, Cluny! – Zawołał Sidhe na widok Lokiego. – Mogłeś powiedzieć, że nie zdążyłeś nic przywdziać, a poczekałbym chwilę dłużej.

Loki popatrzył po sobie i uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

– Wiesz, otworzyłem dziś szafę i nie wiedziałem, co na siebie włożyć – stwierdził. – Ten wybór...

Wskazał na otwarte drzwi szafy, gdzie w równym rzędku wisiały niemal identyczne brązowe garnitury i kremowe sznurowane koszule. Na półce ponad nimi leżało kilka jednakowych kapeluszy.

I znowu – co Loki uświadomił sobie po czasie – był to żart, który niekoniecznie musiał okazać się dobrym pomysłem. Podobnie jak wtedy, gdy układał swój plan w oparciu o domniemane stłumione elfie popędy i ich tęsknotę za solidną walką, tak i teraz opierał się raczej na instynkcie i tym, jak sam zareagowałby, będąc jednym z nich.

Szczęśliwie Donnan tak szybko i gładko wskoczył w swą dawną skórę dworzanina, że nie miał teraz problemów z właściwym, zdystansowanym podejściem.

– No tak, bracie! – Roześmiał się w głos, odchylając głowę do tyłu. – Prawdziwie trudny to wybór.

Przekroczył próg i podszedł do łóżka. Opadł na nie ciężko. Rapię, dotąd wciąż ścispany w dłoni, położył na poduszce.

– Wiesz – zaczął po chwili – był czas, gdy podejrzewałem, że to wszystko, cała ta Natura, Społeczność to tylko mydlenie oczu Oberona. Wiesz, słowa, słowa, słowa... Mnóstwo czezej gadaniny, byleby tylko uśpić uwagę Dworu i...

Kłamca obrócił się błyskawicznie i spojrzął na Donnana. Zacisnął dłoń na trzymany w rękę spodniach, co równocześnie mogło wyglądać na strach, jak i na gniew – w zależności, która reakcja okaże się korzystniejsza. Zmierzył siedzącego Sidhe wzrokiem, szukając choć śladu, najsubtelniejszego znaku, że to, co mówi elf, jest tylko prowokacją. Nie dostrzegł niczego podobnego.

Stanowczo za dużo ryzykujesz – upomniał się w myślach. Zaraz potem jednak wyszczerzył zęby

w paskudnym uśmiechu, kolejny raz postanawiając zawierzyć intuicji.

– Przejrzałeś mnie, bracie – przyznał. – Jak mówią księgi? Lampart nie może zmienić swoich płam.

Odwrócił się i skupił na zakładaniu spodni. Wiedział, że Donnan go obserwuje, czuł jego spojrzenie na plecach, ale postanowił udawać, że nic sobie z tego nie robi. Sidhe potrzebował czasu, by przetrwać to, co właśnie usłyszał. W końcu czym innym jest domyślać się, a czym innym usłyszeć niezwykłą prawdę wprost.

– Mówią też, że świat jest teatrem, aktorami Sidhe, którzy kolejno wchodzą i znikają – stwierdził w końcu elf. – Zagrałeś nami. Wykorzystałeś wiarę nas wszystkich, byleby tylko osiągnąć własną korzyść. To takie...

– Dworskie? – Podpowiedział Kłamca.

Donnan skinął głową z uśmiechem.

– Tak właśnie. Byłbyś świetnym władcą, Cluny.

– Będę, przyjacielu. – Kłamca naciągnął koszulę i sięgnął po marynarkę. – Z pomocą twoją i naszych braci dziś jeszcze pozbedziemy się Oberona. Jego krwawy ochłap dziś jeszcze powiewać będzie jako mój sztandar.

Nałożył kapelusz i przejechał palcem po krawędzi ronda.

Sidhe pokręcił głową, jego mina wyrażała prawdziwy podziw.

– Zwiodłeś nas wszystkich, Cluny. I czekałeś tak długo.

– Ciebie, jak widać nie, bracie.

Elf podniósł się powoli i sięgnął po rapier. Loki nie do końca wiedział, jak powinien zinterpretować ten gest, ale na wszelki wypadek wsunął rękę między drewniane wieszaki, łapiąc za jeden z nich.

– Och, mnie też zwiodłeś! – Zapewnił Sidhe, podchodząc powoli. – Moje podejrzenia wygasły jak płomień niedogładanego paleniska. Zwiodłeś mnie trwaniem i gorliwością swej wiary. Gotów byłem uwierzyć, iż naprawdę ten, kto biedny i szczęśliwy, jest bogaty, że bardziej nie trzeba. Jeszcze rok, dwa i kto wie czy poszedłbym za tobą.

Zatrzymał się krok przed Kłamcą, jedną ręką wciąż trzymając pochwę rapiera, a drugą kładąc na rękojeści. Jeżeli ten gest miał wzbudzić w Lokim niepokój, to nie udało się. Obaj wiedzieli doskonale, że dystans między nimi był za krótki na dobytec broni. A to z kolei znaczyło tylko jedno.

– To znaczy, że teraz pójdziesz? – Zapytał Kłamca, by dopełnić rozmowy.

– Lękliwy stokroć umiera przed śmiercią, mężny kosztuje jej tylko raz jeden. – Donnan zdjął dłoń z rękojeści i położył ją na ramieniu Lokiego. – Pójdę. Jak pozostali zresztą...

– Wspaniale.

– Ale swojego szczeniaka zostaw jednak w domu, Cluny.

– Oczywiście. To niedojrzały szczeniak i nie wiem, co sobie myślałem.

Donnan przyglądał się Kłamcy przez chwilę. Być może spodziewał się jakiegoś oporu w tej kwestii, a może po prostu potrzebował chwili, by przetrwać, czy wszystko już zostało powiedziane. W końcu odwrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł z pokoju.

Loki wziął do ręki marynarkę, którą miał na sobie wczoraj, wydobyl z niej Kłamczucha i paczkę wykałaczek. Tak przygotowany również wyszedł na korytarz.



Przed domem obok dwóch krytych wozów, którymi wybrani mieli zaraz jechać na wyprawę, zgromadzili się niemal wszyscy członkowie Społeczności. Tym razem jednak wspólnota nie stanowiła zwartej całości. Ci, którzy zaraz mieli wsiąść na wozy, oddzielali się wyraźnie od reszty, tak z powodu wiszących u pasów rapierów, pomalowanych na niebiesko twarzy, jak i z powodu zachowania – nie tylko Donnan przez noc stracił całą pokorę i dobroć, jaką nagromadził w ostatnich latach.

Życzenia powodzenia zbywali prychnięciami, rzucali też niedwuznaczne komentarze w stronę swoich – coraz bardziej zgorszonych – siostr, córek, matek...

Loki przyglądał się temu z wysokości najwyższego schodka ganku, wsparty o jeden z filarów



podtrzymujących zadanie. Chwilę wcześniej odwiedził swoje skatowane ja, przygotowując je do podróży. Zadbął o to, by prawdziwy Cluny nie obudził się podczas transportu. Choć z drugiej strony czy teraz naprawdę miało to znaczenie? Czy ci, którzy wyruszyli po chwałę, zrezygnowaliby z niej tylko dlatego, że zaproponował ją kłamliwy anamorfoz? Jakoś szczerze w to wątpił.

Wreszcie otworzyły się drzwi i z wnętrza domu wyniesiono prawdziwego Cluny'ego na prowizorycznych noszach. Doglądała go Duanna, starannie ścierając zakrzepłą krew z kącików ust i spod nosa. Była tak przejęta, że nie dostrzegała minimalnego dysonansu, rozjechania linii pomiędzy oryginalną twarzą przywódcy Społeczności a iluzją oblicza Lokiego.

*To się nazywa idealizowanie swojego pierwszego faceta* – pomyślał Kłamca z rozbawieniem, dla zabawy muskając palcem szyję dziewczyny, gdy ta przeszła obok. Duanna wtuliła głowę w ramiona, posłała mu złężnione spojrzenie i uśmiechnęła się niepewnie. Odpowiedział uśmiechem.

– Witaj, powierniczko tajemnic Natury – szepnął. – Dzień dobry.

Elfka splonęła się, jej nogi zgubiły rytm i omal nie upadła na schodach. Szczęśliwie podtrzymał ją stojący akurat obok Evan. W normalnych okolicznościach mogłoby to coś znaczyć. Być początkiem wspaniałej przyjaźni... Tu skończyło się na wymianie uprzejmości.

Gdy nosze leżały już na wozie, wybrani załadowali dary dla Oberona – owoce własnych zbiorów, trochę rzemieślniczej roboty – oraz wybrali spośród siebie dwóch, którzy mieli ich doglądać w trakcie podróży. Pozostali usadowili się na drugim wozie, na deskach zamocowanych wzdłuż obu burt. Odpięte – dla wygody swojej i siedzących obok – rapiery trzymali pionowo w rękach. Jeden czy drugi oparł głowę na rękolejści...

– Jesteśmy gotowi – powiedział Donnan, stając przed Kłamcą. Lekko skinął głową, a Loki odpowiedział tym samym. W pewnych kręgach można to było uznać za odebranie honorów.

– Ruszajmy zatem. – Kłamca odsunął się od słupka i ruszył w dół schodów, ale drogę zastąpił mu Evan wciąż czekający przy poręczy.

– Ojczy, pozwól mi jechać z wami – poprosił głośno, niemal płacząco. – Pozwól mi służyć Naturze.

Wymiana spojrzeń między Donnanem a Lokim była tak krótka, że mało kto ją zarejestrował. Ale i do przekazania było niewiele. Donnan zacisnęła pięść i z całej siły przyładował chłopcu w żołądek. Evan zgął się wpół, wychlustując na ziemię strugę wymiocin. Starszy Sidhe odczekał moment, po czym poprawił kopniakiem z kolana, posyłając chłopca na barierkę.

Loki wyminął go i ruszył w stronę wozu, nic sobie nie robiąc ze złężnionych, nieufnych spojrzeń wokół. Wiedział doskonale, że skończyła się gra pozorów...

...A przynajmniej pierwszy jej etap.

## Paryż

Ukryci na parterze mieszkańcy kamienicy widzieli śmierć Conrada przez szczeliny w deskach. Konkretniej, widzieli ją Jean Baptiste, pan Pleurdeau i częściowo – bo z perspektywy schodków, pod innym kątem – Eros. Los, opatrność czy może zwykły przypadek oszczędziły tego widoku madame Bixby, która akurat musiała pójść za potrzebą. Na niewiele się to jednak zdało, bo gdy wróciła, natychmiast wyczytała wszystko z twarzy sąsiadów i upadłszy na podłogę, zaniósła się histerycznym szlochem.

Skoczyli ku niej wszyscy, ale to Eros był pierwszy. Jeszcze raz spróbował jednej ze swych sztuczek.

– Tylko spokojnie, madame – szepnął, kładąc jej rękę na ramieniu i przez palce wysysając miłość do poległego, a tym samym i żal po jego stracie. – Już wszystko dobrze, to tylko...

Kobieta uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Na jej twarzy malowało się obrzydzenie i pogarda.

– Zabieraj tę łapę, dupku, i pozwól mi płakać! – Wycedziła przez zacisnięte zęby. – Wydaje ci się, że miłość to zabawka? Że możesz tak sobie zabierać ją i dawać? Otóż nie, mój panie! Otóż nie.

Bóg miłości cofnął rękę i powiódł wzrokiem po twarzach mieszkańców kamienicy, ale wyglądało na to,

że albo nikt nie słyszał tej wymiany zdań, albo też wszyscy znakomicie udawali, że nic ich to nie obchodzi. Tymczasem madame Bixby kontynuowała swą, jak się okazało, dłuższą tyradę:

– Znam takich jak ty, draniu. Przez tobie podobnych spalili kiedyś moją babkę i matkę. Wydaje się wam, że jesteście nie wiadomo kim, a w rzeczywistości jedyne, co potraficie, to mieszać ludziom w głowach.

– Ależ, madame...

– Co madame? Jakie madame, przeklęty sukubie?! Na dźwięk tych słów pani Babeuf uniosła głowę, ale napotkawszy spojrzenie Erosa, pospiesznie wlepiła wzrok w podłogę. Tymczasem bóg miłości z całej siły powstrzymywał się, by nie westchnąć z ulgą. Myślała, stara wiedźma, że go przejrzała? Więc niech myśli tak dalej. I co to znaczy, że bóg miłości miesza ludziom w głowach? Jak ona w ogóle śmie go o to oskarżać, skoro sama ma, zapewne dzięki czarom, czterech młodych, przystojnych kochanków?

– Nie będę się już więcej pani narzucał, madame – oznajmił, wstając z kolan. Otrzeptał je i ruszył w kierunku swojego miejsca na schodach.

Z góry dochodziły ich krzyki i nawoływania Jenny, a niedługo później na półpiętrze pojawili się Anton, Javier i Francisco, którzy – co Eros przyznawał z podziwem – nawet ubrudzeni i we krwi wyglądali powalająco, jakby ich zniszczone ubrania i rany były jedynie charakteryzacją.

Na krótką chwilę zatrzymali się u szczytu schodów ustawieni niczym męska wersja aniołków Charliego, po czym dostrzegłszy swą ukochaną, rzucili się ku niej biegiem. Bóg miłości zszedł im z drogi i przysiadł w kącie.

– Długo ich za tymi dechami nie utrzymamy, myślę – zagadał do niego Jean Baptiste. Artysta miał podkrążone oczy i opuchnięty od niefortunnego uderzenia młotkiem palec lewej ręki, ale i tak wyglądał chyba najświeżej z nich wszystkich. – Nieumarłych albo zwyczajnie chorych wciąż przybywa, mnożą się też różne stwory. Wczoraj, jak byłem u siebie na górze i patrzyłem na ulicę...

– Na niebie wciąż krążyły anioły? – Wszedł mu w zdanie Eros.

– Nie.

– Kurwa!

Wszystko wskazywało, że to, co właśnie działo się przed kamienicą, to nic innego jak tylko Apokalipsa. Anioły były ważną jej częścią. Skoro zniknęły, nie mogło to wróżyć nic dobrego.

Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu, słuchając gorących i żarliwych zapewnień o wzajemnej miłości osobliwego angielsko-hispańskiego czworokąta. No tak, teraz już tylko czworokąta...

– Myślę, że powinniśmy zbudować kolejną barykadę na pierwszym piętrze – stwierdził w końcu Jean Baptiste. – A potem na drugim i trzecim, aż wreszcie ukryjemy się w mojej galerii. Tam damy radę troszkę przeczekać, a jakby co, można uciec dachem.

– Tylko dokąd? Dokąd będziemy uciekać?

Malarz uśmiechnął się smutno.

– My, artyści, panie Ros, żyjemy chwilą. Liczy się tu i teraz – odparł. – Zatem nie dokąd będziemy uciekać, ale skąd. A na to pytanie obaj znamy odpowiedź.

Eros tylko skinął głową. Kiedyś, gdy jeszcze wraz z Bachusem pozyskiwali wiernych dla swojej religii – lubili nazywać się wtedy akwizytorami dobrej nowiny – myślał, że życie dla samego życia, dla zwykłego przetrwania następnego dnia, nie ma sensu. Że trzeba mieć jakieś plany, założenia, ambicje. Nadal tak uważał i dziwiło go, jak wiele osób stawiało nad życie zwykłą wegetację.

Na schodach pojawiła się na chwilę Jenny i zapytała, czy nie potrzebuje czegoś z ich mieszkania, bo właśnie tam idzie. Odpowiedział, że nie, a dyskretnym gestem pokazał jej, by poprawiła sobie sztuczny brzuch. Machnęła ręką z lekceważeniem.

Za drzwiami zombi przypuścili kolejny szturm na kamienicę.



Archanioł Gabriel stał przy oknie w kuchni paryskiego mieszkania Jenny i Erosa. W prawej ręce trzymał kubek z herbatą, lewą oparł na szerokim parapecie. W zamyśleniu obserwował ulicę pełną

kołyszących się na boki wskrzeszeńców. Byli już spokojniejsi, choć jeszcze przed chwilą – zanim Jenny wyciągnęła spośród nich trzech Hiszpanów – kotłowali się jak koty we wrzuconym do rzeki worku. Gdzieniedzie pomiędzy martwiakami można było dostrzec kilku mitycznych, choć blask dnia wypłoszył wielu spośród nich. Ale widok dawnych bóstw sprawił, że archanioł kolejny raz pomyślał o Kłamcy.

W zaistniałych okolicznościach nie miało to, oczywiście, większego znaczenia, ale wciąż nie wierzył w zdradę Lokiego. Nie znaczyło to wcale, że mu ufał, uważał jednak, że Kłamca nie zdecydowałby się na zmianę frontu przynajmniej do chwili, gdy druga strona nie byłaby zdecydowanym faworytem. A tego na razie nic nie zapowiadało.

Właśnie ta niewiara sprawiła, że Gabriel zgłosił się na ochotnika, gdy Michał szukał posłańca do Jenny. Uznał, że byłoby bardzo niedobrze, gdyby jakiś nadgorliwiec z Zastępów, natknąwszy się w Paryżu na Lokiego – co przecież było możliwe, wszak Bachus mówił coś o urlopie – władował mu ostrze między łopatki. Na takie posunięcie zawsze jest czas, a co nagle, to...

Zaskrzybiały drzwi wejściowe i po chwili do mieszkania weszła Jenny. Przez chwilę krzątała się w przedpokoju, mrużąc coś do siebie, lecz nagle umilkła.

– Loki? – Zapytała po chwili niepewnie. – To ty?

Gabriel westchnął. Naprawdę miał nadzieję, że zastanie tu Kłamcę.

– Nie, Jenny – powiedział, odkładając szklankę i ruszając ku wejściu. – To ja, Gabriel. Przybywam z poselstwem.

– Jeśli powiesz mi, że wpadliście na pomysł, bym naprawdę była w ciąży, zarobisz w zęby.

Archanioł skrzywił się. Wspomnienie, gdy ostatni raz słyszał tego typu żarty, nie należało do najprzyjemniejszych. Jednego wieczoru Loki zrobił z niego wówczas sodomitę, zazdrośnika i głupka.

– Nie wolno kpić z takich spraw, Jenny. Zresztą moje poselstwo jest tym razem zupełnie innego rodzaju.

Dziewczyna przejechała ręką po twarzy. Wyglądała na skrajnie zmęczoną. Mimo to jednak, gdy się odezwała, jej głos zabrzmiał mocno i pewnie.

– Możesz mi wyjaśnić, co się tutaj dzieje?

– Tak – odparł równie stanowczo. – To Apokalipsa.

– I przybyłeś na polecenie Michała, by mnie stąd zabrać i przenieść gdzieś, gdzie jest bezpieczniej? Ostrzegam, że bez Erosa i tych ludzi na dole ani myślę się stąd ruszać. Będziecie musieli wynieść nas stąd wszystkich, inaczej...

Umilkła na moment, dostrzegłszy wyraz twarzy archanioła.

– Nie przyszedłeś, by mnie stąd zabrać, prawda?

Gabriel powoli pokręcił głową.

– Michał stwierdził, że nie może cię dłużej faworyzować. Uważa, że jego przywiązanie do śmiertelniczki daje zły przykład i osłabia morale wojska. – Przerwał na chwilę, upił herbaty. – Dlatego od tej pory nie możesz już liczyć na jego pomoc.

Mina Jenny wyraźnie mówiła, że dziewczyna nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Z miejsca pobladła, a w gardle nagle zrobiło jej się sucho. Świat zawirował przed oczami.

– Jak to nie? Nawet później, gdy już uporacie się z tym całym bałaganem? Wtedy też nie?

– Nie rozumiesz, Jenny. – Archanioł wyciągnął rękę i kciukiem uniósł jej podbródek. – Apokalipsa znaczy, że nie będzie żadnego później. Nie na ziemi.

Przez chwilę stali tak, patrząc na siebie jak zakochani, którzy właśnie próbowali dostrzec w oczach drugiego niewypowiedziane jeszcze wyznanie miłości. A potem Gabriel odstąpił, odwrócił się i pewnym, szybkim krokiem ruszył w stronę okna.

– Do północy musicie opuścić to miasto – powiedział. A potem ogarnęła go i wchłonęła jasność.

Jenny została sama ze swym zwiastowaniem.

## Hortonville, Wisconsin

I znowu wężowy krąg. Olbrzymi pyton niczym Uroboros – wąż wszechrzeczy, początek i jednocześnie koniec wszystkiego – chwycił w paszczę własny ogon i uniósłszy się nad ziemię, począł wirować tak szybko, że stał się tylko smugą złotożółtego światła. W środku Samedi z parasolem w dłoni, w nieodłącznym cylindrze przekrzywionym teraz na bok, a wraz z nim Bachus i wsparty na jego ramieniu obwiązany sznurem Światowid. Nie było słów. Żadnych zaklęć, inkantacji czy choćby instrukcji dla magicznego portalu. Baron nie podał nawet współrzędnych. W pewnym momencie po prostu uderzył parasolem o podłogę, a ta z miejsca rozsypała się najpierw w drzazgi, a potem w pył barwy piasku. I tak trzech mityczni wyruszyli w podróż.



Sunęli wzdłuż korytarza, którego krańca nie sposób było dostrzec. Pod ich stopami przetaczał się taśmociąg skonstruowany z płaskich kamieni, mchu i liści, naciągany przy pomocy lian i różnych pnączy. Czy ktoś mógł skonstruować coś takiego? Bachus – opychający się właśnie potrójnym McRoyalem wygrzebanym w zapasach odwiedzonego przelotem McDonalda – szczerze w to wątpił. To była czysta magia, której zachciało się być techniką. Mityczna moda na ludzką zwyczajność.

Co kilka metrów od głównego korytarza – wyglądającego jak rzeźbiony w glinie tunel kolejowy – odchodziły boczne odnogi, a każda z nich rozszczepiała się na kilka nowych. Zboczyć tutaj z drogi raz oznaczało już nigdy jej nie odnaleźć.

– Co to za miejsce? – Zapytał Światowid. Kolejne krople kapiące ze sklepienia wprost na głowę skutecznie go otrzeźwiły. Wciąż jednak nie potrafił ustać o własnych siłach i wspierał się na ramieniu Bachusa.

– To kraina umarłych mojego ludu – wyjaśnił Samedi. – To tu każdy z duchów musi pozostać przez rok i jeden dzień, zanim będzie mu wolno powrócić do bliskich.

– Twoi podopieczni zmartwychwstają?! – Zdziwił się Bachus. – W takim razie w jaki sposób to możliwe, że nie nawróciłeś jeszcze wszystkich ludzi na ziemi?

– Wracają jako duchy zamknięte w glinianych dzbanach. W tej postaci doradzają swoim rodzinom aż do dnia, gdy rodzina nie będzie już wiedziała, kto jest w dzbanie. Wtedy połączą się z wielkim duchem Loa, z którego wszyscy się wywodzą.

– Aha... No tak – odparł Bachus, z miejsca tracąc zainteresowanie tematem. Stawanie się jednością? Wielkie duchy? To wszystko już miał w nowej pracy. Był jak ten ginekolog z dowcipu, któremu prostytutka proponuje, że za stówę zrobi mu striptiz.

Światowid tymczasem wydawał się wręcz urzeczony wszystkim, co widział dookoła. Dopytywał o człekokształtne mgły zanurzone po pas w brudnej wodzie, o świetliste szczeliny otwierające się czasem tuż nad ich głowami, a także o taśmociąg, który z każdą chwilą przyspieszał coraz bardziej. Samedi wyjaśniał wszystko grzecznie, choć oszczędnie. Wreszcie uniósł rękę, zatrzymując taśmociąg.

– Jesteśmy na miejscu, przyjaciele – stwierdził, po czym uderzył parasolem w sklepienie.

Na głowy runęły im grudy zmrożonej ziemi – a właściwie runęłyby, gdyby w ostatniej chwili nie rozdzieliły się na boki i nie wylądowały w kątach tunelu – a zaraz potem do korytarza wpadł śnieg. Ten już nijak się nie rozdzielał – obsypał plecy i ramiona Światowida i Bachusa, tak że obaj wyglądali jak bałwany.

– No, strasznie śmieszne – burknął bóg wina, strzepując ze swetra biały pył.

– Czy jesteśmy... Tu, gdzie myślę? – Światowid otrząsnął się jak pies po wyjściu z wody. Sądząc po jego minie, strach właśnie rozprawił się z resztką alkoholu w jego żyłach. Był przerażony, jak tylko trzeźwi bogowie potrafią.

– A myślisz, że gdzie jesteś? – Samedi wykonał gest dłonią i nagle wokół nich zmaterializował się wąż zapleciony w krąg.

– Na biegunie północnym... U prawdziwego Mikołaja.

– Więc dobrze myślisz. Właśnie tu jesteśmy.

Światowid zadrżał i wtulił głowę w ramiona. Z rozczochraną brodą, z kosmykami włosów wychodzącymi spod zbyt luźno zawiązanej frotki wyglądał teraz tak żałośnie, że Bachus poklepał go pocieszająco po ramieniu.

– No nie bój się tak, stary – powiedział. – Przecież nic strasznego ci nie zrobi.

– Skąd ta pewność?

Grecki bóg zastanawiał się przez chwilę, co odpowiedzieć. To, co przyszło mu do głowy, brzmiało jak cytaty z taniego kryminału, ale rany... Któż wymagał teraz kreatywności?

– Gdybyś miał zginąć, już byś nie żył – stwierdził. Nie zabrzmiało aż tak tragicznie, jak myślał. Przeciwnie nawet, było całkiem drapieżne i twarde, trochę jak wczesny Eastwood. Niestety, odpowiedź Światowida zepsuła cały efekt.

– Nie żyłem – odparło niegdysiejsze słowiańskie bóstwo. – Loki mnie zabił, pamiętasz?

Na to umęczony głodem Bachus nie miał już kontry.

Na szczęście nie musiał mieć, bo Samedi właśnie otworzył parasol.

– Łapcie się mnie, tylko mocno – polecił.

Ledwie to zrobili, wielki pyton owinał im nogi, ciasno je pętając. A parasol, wypełniony teraz magicznym podmuchem niczym czasza paralotni, wyniósł ich na powierzchnię.

To zdecydowanie był biegun – tak białe i zimno nie mogło być nigdzie indziej.

Stali na wiecznie zamrożonym jeziorze, a przed nimi jak okiem sięgnąć rozpościerały się mury fabryki Mikołaja. Tej prawdziwej – nie jakiejś marnej lapońskiej podróby – skonstruowanej tak, by przetrwać szturm nawet najbardziej niegrzecznych dzieci świata. Przed bramą, lodową, wysoką i masywną, stało na straży dwóch krasnoludów.

Bachus znał to miejsce jedynie z opowieści Lokiego, jednak od razu je rozpoznał. Przynajmniej z zewnątrz.

– Kim jesteście? – Zapytał pierwszy ze strażników, kładąc rękę na zatkniętym za pas toporku.

Samedi chciał coś powiedzieć, ale bóg wina go ubiegł.

– Gośćmi do Świętego Mikołaja – powiedział, po czym wskazał na Światowida: – Oto jest ten, którego wasz pan poszukiwał. A pojmałem go ja, Bachus, anielski posłaniec drugiej kategorii...

Krasnoludy popatrzyły po sobie, po czym ten, który wcześniej się odezwał, postąpił krok do przodu, dobywając toporka. Zamierzył się na Światowida... A potem jednym zgrabnym cięciem pozbawił go więzów.

W tym samym momencie drugi z krasnoludów doskoczył do Bachusa, również z toporkiem w dłoni. Sądząc po minie i układzie sopli na sięgającej pasa brodzie, nie szykował się raczej do krojenia lodowego deseru na cześć greckiego boga.

– O co tu chodzi? – Bachus odwrócił się w stronę Samediego, a ten wzruszył ramionami. Nie wyglądał na szczególnie zaskoczonego.

– Wygląda na to, że w międzyczasie na biegunie była rewolucja, przyjacielu, i krasnoludy przejęły władzę – stwierdził, ruchem głowy wskazując na szczyt bramy. Wisiały na niej głowami w dół zmrożone na sople faerie. – To właśnie chciałem ci przed chwilą powiedzieć. Jeśli mamy to przeżyć, radziłbym ci więc szybko skończyć z pokładaniem wiary w Mikołaju.

## *Piekło*

Lucyfer przysiadł na skraju pudła, przyłożył palce do skroni, przymknął oczy i raz jeszcze spróbował nawiązać kontakt. Przez moment zdołał nawet złapać obraz, choć ten rozmywał się i rwał jak meksykańska kablówka. Dźwięków czy myśli – podobnie jak przy poprzednich dwudziestu próbach – nie uchwycił nawet na sekundę. Otworzył oczy i westchnął ciężko.

Tak naprawdę nie miało to już większego znaczenia. Część planu, która wymagała owego kontaktu,

dawno już została wykonana, oznaczona ptaszkiem na tablicy i pewnie nawet zapomniana przez większość księży. Gwiazda Zaranna wiedział jednak, że póki istnieje choć cień szansy, że coś może się spieszyć, trzeba mieć wszystko na oku i niczego nie wolno zlekceważyć. Nauczył go tego Murphy i jego prawa, nauczyły doświadczenia w biznesie. Nie ma małych komplikacji – są tylko takie, którym nie dano dojrzeć i urosnąć.

– Panie? – Zagadnął Mammon, który właśnie pojawił się w progu. Z korytarza za nim dobiegały jakieś hałasy.

– Nie teraz, przyjacielu. Jestem bardzo zajęty.

– Rozumiem, panie.

Demon zamknął za sobą drzwi, a Lucyfer, dociskając palce do skroni, podjął kolejną telepatyczną próbę.

Kiedy podczas pierwszego spotkania po powrocie powiedział księżętom, że Loki nie stanowi problemu, nie była to czcza przechwałka. Już dawno odkrył – studiując rozliczne dzieła ziemskich antropologów i uzupełniając ich wywody własnymi przemyśleniami czy wnioskami – że wszystkie mity wywodzą się z jednego źródła i mają jednego wspólnego przodka. Ludzie sami z siebie niczego nie wymyślili, a każdy stworzony przez nich bóg, demon czy inny mityczny, to tylko lokalna wariacja na temat prawdziwej postaci – zwykle anioła, demona bądź proroka.

Jak to możliwe, że w tak wielu mitologiach miał miejsce oczyszczający potop, ważną rolę odgrywają jabłka i jabłoń, a człowiek powstał z gliny? Skąd wzięli się krwiożerczy, bezwzględni i pozbawieni poczucia humoru bogowie wojny albo mroczni skrzydlaci posłańcy śmierci? I dlaczego zawsze w końcu pojawia się kłamliwe bóstwo, które wywodzi w pole wszystkich, z Panem Niebios na czele?

Tak właśnie, to Lucyfer był źródłem mitu. Bohaterem o tysiącu twarzy, z których każda nosiła inne miano i stanowiła jeden z jego aspektów. Grecki Hermes, nigeryjski Eszu czy Kojot wśród indiańskich plemion Ameryki Północnej – każdy z nich miał w sobie drobinę Gwiazdy Zarannej.

Z każdym z nich – i z całą rzeszą innych im podobnych – Władca Piekieł mógł się w każdej chwili zestroić myślami, jeśli tylko żyli. Bez trudu wyczuwał wtedy ich emocje, pragnienia i dążenia, czasem nawet poznawał aktualne myśli. Wiedział, jak nimi sterować, by posłużyli jego celom.

Loki również był aspektem Lucyfera. Przynajmniej do przedwczoraj...

Za drzwiami wybuchała jakaś sprzeczka, a potem rozległ się głośny trzask i parę stęknęć. Potem ktoś zapukał cichutko i w progu ponownie stanął Mammon. Tym razem zaufany Lucyfera nie wyglądał tak dobrze jak zwykle – miał osmoloną twarz i podbite oko, a z kącika wargi sączyła się zielonkawa posoka. Mimo to ton jego głosu nie zmienił się ani odrobinę.

– Panie, wybaczone, że jeszcze raz przeszkadzam, ale...

– Chwila!

– Tak, Gwiazdo Zaranna... – Demon zrobił zboląłą minę, ale posłusznie się wycofał. Sądząc po odgłosach, w sam środek burzy.

*Co się mogło stać?* – Myślał gorączkowo Lucyfer. Do tej pory wszystko szło przecież jak z płatka. Objawienie się pod postacią krzaka, zlecenie na własnego syna i cała ta sztuczka z wysłaniem Lokiego do jednej z magicznych krain, aż przestanie być groźny jako anielski sojusznik – czy to nie był genialny plan? Podobnie jak odcięcie mu drogi powrotu przez wysadzenie wszystkich ścieżek wiodących na tęczę...

Jeszcze przez jakiś czas Kłamacza pozostawał w zasięgu Pana Piekieł, co znaczyło, że zdołał dokonać przejścia. A potem nagle wszystko zaczęło się rozmywać. Zupełnie jakby Loki... Przystawał być sobą.

Coś uderzyło o drzwi z ogromną siłą. Raz, drugi, za trzecim razem Mammon wpadł do środka wraz z framugą.

– Panieeee! – Zdążył wrzasnąć, lecąc przez pokój, a potem grzmotnął plecami o pobliską skrzynię. Na szczęście dla niego nadłamał tylko jedną z desek, nie robiąc krzywdy zawartości.

Lucyfer wstał, wyłamał knykcie, przeciągnął się. Nie wyglądał na zmartwionego z powodu zniszczonych drzwi, ani nieprzytomnego demona na podłodze. Nie zwracał też uwagi na stojącego w progu i dyszącego wściekłością Bafometa. Przeszedł przez pokój i otworzył lodówkę. Wyciągnął z niej puszkę coli.

– No dobrze – powiedział, odciągając kluczyk paznokciem. – Cóż zatem było tak pilnego, że musieliście mi przerwać medytację, książęta moje?

– Wojna, Lucyferze – dobiegł go stłumiony głos Asmodeusza zza pleców Bafometa. – Pamiętasz, że właśnie toczyliśmy wojnę? Co gorsza, przegrywamy ją.

To ostatnie zdanie wyraźnie zaciekało Władcę Piekieł, bo odwrócił się w stronę wyważonych drzwi i marszcząc brwi, spojrzał na stojącego w nich demona.

– Mogę wiedzieć, skąd taki wniosek?

– Straciliśmy, pfff, kolejnego księcia, pfff – wyjaśnił Bafomet, któremu udało się jako tako wyregulować oddech. Nadal jednak posapywał głośno, a z jego nozdrzy buchały kłęby dymu. – Dziś rano w bitwie pod Belgradem Aryman...

– Aryman? – Mina Lucyfera, tak chłopięca, jakby wciąż był tylko po-prostu Teddym, nie pokazywała wyraźnie, czy naprawdę się dziwi, czy tylko drwi sobie z rozmówcy. – To on żyje? Nie pamiętam go z naszych zebrań.

– Bo na żadnym go nie było – odparł Asmodeusz. Był wyraźnie poirytowany, że musi stać z tyłu na swojej własnej platformie. – Powiedział, że nie wierzy, że ty to ty. Ani że cała ta Apokalipsa to jedna wielka blaga.

Lucyfer przypomniał sobie o biblijnym Tomaszu niedowiarku i już miał zamiar po raz kolejny zacytować swego nazareńskiego mistrza, ale po namyśle zrezygnował. Szkoda było słów, skoro zwykłe *ach tak* i wymowna mina załatwiły sprawę.

– Ach tak – powiedział na głos i upił coli. – No to teraz się przekonał, że się pomylił. Co to ma do moich drzwi i biednego pobitego Mammona?

Chwycił Bafometa za łapę i przyciągnął do siebie, tak by przestał wreszcie zasłaniać Asmodeusza. Następnie kazał mu stanąć lekko z boku, tak by nie tarasował wybitego otworu po drzwiach.

– No więc, Asmodeuszu? – Ponowił pytanie.

– Dość mamy tej partyzantki, Lucyferze – rzekł demon zgnilizny, przechylając się do przodu. Dwaj chłopcy trzymający tarczę stęknęli cicho, niemal równocześnie. – Chcemy otwartej bitwy, jaką nam obiecałeś.

– Tak już? Kiedy nasza przewaga wciąż jeszcze nie jest oczywista? – Gwiazda Zaranna zatrzepotał rękami w nieco przesadnie udawanym zdumieniu, ale doprawdy nie mógł się powstrzymać. Wzruszył ramionami, walcząc z uśmiechem, który coraz natrętniej pełzał mu po wargach.

– No cóż, skoro taka jest wasza wola i wasze życzenie... – Powiedział w końcu. – Uważam, że okazaliście mi i tak dużo zaufania i cierpliwości. Nie mogę prosić o więcej.

Bafomet – którego demoniczna aura nigdy nie świeciła najmocniej – zerknął ukradkiem w stronę Asmodeusza. Ten skinął głową. *Tak, przyjacielu* – mówił ten gest. – *Mamy to, czego chcieliśmy.*

– Szykujcie zatem swoje armie, książęta – polecił Lucyfer. Za jego plecami Mammon właśnie odzyskiwał przytomność, więc pierwszy pośród Upadłych pochylił się, by napić go colą. – I stawcie się z nimi jutro w umówionym miejscu. Michał z pewnością podejmie rzuconą rękawicę i będziecie mieli swoją bitwę.

Uradowany Bafomet klasnął potężnymi łapami i ruszył ku wyjściu. Asmodeusz – balansując swym tłustym cielskiem na tarczy, dając w ten sposób znak służącym, jak mają manewrować – przepuścił go i poczekał, aż demon oddali się poza zasięg głosu. Dopiero wtedy zagadnął:

– Lucyferze?

– Tak?

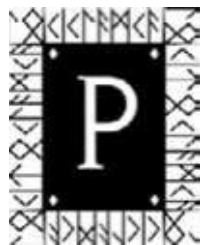
– Ale ty masz w zanadrzu jakąś sztuczkę na tę bitwę, prawda? Jak zawsze?

Gwiazda Zaranna uśmiechnął się. Był to szczery, pogodny uśmiech nastolatka, który właśnie zaliczył swój pierwszy pocałunek z jęczyzkiem.

– Możesz się założyć o ostatniego dolara, że mam, Asmodeuszu – oświadczył. – Nawet więcej niż jedną.

## Rozdział 9

### *Jerozolima, Izrael*



ojedynek aniołów to wspaniałe widowisko dla postronnych widzów. Te wszystkie akrobacje, szermiercze postawy z wykorzystaniem powietrznych prądów, zwody, śruby i korkociągi ze złożonymi skrzydłami i mieczem nad głową, pikowania i wzlatywanie ku słońcu... Czysta poezja walki.

Ci, którzy mieli okazję oglądać blask srebzystobiałych piór połyskujących w słońcu i włosy szarpane wiatrem, zwykle twierdzą, że nie ma na świecie piękniejszego widoku. Porównują go do majestatycznego trójmasztowca prującego fale przy pełnych żaglach, do górskiego szczytu wyłaniającego się spomiędzy chmur, do obnażonych wstydliwie piersi urodziwej dziewczyny...

Żadne z tych porównań nie jest adekwatne, ale cóż można poradzić, że zazwyczaj świadkami anielskich pojedynków byli prorocy z zacięciem do patetycznej poezji?

Inaczej ma się sprawa z podniebnymi bitwami, gdzie skrzydłaci tłoczą się jeden obok drugiego, usiłując trzymać szyk i mimo braku przestrzeni na pełne rozpostarcie skrzydeł nie opaść w dół. Zamiast zwiewnych szat mają na sobie ciężkie zbroje, w rękach masywne, okute żelazem tarcze, a na głowach hełmy, spod których nie wystaje nawet kosmyk włosów. Szermierka ogranicza się do krótkich cięć i pchnięć na dźwięk gwizdka. Gracja ruchów – do efektownej wymiany rzędów pierwszego z drugim bądź czasem – gdy przeciwnik próbuje zaatakować z góry lub od dołu – na szybkim przewrocie i przestawieniu tarcz frontem do szturmujących.

Przez milenia stoczono wiele powietrznych pojedynków, ale zaledwie kilka prawdziwych bitew. To tłumaczyło, dlaczego te drugie wyglądały tak niezdarnie – aniołom brakowało praktyki...



Jerozolima pławiła się w czerwieni zachodzącego słońca. Ogień na ulicach powoli przygasał, kłęby dymu ze spalonych ruin rzedły, odsłaniając to, co zostało ze świętego miasta. A nie było tego wiele. Anielskie bombardowanie uczyniło z Jerozolimy prawdziwe gruzowisko, o jakim Babilończycy współ z Rzymianami mogli tylko pomarzyć.

Nie było mowy, by ktokolwiek w mieście ocalał. Rozgrzane meteory ryły ziemię głęboko, wdzierając się nawet do piwnic i bunkrów, a czego nie zniszczyły one, zalewała płynąca prosto z nieba płonąca siarka. Po raz pierwszy stare i nowe miasto stały się prawdziwą jednością. Nie było już murów, dzielnic żydowskich i arabskich, wyparowały wody Jordanu.

Gdzieniedzie pośród głazów i odłamków sterczały pojedyncze ocalałe ściany zawałonych budynków. Na jednej wisiał nawet nietknięty obraz przedstawiający Monę Lizę w kapeluszu, z brodą i pejsami. Cóż, jaka kultura, taki Warchoł...

Jedynym miejscem, które w całości ocalało od pożogi, była główna synagoga. Anioły pozostawiły ją celowo – jako symbol. To właśnie w tym przybytku Jezus rzucił kolejne wyzwanie zadufanym w sobie faryzeuszom i uczonym w Piśmie.

*Zburzcie tę świątynię, a ja w trzy dni ją odbuduję* – powiedział wtedy z taką pewnością, jaką może mieć tylko syn Boga. Dopiero długo później dotarło do wszystkich, że wcale nie chodziło mu o budynek, tylko o siebie samego i świątynię swojego ciała. Ale tak to już z tym Jezusem było. Nawet jego najbliżsi uczniowie przyznawali, że czasami wyrażał się bardzo zawile.

Na dachu świątyni stał archanioł Michał. W towarzystwie Rafaela i otoczony kilkoma wojownikami ze swojej najbliższej świty czekał na jedyne możliwe rozstrzygnięcie bitwy. Anielska przewaga była



miażdżąca.

– Jak polowanie? – Zapytał od niechcienia, mając na myśli łowy na tych wszystkich mitycznych, którzy jakimś cudem wyszli cało z pogromu. Właściwie w tym celu w ogóle tu przybyli. Spotkanie z pozbawionym głównego dowódcy legionem Lewiatana było jedynie smakowitym bonusem.

– Polowanie idzie znakomicie, wodzu – odparł cherubin Ragat, ten sam, który w małym miasteczku w Polsce pochwycił Darzboga. – Niedobitki szukały schronienia na pustyni, ale wykurzyliśmy ich deszczem siarki.

– Którego używamy wyłącznie do niszczenia miast, tak? – Zapytał Michał, choć sądząc po głosie, wcale nie wpadł w gniew.

Cherubin, nie do końca obeznany z poczuciem humoru wodza, cofnął się o krok i pochylił głowę.

– Tak, panie. Przepraszam.

Archanioł machnął ręką z lekceważeniem i podszedł do Rafaela.

– Jakież wieści od Gabriela? – Zapytał. – Znalazł Jenny?

Milczący skrzydlaty pokręcił głową. Nie wiadomo było, czy odpowiada na pierwsze, czy drugie pytanie. Znając Rafaela, mógł równocześnie odpowiadać na oba.

Michał westchnął.

– Pewnie tego zdrajcy Lokiego też nikt jeszcze nie znalazł?

Rafaël ponownie pokręcił głową. To była jedyna forma kontaktu, jaką utrzymywał z Wodzem Zastępów, odkąd ten częściej zaczął spoglądać w otchłań. O dziwo, zupełnie im obu wystarczała.

– Każ trzeciej linii ustawić się pod pierwszą, a czwartej nad nią – polecił po chwili wódz, zmieniając temat. Był już najwyższy czas na zakończenie tej podniebnej farsy.

Rafaël tym razem skinął głową na znak, że zrozumiał, i przymknął oczy. Po chwili anioły na niebie zmieniły szyk.

– Dobrze, teraz piąta prostopadle do pierwszego szeregu z lewej flanki, a szósta z prawej. Siódma niech domknie kwadrat. Linie osiem do dziesięć to samo od dołu, a jedenaście do trzynaście od góry.

Kolejne skinienie, zamknięcie oczu i sprawna zmiana szyku. Niedobitki Lewiatana zostały zamknięte w anielskim kominie.

– Cudownie! – Archanioł Michał dobył miecza i rozpałił głównię. – A teraz trochę ognia na palenisko i wykurzymy złego wilka.

Wzbił się w powietrze, a wraz z nim cała jego świta. Niewidoczni do tej pory, odpoczywający wśród ruin aniołowie zerwali się i natychmiast uformowali w powietrzu szyk za swoim wodzem. Na taką formację w poziomie mówiono *klin*. W pionie bardziej pasowała nazwa *naostrzony pal*.

W kwadrans później było już po bitwie.

## *Południowa Ćwiartka, Dolina*

Loki powiódł wzrokiem po towarzyszących mu Sidhe. Uznał, że skoro musi ruszać w bój, to zdecydowanie lepiej z takimi właśnie sojusznikami. Wojownicy wyszkoleni przez najlepszych mistrzów Dworu, a do tego zlaknieni walki i stęsknieni za światem oręża. Do tego z ich pomalowanych na niebiesko twarzy można było wyczytać, że doskonale zdają sobie sprawę, że idą na ciężki bój z równymi sobie. To dawało im przewagę nad żołdakami Oberona.

Podążali w milczeniu już od dobrego kwadransa, a przez szczeliny w niedbale zawiązanej płachcie dało się dostrzec drzewa rosnące po obu stronach piaszczystego traktu. Wjeżdżali w głąb Południowej Ćwiartki – na mapie oznaczonej niemal wyłącznie ciemną zielenią – i las gęstniał z każdą chwilą. Za dawnych czasów Oberon bardzo lubił tu polować...

Kłamca wzdygnął się na kolejną myśl pochodzącą od Cluny'ego. Teraz, odkąd wypoczął, nawiedzenia zdarzały się rzadziej, ale wciąż były mocno irytujące. Pociuszające było też to, że choć na chwilę zniknęły

dziwne sny, w których Loki był kimś jeszcze innym. Trzeciej osobowości dobijającej się do jego skołatanego mózgu już by nie zniósł.

*Pomyśleć, że chciałem tylko paru dni urlopu, by spędzić czas z dziewczyną – pozałił się w myślach. – Religia propagująca rodzinny styl życia? Jasne! Pieprzeni hipokryci!*

Westchnął i odchylił płachtę, by zerknąć na wóz jadący za nimi. Potem przeniósł wzrok na towarzyszy.

– Dobrze, bracia. Czas chyba powtórzyć plan – powiedział. – Na początek zaczniemy od...

– Nie tak, Cluny – Donnan wszedł mu w zdanie. – Przygotowaliśmy sobie wyliczankę.

– Wyliczankę?

– Właśnie tak! – Sidhe wyszczerzył zęby, a pozostali z wyraźnym ożywieniem pokiwali głowami. –

Wiesz, taki plan w pigułce, by łatwiej było zapamiętać. Jak za starych, dobrych czasów.

*No tak – pomyślał Kłamca. – Stare, dobre czasy. Jedyne miejsce na świecie, gdzie każdy był i każdy pamięta je zupełnie inaczej.*

– No to już – polecił. – Zobaczmy, ile warta jest ta wasza wyliczanka.

Donnan wyprostował się i wciąż z szerokim uśmiechem zaczął:

– Raz, dwa i wreszcie trzy...

– ...W krzaki wskakują Cass, Ailian i Brin – wyrecytowali pozostali monotonnymi głosami. Bez namysłu, jakby mieli te słowa wyryte po wewnętrznej stronie czaszki. Jedno wywrócenie oczu do góry i już czytali jak ze ściąg.

– Cztery, pięć, sześć i siedem...

– Carrick za skałą, a Darby za dębem...

Elf zerknął w stronę Lokiego, oczekując aprobaty, ale ten zachęcił go tylko gestem do kontynuowania.

*Za mało, by chwalić – mówiła jego mina. Sidhe wzruszył ramionami.*

– Gdy świst klingi Donnana da znak do ósemki...

– Strażnicy na czujkach polegą bez męki – wyrwał się największy z obecnych, zwalisty Darby. Fizycznie niczego mu nie brakowało, ale Kłamca miał wrażenie, że mentalnie elf zatrzymał się na poziomie sześciolatka i całą wyprawę traktował wyłącznie jako wielką przygodę. Grę terenową.

– Na dziewięć zacznie się przedstawienie – recytował dalej Donnan.

– Już Cluny z więźniami są na głównej scenie...

*O! – Pomyślał Kłamca. – Jest i zwrotka o mnie. Dziękuję, szacowna akademio...*

– Oberon z radością przyjmie od nas dar.

– I to jest właśnie dziesiątka czar! – Wykrzyknęli wszyscy, tym razem z prawdziwym entuzjazmem.

I jak na zawołanie, jakby okrzyk był sygnałem, wóz wjechał na wyboje. Długowłose Carrick siedzący tuż za woźnicą osunął się z ławki i upadł, omal nie wybijając swym rapierem oka Cassowi siedzącemu naprzeciwko.

Mało brakowało, a Donnan zmuszony byłby na poczekaniu zmieniać wierszyk.

Wreszcie wóz znowu wyjechał na prosty, w miarę gładki trakt, a niedługo potem zatrzymał się. Kłamca odchylił płachtę i kopnięciem odbił tylną listwę.

– Fajny macie ten wierszyk – pochwalił Donnana, gdy elfy jeden po drugim wyskakiwały z wozu. – Ale mam wrażenie, że czegoś w nim brakuje.

Sidhe uśmiechnął się raz jeszcze.

– Bo i nie słyszałeś ostatniej zwrotki.

– Jakiej?

– A gdy już na maszcie przyjdzie czas na zmianę, wywołać nam trzeba niezłe zamieszanie – wyrecytował Donnan i chwyciwszy za rapier, wyskoczył z wozu.



Obóz Oberona do złudzenia przypominał cyrk. Pośrodku wielkiej polany stał ogromny zielono-złoty namiot, okrągły u podstawy i z wysokim masztem w punkcie centralnym. Na jego szczycie powiewał strzęp oślej skóry – pamiątka po nieszczęśniku, w którym niegdyś za sprawą magii zadurzyła się królowa Tytania.

Owa skóra od wielu lat służyła władcy Doliny za bitewny sztandar, a on sam utrzymywał, że to wciąż jest ten sam krwawy ochłap, pamiątka po przypadkowym rywalu.

I jakoś nikt nie wątpił w słowa Oberona, choć strzęp zawsze wyglądał na świeży i nieodmiennie ociekał krwią.

Wokół głównego namiotu rozstawiono wozy z dzikimi zwierzętami – pupilami władcy – oraz prowizoryczneszubienice, na których rozwieszono zabalsamowane zwłoki. Oberon lubił ich widok, natomiast alergicznie wręcz nie znosił zapachu zgnilizny, więc jako substancji balsamujących używano perfumowanego łoju – galaretowata substancja wylewała się teraz ze szczelin w źle zaszytych ciałach, a także z każdego naturalnego otworu.

Dalej stały oczywiście długie i szerokie namioty stajnie wraz z prowizorycznym wybiegiem, a za nimi kilka ciasnych wojskowych *szmaciaków*. Nazywano je tak dlatego, bo jako jedyne namioty w Dolinie nie miały one magicznego impregnatu – żołnierzy przed deszczem chronił tylko parciany, łatwo przeciekający dach. Oberon zwykł mawiać, że to należycie hartuje charakter wojaka.

Obozu nie otaczała żadna palisada, nie było też bramy ani choćby posterunków. To właśnie najbardziej zdziwiło i zaniepokoiło Lokiego, który nie do końca wiedział, jak ma się w tej sytuacji zachować. W tym momencie naprawdę żałował, że odprawił woźnicę z drugiego wozu, decydując się na przyjazd w pojedynkę. No... We dwójkę, jeśli liczyć prawdziwego Cluny'ego wiezionego z tyłu.

– Raz się żyje – powiedział w końcu, sam nie wiedząc, który raz podczas tej krótkiej przecież wizyty w Dolinie. I po raz kolejny upomniał się w duchu, że stanowczo za dużo ryzykuje jak na tak słabą nagrodę. Szarpiąc za lejce, wymusił na sobie samym obietnicę, że gdy wróci, będzie ostro negocjował cenę życia Antychrysta.

Jechał powoli, ostrożnie rozglądając się na boki, ale napotykał tylko obojętne twarze sług Oberona, którzy krzatali się to tu, to tam i oporządzali zwierzęta. Najwyraźniej był tu spodziewany, bo zupełnie nikogo nie obchodził ani wóz, ani jego woźnica. Nawet wałęsający się wojacy pokazywali mu tylko, że ma jechać dalej. Prosty gest, bez patrzenia.

*Dla nich wystarczyłaby iluzja Cluny'ego* – pomyślał Kłamca. – *Nie musiałbym się tak katować w nowym ciele.*

Denerwowało go to tym bardziej, że obca częśćka jego osobowości zabrała się właśnie do recytowania głównych prawd wiary w Naturę. To było jak radiowy szlagier, który przylepia się do mózgu i szarpie za fałdy, każąc, by go powtarzać w kółko i w kółko. Gorzej nawet. Nie zwykły szlagier, a sakro-song wiccanina...

Wreszcie dotarł na placyk pod samym wejściem do namiotu. I dopiero wtedy doczekał się jakiegokolwiek zainteresowania.

– Kim jesteś? – Zapytała niezwyklej urody Sidhe o długich blond włosach splecionych w gruby warkocz, oczach podkreślonych węglem i obfitych piersiach wylewających się spod przyciasnego gorsetu.

*Elfy, jeśli chcą, czytają w myślach nie gorzej niż aniołowie* – napomniał się Kłamca. Nigdy nie dowiedział się, czy to prawda, czy tylko mit, ale teraz nie był właściwy moment, by to sprawdzać. Potrząsnął głową i skupił się na swoim obcym ja.

– Jestem Cluny, przywódca Społeczności wyznawców Natu...

– Cluny? – Wyraz znudzenia na twarzy elfki ustąpił miejsca rozbawieniu. – To naprawdę ty?

Loki przewrócił oczami. *No pięknie, kurwa...*

– Tak, to ja, w rzeczy samej – potwierdził, zdejmując kapelusz i przeczesując włosy lewą ręką. – Niestety podczas poprzednich zbiorów słońce przypaliło mnie tak mocno, że dostałem udaru i moja pamięć...

Nie dokończył, gdyż dziewczyna nagle podciągnęła skórzaną spódnicę, pokazując mu wewnętrzną stronę uda. Widniało tam czerwone znamię wielkości monety.

– Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz tego, stary zbereźniku? – Zaśmiała się. Wyglądało na to, że całkiem nieźle pamiętała okoliczności powstania znamienia. Loki też uśmiechnął się mimowolnie, zdając sobie nagle sprawę, że odczuwa cień sympatii do Sidhe, którego ciało przybrał. To jednak w żaden sposób nie pomagało mu w kłopotliwej sytuacji, w jakiej się właśnie znalazł.

*Może teraz byś się odezwał, głupi wewnętrzny sukinsynu? – Pomyślał. – Ta przeklęta druga osobowość, nigdy nie ma jej, gdy naprawdę jest potrzebna.*

– Wybacz, ale, niestety, również nie – powiedział w końcu, wzruszając ramionami. Zaraz jednak dodał: – Ale gdybyś miała chwilę odświeżyć mi pamięć...

– To co zrobisz, pozbawiony jaj pieszczochu Natury?! – Dobiegł go niski, tubalny głos od strony wejścia do namiotu. Brzmiał groźnie nawet mimo pobrzmiwającego w nim rozbawienia. A może to właśnie ów miedziak wesołości sprawił, że włoski na karku Lokiego uniosły się, a ciekący mu po plecach pot nagle zastygł w małe sople. Bo przecież nietrudno zgadnąć, co bawi faceta, który jako sztandaru używa krwawego ochłapu skóry, a wypełnionych pachnidłami zwłok – jako odpowiednika wywaru z melisy.

*No to się zaczyna – westchnął w duchu Loki, odwracając powoli głowę. – Czas sprawdzić, czy spełni się dziesiątka z wyliczanki Donnana. Jak to było? „Oberon z radości przyjmie od nas dar i to jest właśnie dziesiątka czar!” Cóż, zaraz się okaże nie tylko, czy z radością, ale czy w ogóle.*

– Witaj, Oberonie, władco Doliny – rzekł zgięty w niskim ukłonie. Nawet za niskim jak na dworzanina i szlachcica, ale przecież Cluny już od dawna nim nie był. Skończyły się dla niego czasy robienia malinek na udach dworskich ślicznotek. Teraz był tylko wiejskim frajerem... A tacy muszą kłaniać się w pas. – Cieszę się, że znajduję cię w zdrowiu.

Oberon wyszedł z cienia namiotu i stanął w pełnym słońcu, łapiąc się pod boki. Był postawnym, by nie powiedzieć zwalistym mężczyzną o bujnej rudej brodzie i równie ognistych włosach splecionych w co najmniej setkę drobnych warkoczyków. Bardzo przypominał nordyckich Asów – Loki pamiętał, że jak władca Doliny stanął kiedyś ramię w ramię z Thorem, byli niemal równi, tak wzdłuż, jak i wszerz. Dopiero po chwili można było dostrzec podobieństwo do innych Sidhe.

Przed wszystkim pod zapuszczoną wbrew Naturze, w magiczny sposób brodą ukrywał pociągłą, delikatną elfią twarz. Gdyby nie obfity zarost, zupełnie by nie pasowała do potężnego ciała, a tak przynajmniej na pierwszy rzut oka wyglądała dość męsko.

Z dłońmi nie dało się już jednak zrobić za wiele. W chłodniejsze dni Oberon nosił rękawice, które pogrubiały jego smukłe, długie palce – marzenie każdego pianisty. W dniach tak skwarnych jak ten mógł tylko starać się jak najczęściej chować je za plecami.

Loki na wszelki wypadek przygryzł policzek od środka, by powstrzymać choćby cień uśmiechu. Ponownie zgiął się w pas.

– Zeszłego wieczora zaszczycił nas swą obecnością Puk, twój posłaniec, głosząc radosną nowinę, że zamierzasz nas dziś odwiedzić, Panie.

Obok siebie usłyszał prychnięcie i kątem oka zauważył, że śliczna Sidhe wygina pogardliwie wargi. Mina Oberona też raczej nie wyrażała aprobaty.

– Słodycz w nadmiarze to rzecz obojętna, Cluny – rzekł władca Doliny. – Kiedyś twoje towarzystwo więcej dawało mi radości.

*Ale od tamtej pory Cluny przysiągł wstrzeźliwość, przerośnięty hermafrodyto – pomyślał Kłamca, kolejny raz walcząc z rozbawieniem. Wyprostował się i przejechał ręką po krzyżach.*

– Wybacz zatem, Oberonie, że chciałem ci sprawić radość, przymilając się jak reszta twojego Dworu – powiedział już śmieiej. – Dawno mnie tam nie było, ale założyłem, że w swym urządzeniu zrobili oni postępy. Jak widać, przeceniłem nieco ich zdolności.

Władca zamrugał kilkakrotnie, po czym powiódł wzrokiem po placu, najwyraźniej sprawdzając, jak wiele osób mogło słyszeć śmiałe słowa Lokiego. Wreszcie odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

– I widzisz, Cluny?! – Zawołał wreszcie. – Takiego cię właśnie zapamiętałem. Nadętego, cwane go suczego syna.

Człowieka wady ryjemy na spiżu, na wodzie spisujemy jego cnoty, Oberonie – wyrecytował Kłamca. Powoli kończyły mu się cytaty zapamiętane z telewizyjnych adaptacji Szekspira zrealizowanych niegdyś przez BBC. Cóż, obejrzał je tylko dzięki Michałowi, a dokładniej, zadaniom wymagającym całych dni wyczekiwania. Teraz poczuł do archanioła nutkę wdzięczności.

– Ależ ja wcale nie uważam, by to była wada. – Oberon postąpił krok do przodu i ręką wskazał wewnątrz swojego namiotu. – Rozbawiłeś mnie, Cluny, a o to niełatwo ostatnio. Wstąp zatem w me progi i napij się

ze mną, a służba niech zajmie się wyładunkiem twych darów.

Loki skinął głową.

– Dobrze, Oberonie. Jest jednak jeden prezent, który pragnę dać ci osobiście. – Odczekał chwilę, dając władcy czas, by ten zapytał, o co chodzi. W końcu jednak dał za wygraną. – Przywiozłem ci, panie, najbardziej znienawidzonego z Asów. Tego, za którym w ramach zakładu wypuściłeś swe ogary, a on je zwiódł i wykończył jednego po drugim. Tego, który zadrwił z ciebie w twej własnej łóżnicy, dogadzając królowej tak, że długo nie chciała na ciebie patrzeć. Tego wreszcie, który...

– Dość! – Twarz Oberona na krótką chwilę zrobiła się bardziej czerwona niż jego broda. Zaraz jednak zdołał nad sobą zapanować. Zmusił się nawet do lekkiego uśmiechu. – Masz tam Lokiego, Cluny?

– Tak, panie. Jego właśnie – odparł Kłamca.

A potem, stojąc tam i patrząc na władcę Sidhe, szybko prześledził całą swoją drogę od lotniska w Dublinie aż do tego miejsca. Cenę, jaką musiał zapłacić, by się tu znaleźć. Cały ból, jakiego doświadczył, spadając z tęczy, i ukłucia strachu, gdy uświadamiał sobie, że właśnie popełnił gafę w swej wielkiej improwizacji. Dla tego jednego momentu było jednak warto. Bo mina Oberona przekonanego, że właśnie zwyciężył, a równocześnie własna świadomość, że jest dokładnie odwrotnie, dawała Lokiemu niewyobrażalną wręcz satysfakcję.

## Paryż

– Do północy?! – Pan Pleurdeau złapał się za resztki włosów i w takiej pozie zaczął chodzić nerwowo w kółko. – *Sacrebleu!* W takim czasie to możemy nie zdążyć opuścić naszej dzielnicy. A co dopiero mówić o mieście!

Siedzieli teraz w galerii Jeana Baptiste, jedząc maślane ciasteczka – wszyscy mieszkańcy kamienicy z wyjątkiem Javiera, który bohatercko zgodził się objąć pierwszą wartę na dole, i madame Bixby pragnącej dotrzymać mu towarzystwa.

– I w ogóle co to znaczy, że przemówił do pani anioł?! Taki prawdziwy? Ze skrzydłami?

– Tak. – Jenny uśmiechnęła się. – Przybył i powiedział, że skoro jest Apokalipsa, to barbarzyństwem będzie rodzić dzieci, i zamienił nasze maleństwo w to...

Wyciągnęła spod bluzki poduszkę i położyła ją przed sobą na podłodze.

Tak jak się spodziewała, ów gest sprawił, że gospodarzowi odebrało mowę. Nie na długo, ale wystarczająco, by reszta mogła spokojnie pomyśleć, co powinni teraz zrobić.

– Dachami? – Zapropozował Anton.

– Nie damy rady – odparł Eros. – Wiele jest spadzistych, a do tego przecież nie wszystkie są połączone. Wątpię, byśmy... Coś się stało, panie Gericault?

Artysta nie odpowiedział. Przeszedł przez całą galerię, po czym zatrzymał się przy jednej z antyram i sięgnął po zawieszony na szyi klucz. Coś zgrzytnęło, ściana otworzyła się niczym dwuskrzydłe wrota i wszyscy zobaczyli wielki obraz.

Przedstawiał małeńki domek u podnóża rozciągniętej wzdłuż stoku winnicy. Była to niska, jednopiętrowa budowla kryta czerwoną dachówką, z bluszczem porastającym jedną ze ścian. Nieco dalej, na kolejnym wzniesieniu, kwitł sad – gałęzie upstrzone białymi kwiatami wyglądały jak pokryte śniegiem.

Widać było ślady niedawnej burzy – kałuże skrzące się w słońcu, połyskujące kroplami liście winorośli, w sadzie kilka połamanych gałęzi. Ścianę wolną od bluszczu znaczyły ciemne zacieki. A wszystko zostało oddane tak realistycznie, że wyglądało bardziej jak fototapeta niż obraz.

– Pamięta pan, panie Ros, jak mówiłem, że artysta nie powinien dziwić się niczemu? – Zapytał Jean Baptiste, odwracając głowę i spoglądając na Erosa. – Przekonałem się o tym, gdy namalowałem to.

Przez chwilę wodził ręką po płótnie.

– Namalowałem go przy użyciu barwników i pędzli odziedziczonych po moim sławnym przodku, gdy

jeszcze myślałem, że moim przeznaczeniem jest być malarzem. Podobno to właśnie nimi namalował kiedyś „Tratwę Meduzy”, a także nigdy nieodnaleziony portret starzejącego się mężczyzny.

Bóg miłości nie bardzo rozumiał, dlaczego artyście akurat teraz zebrało się na wspominki. Może to lek przed śmiercią w zapomnieniu? Albo uznał, że skoro świat umrze razem z nim, to nie ma co liczyć na docenienie przez przyszłe pokolenia, i łapie się za to, co może mieć teraz? Mimo wszystko Eros jednak wstał i podszedł przyjrzeć się dziełu.

– To bardzo ładny obraz, panie Gericault – stwierdził, również dotykając płótna. – Z pewnością przodek mógłby być z pana...

I nagle zamilkł, mrużąc oczy. Cofnął dłoń i oparł ją w innym miejscu. Delikatnie, ledwie dotykając koniuszkami palców...

– Słuchajcie! Mamy tu poważny problem, prawda? – Zawołał pan Babeuf. – Moglibyście wrócić do nas, a nie zajmować się bohomazami?

Ale ani Eros, ani Jean Baptiste nie zwracali teraz na staruszką najmniejszej uwagi. Patrzyli na siebie – pierwszy ze szczerym zdumieniem, a drugi z uśmiechem człowieka, który właśnie informuje ludzkość, że wczoraj przed południem ot tak sobie wynalazł lekarstwo na raka, HIV i zapchaną komunikację miejską.

– To naprawdę jest... – Zaczął Eros, ale przerwał, nie wiedząc, jak skończyć to zdanie.

– Portal do innego miejsca? – Dokończył za niego malarz. – Tak, chyba tak. Niestety, nie wiem, co to za miejsce. Nigdy nie odważyłem się przejść na drugą stronę. Jakoś nie do końca dowierzam własnym dziełom.

Eros raz jeszcze położył dłoń na obrazie i powoli, ale stanowczo nacisnął. Jego ręka bez trudu weszła w płótno, nie niszcząc go ani nie dziurawiąc. Znalazła się po drugiej stronie.

– Chodźcie tutaj! – Zawołał. – Chodźcie wszyscy. Chyba mamy rozwiązanie naszego problemu.

Wyciągnął dłoń, poczekał, aż wszyscy podejną, i wsadził ją tam na nowo. Pomachał palcami, które teraz – na pierwszym planie obrazu – wyglądały niby tak samo, a jednak inaczej. Widać było na nich drobne pociągnięcia pędzla eksponujące szczegóły i nierówności farby.

Pewnie gdyby pokazał taką sztuczkę jeszcze kilka dni temu, zgromadzeni wkoło widzowie zareagowaliby zaskoczeniem albo nawet lękiem. No i bez wątpienia pan Pleurdeau kazałby się artyście wynosić, nie czekając na koniec miesiąca. Nie życzyłby sobie w swojej kamienicy żadnych cudów, podobnie jak pijaków, oszustów i prasy. Teraz jednak gospodarz domu milczał, za to odezwał się niespodziewanie pan Babeuf:

– Jak znam mojego pecha, jako namalowany będę miał w sobie za dużo niebieskiego.

Jean Baptiste uśmiechnął się i spojrzał na zegarek.

– Słuchajcie, jest dopiero piąta po południu. Może zanim przejdziemy, zjemy sobie porządną paryską kolację? Kto wie jak będzie smakować malowane jedzenie, prawda?



Okolo dziesiątej wszystko było już gotowe. Każdy z mieszkańców kamienicy miał ze sobą torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami i część wspólnej walówki. Ponadto Eros i Jean Baptiste rozdzielili między siebie latarki, zapasowe baterie, butlę z gazem i skrzynkę z narzędziami. Tak przygotowani ustawili się przed obrazem.

– Zabezpieczyliście drzwi? – Zapytała Jenny, łapiąc Erosa za rękę. Musiała się bardzo bać, bo taki gest nijakdo niej nie pasował. Bóg miłości ścisnął jej dłoń i posłał dziewczynie pocieszający uśmiech.

– Wszystkie jest pod kontrolą, nie martw się – powiedział. – Przez najbliższe dwie godziny żaden zombi tu nie wejdzie. A potem...

Nie musiał kończyć. Wszyscy wiedzieli, co będzie potem.

– No to co? – Zapytał pan Babeuf, biorąc żonę pod rękę i oglądając się na madame Bixby stojącą obok w otoczeniu swych chłopców. – Idziemy?

Nie czekając na odpowiedź, państwo Babeuf ruszyli przed siebie i pierwsi wstąpili w obraz.

– Rzeczywiście, za dużo niebieskiego – stwierdził Jean Baptiste. Wszedł trzeci, a w ślad za nim podążył

miłosny czworokąt.

Jenny patrzyła, jak namalowane sobowtóry sąsiadów idą w stronę chatki przez sięgającą ud trawę, a potem powoli przeniosła wzrok na Erosa.

– Jeśli to inny świat, Loki już mnie nie znajdzie – stwierdziła.

Bóg miłości pokręcił głową.

– Jeśli to inny świat, znajdzie cię tym łatwiej. Chodźmy!

Ruszył do przodu, ciągnąc dziewczynę za sobą. Na moment przejścia oboje zamknęli oczy...

## *Pustynia, Australia*

Nad zwęglonymi kikutami drzew, które pozostały po pożarze buszu, powoli przesypywał się wędrujący piasek. Ojciec czternastoletniego Toma Kelly’ego powiadał – tak dawno temu! – Że niektórzy są właśnie jak te ziarenka: pozornie w jednym miejscu, a jednak w ciągłym ruchu, niesione wiatrem. Mówiąc to, miał na myśli właśnie Toma.

Teraz chłopiec siedział z kolanami podciągniętymi pod brodę i z nudów obserwował a to wędrowną piasku, a to marszczoną wiatrem taflę wypełnionego wodą dołu. To właśnie nad taką dziurą siedział włóczęga z ludowej australijskiej pieśni „Waltzing Mathilda”. Tom bez trudu przypomniał sobie słowa i zaczął nucić:

*Raz włóczęga wesół obok stawu sobie siadł*

*W cieniu, gdzie rośnie drzew szeroki liść.*

*Siedział tak i czekał, aż w puszcze woda zacznie wrzeć.*

*Kto zechce ze mną wyruszyć już dziś?*<sup>[10]</sup>

Nagle przerwał i zadarł głowę do góry. Niebo nad nim w jednej chwili pociemniało, a zaraz potem zerwał się wiatr tak mocny, że omal nie zwiął chłopcu kapelusza. Uwiązane do ronda korki na sznurkach – chroniące przed wszechobecnymi szukającymi wilgoci muchami – raz za razem tłukły teraz Toma po twarzy.

Tymczasem chmura zaciemniająca niebo zbliżała się coraz bardziej i można już było dostrzec, że to wcale nie żadna chmura, a tabuny, legiony skrzydlatych istot, w większości paskudnych jak teksańskie kazirodztwo. Frunęły w zwartym szyku, który zdawał się nie mieć końca – ani gdy patrzyło się w stronę horyzontu, ani gdyby szukać końca jednego szeregu.

– Niezłe, prawda, koleś? – Spytał ktoś za plecami Toma.

Kelly odwrócił się błyskawicznie i zobaczył chłopca niewiele starszego od siebie, ubranego niemal identycznie jak on, w szarą koszulkę, szerokie spodnie i kapelusz z korkami. Nowo przybyły stał z nogą opartą na wielkiej podłużnej skrzyni przypominającej wielkością trumnę.

– Myślę sobie, że powinieneś ściągnąć tu rodzinę i w ogóle wszystkich, bo to będzie niezapomniany widok – powiedział obcy chłopak i roześmiał się, odchylając głowę do tyłu. – W myślach nazywam go bitwą o ostatni brzeg.

Tom przełknął ślinę. Obejrzał się przez ramię, spoglądając na sunącą ku niemu armię. Była już tak blisko, że dało się słyszeć trzepot błoniastych skrzydeł. Z tej odległości chłopiec mógł dojrzeć wykrzywione nienawiścią rogate pyski, a także kły połyskujące bielą i żółcią w blasku australijskiego słońca. Wzdrygnął się i ponownie spojrzął na nowo przybyłego.

– Kim jesteś? – Zapytał drżącym głosem. Na próżno próbował przekonać samego siebie, że się nie boi. Ojciec tyle go przecież przestrzegał przed błędzącymi po pustyni aborygeńskimi duchami. To mogły być właśnie one. Albo Tom tracił zmysły.

Drugi chłopiec zdjął nogę ze skrzyni i podszedł, wyciągając rękę.

– Kurde, zapomniałem się przedstawić – rzucił wesoło. – Jestem Teddy. Po-prostu Teddy.

– Tom. – Kelly ucisnęła podaną dłoń.

– Fajnie, Tom. Chcesz pić?

Po-prostu Teddy odwrócił się na pięcie, minął skrzynię i wyciągnął zza niej przenośną lodówkę. W środku leżały obłożone lodem puszki coli. Wyciągnął dwie i jedną rzucił Kelly’emu. Następnie rozsiadł się na skrzyni, odsunął kapelusz na tył głowy, po czym z sykiem otworzył swoją puszkę. Po dłoni ściekła mu odrobinka piany.

– To teraz pozostaje nam tylko poczekać na anioły. A potem chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Co takiego? – Tom wciąż jeszcze czuł strach, ale już mniejszy niż wcześniej. Na tyle mniejszy, że zapanował nad drzeniem głosu i ciągłym oglądaniem się za siebie, czy nie zachodzą go od tyłu jakieś stwory.

– Będziesz sobie tu siedział i oglądał największe widowisko świata całkowicie nietykalny i bezpieczny, a gdy przyjdzie właściwy moment, otworzysz to pudło. – Po-prostu Teddy uśmiechnął się i poklepał otwartą ręką w skrzynię, na której siedział. – Można powiedzieć, że jesteś wybrańcem, Tomie Kelly.

Za plecami chłopców przy akompaniamencie jęków, skrzeków i porykiwań piekielna armia właśnie szykowała się do lądowania.



### Południowa Ćwiartka, Dolina



nętrze namiotu przywodziło na myśl rekwizytornię wielkiego teatru. Pełno tam było składanych mebli stylizowanych na antyki, tarcz i mieczy rozmieszczonych niemal losowo w różnych miejscach, obrazów i bibelotów rozłożonych na skórzanych blatach komód i stolików. Wokół przy ścianach ciągnęły się regały pełne książek, czy też raczej – co Loki zauważył po chwili – skórzanych okładek. Musiała na nie oddziaływać magia, ponieważ regały tylko do pewnej wysokości wznosiły się pionowo ku górze, a potem tak jak ściany namiotu pod kątem skupiały się ku wierzchołkowi. Pośrodku wznosił się maszt, na którym powiewał ochłap sztandaru. W dół natomiast opadał gruby złoty łańcuch ze zwisającym z niego kościanym żyrandolem. Gdyby Oberon żył na ziemi, z całą pewnością uchodziłby za stukniętego gadzeczarza.

Kłamca przechadzał się po wnętrzu namiotu, ściskając w dłoni kieliszek wypełniony do połowy złocistoczerwonym płynem. Tymczasem Oberon zajęty był wyłącznie swoją nową, leżącą na noszach zabawką. Co jakiś czas Loki pochylał się nad którąś z wystawek albo przystawał obok obrazu. Od niechcenia dotykał odsłoniętych ostrzy zabytkowej broni, lecz ani razu jednak nie odważył się złapać za rękojeść. To mogłoby zostać odebrane jako chęć ataku i tak potraktowane. A przecież nie o to chodziło...

– O, a cóż to takiego, panie? – Zapytał w pewnym momencie, pochylając się nad gablotką, w której pod magiczną barierą leżał elegancko zdobiony, grawerowany IMG Jericho. Kłamca nie musiał udawać, naprawdę zdumiała go obecność broni palnej w magicznej krainie Doliny. Do tego właśnie tego konkretnego modelu – wcale nie aż tak popularnego w ludzkim świecie.

Oberon odłożył trzymany w ręku zakrzywiony skalpel, wytarł ręce w przewieszony przez ramię jedwabny szal i pstryknięciem palców zdjął ze skatowanego Cluny’ego zaklęcie milczenia. Rzucił je, jeszcze zanim zabrał się do tortur, bo – jak wyjaśnił – aplauz w trakcie przedstawienia zabija prawdziwą sztukę.

Sidhe, który do tej pory groteskowo przewracał oczami i wykrzywiał usta niczym Bela Lugosi z niemego „Drakuli” – teraz zacharczał potwornie i kilka razy jęknął. Wreszcie zmęczony wysiłkiem i bólem opuścił uniesioną głowę i zamknął oczy, dysząc tylko ciężko.

– To, Cluny, wedle moich informatorów ze świata ludzi, dokładna kopia zabawki, jakiej obecny tu Loki używał ostatnio w tamtym świecie. Pomyślałem sobie, że jeśli jeszcze kiedyś ten przeklęty drań odwiedzi moją Dolinę, to zginie właśnie z takiej broni.

Podszedł do stoliczka, gestem zdjął barierę i wyciągnął pistolet. Zważył go na otwartej dłoni, po czym obrócił i podał broń Kłamcy.

– Oczywiście mieliśmy przejściowe problemy. W Dolinie na przykład nie działa proch. Ale od czego ma się rodzinę?

– Przerobili ci, panie, pistolet na zapalniczkę? – Zapytał Loki, uważnie przyglądając się broni. Wyglądała na sprawną, ale pewność można mieć przecież dopiero po strzale. Są sytuacje, w których nie ma szans na poprawki.

– Aż dziw, Cluny, że wiesz, co to zapalniczka. – Oberon uśmiechnął się. – Nie, nie przerobili pistoletu. Za to znaleźli w jednej z równoległych krain coś, co ma tutaj właściwości prochu. Mój pasierb zrobił mi kilka pocisków w ramach prezentu urodzinowego. Działają bez zarzutu.

– To cudownie, panie! – Wykrzyknął Kłamca z radością, i to wcale nie udawaną. Niby przez pomyłkę wysunął magazynek, sprawdzając, czy prezenty znajdują się na swoim miejscu, wbił go drugą ręką i z wprawą odciągnął zamek. A potem błyskawicznie uniósł broń i strzelił Oberonowi prosto między oczy.

Trysnęła krew. Władca Doliny zatoczył się, przewrócił oczami i zastygł z zezem, jakby chciał zobaczyć

nowy otwór w głowie. Wreszcie ryknął przeciągle i runął na ozdobne blaty, niszcząc je własnym ciężarem.

*No i po kolekcji* – pomyślał Loki. – *Jak za starych, dobrych czasów, gdy władców chowano z ich dobytkiem.*

Odwrócił się na pięcie i oddał kolejny strzał, tym razem w stronę Cluny'ego. Był mu to winien.

Cztery uderzenia serca później do namiotu wpadła spotkana wcześniej elfka, a za nią dwóch gwardzistów...

## Wybrzeża Skandynawii

Mary Ann Garrety nie miała żalu do nikogo. Wręcz przeciwnie, była wdzięczna Bogu, że jej życie do tego momentu potoczyło się właśnie tak, jak się potoczyło. Burzliwie, malowniczo... I kontrowersyjnie.

Zabawne, ale jeszcze niespełna miesiąc temu myślała o nim zupełnie inaczej. Jak o nieszczęściu, jak o równi pochyłej, po której staczała się coraz szybciej każdego dnia, jak o wyjątkowo dokuczliwym kacu po naprawdę hucznej imprezie. Słowem – beznadzieja... A potem odnalazła sens życia.

Stała teraz na wzgórzu – łagodnym wzniesieniu, które nagle przechodziło w poszarpaną skarpe, jakby ktoś je przeciął wyjątkowo tępy i postrzępionym nożem – wsparta o rosnące obok drzewko i z zachwytem patrzyła na ocean. Czekala, aż mężczyzna, który ją tu przywiózł, przygotuje wszystko do pikniku.

Eryk, bo tak miał na imię jej obecny adorator, był niezwykle uprzejmym Szwedem o wysuniętej kwadratowej szczęce, przez co ilekroć otworzył usta, przypominał komodę z wysuniętą szufladą. Miał miły, głęboki głos, pogodne oczy, a włosy nietypowo tutaj ciemne. Ale jej się podobały – od czasu spotkania z Lokstarem Val Hallenem miała dość blondynów. Eryk zaczesywał fryzurę zawiadacko na bok i do góry. Jej ojciec nazywał to fryzurą na Piotrusia Pana i mówił, że tak czeszą się wieczeni chłopcy. To odpowiadało Mary Ann. Dość miała facetów przekonanych o tym, jacy oni dorośli.

– Już prawie gotowe, moja piękna – powiedział Eryk, wbijając w ziemię drewniany kołek do mocowania koca. Uśmiechnął się do Mary Ann, a ona odpowiedziała uśmiechem.

Kiedyś nawet nie zwróciłyby uwagi na tego Szweda. Był czas, gdy mężczyźni pełzali u jej stóp, nosili ją na rękach, a nawet wykupywali w kablówce kanał z modą, byleby tylko móc patrzeć, jak porusza się na wybiegu. Numer „Cosmopolitana” z nią na okładce zaowocował serią zamówień na prenumeratę pisma z platform wiertniczych, wojskowych jednostek, a nawet jednego klasztoru klauzulowego. A potem w jej życiu pojawił się Lokstar Val Hallen.

Pamiętała, że z początku było nawet przyjemnie – rejs jachtem, urocza kolacja, gorąca noc w hotelu. Co było potem, nie pamiętała. Zupełnie jakby ktoś wyciął jej z pamięci jeden dzień. Albo naszprycował prochami.

To z gazet – kolorowych tabloidów, które wyniosły ją na wyżyny sławy – dowiedziała się, że owej nocy była na charytatywnym bankiecie w towarzystwie jakiegoś Włocha. Prasa podała, że bawiła się świetnie, z zainteresowaniem oglądała wystawione dzieła, a potem nawet uwiodła milionera, ten zaś stracił głowę i kupił jej jakiś obraz. Pamiętała, że czytając ów tekst, westchnęła z ulgą – bała się, że może po pijaku narobiła jakichś głupot, które nie przystoją topowej modelce. Ale najwyraźniej wszystko było w porządku.

To, co najgorsze, przyszło później z najmniej spodziewanej strony. Najpierw kilku fotografów odwołało umówione sesje zdjęciowe. Zaraz potem ulubiony projektant poinformował ją, że niestety, nie będzie miał nic na nią w najnowszej kolekcji.

– Eksperymentuję z troszkę innym formatem, słodziutka. Tak jednorazowo – rzucił wtedy z uśmiechem, uspokajająco, ale widać było w jego oczach, że zwyczajnie głupio mu podać prawdziwy powód. Mary Ann musiała czekać jeszcze tydzień, by go poznać.

Od strony oceanu powiało chłodnym, wilgotnym powietrzem. Splotła ręce na piersi i ponownie spojrzała na Eryka, który właśnie kończył rozkładanie przenośnego grilla. Urządzenie było maleńkie i do złudzenia przypominało suszarkę na pranie. Do tego nie wyglądało na szczególnie funkcjonalne – zdolne

pomieścić ledwie dwa małe szaszłyki bądź średniej wielkości karczek – ale na okoliczność tego pikniku wydawało się w sam raz. W końcu nie o jedzenie mu chodziło.

– Wszystko już gotowe, piękna. Podejdiesz?

– Jeszcze chwileczkę, Eryku. Moment. Zaciągnęła się słonym powietrzem i na chwilę przymknęła oczy. *Tu nareszcie mogę być sobą* – pomyślała. – *A nie potworem, jakim stworzyły mnie media.*

To była jeszcze jedna – prócz uprzejmości – zaleta Eryka. Mieszkał na odludziu i nie czytał gazet. Dzięki temu nie wiedział nic o słynnym na cały świat wyznaniu pana Frotenbauera.

„Nie wiedziałem, że jest transseksualistą” – tak brzmiał tytuł artykułu i zarazem początek wyznania niegdyś miliardera i bywalca salonów, a obecnie bankruta szukającego w prasie łatwego pieniądza. To właśnie Frotenbauer wygrał dla Mary Ann aukcję z obrazem, za co – jak utrzymywał – zrewanżowała mu się, zdradzając swoją wielką tajemnicę.

*Długo się gryzłem* – mówił potem do reportera – *że może nie powinienem ujawniać tego faktu, ale potem pomyślałem o tych wszystkich mężczyznach rozkochanych w pannie Garrety i zrobiło mi się ich żal. Uznałem, że powinni poznać prawdę.*

Jak dowiedziała się pokątnie Mary Ann, ów dobry uczynek pozwolił Frotenbauerowi zacząć życie na nowo. Już nie tak wystawne jak kiedyś, ale wciąż całkiem wygodne i beztroskie. Z początku bardzo jej to przeszkadzało. Potem przeniosła swą złość na, jej zdaniem, prawdziwego sprawcę zamieszania – tego cholernego muzyka, Lokstara Val Hallena.

Teraz była już prawie pewna, że działał na zlecenie zazdrosnych konkurentek. Kto wie, może zaproponowały mu jakiś wspólny duży numer? Wiedziała, że wiele dziewcząt w tym zawodzie, mówiąc delikatnie, nie poświęcało swemu wewnętrznemu pięknu nawet promila czasu, jaki spędzały na poprawianiu urody. Używając innych słów, prowadziły się lżej niż dowolny model Porsche.

Mary Ann długo marzyła o zemście. Zainwestowała wiele energii i oszczędności, podrywała gangsterów, licząc, że jej pomogą, uczyła się sztuk walki i strzelania... Wszystko na nic. Muzyk pojawiał się i znikał tak nieoczekiwanie, aż straciła nadzieję, że kiedykolwiek uda jej się go dorwać. Wtedy to właśnie przeżyła mały kryzys.

Wyciągnął ją z niego dopiero jej dawny przyjaciel. Widząc, jak dziewczyna się stacza, przyszedł do niej i zaoferował jej to, co sam miał najlepszego – wiarę i gorliwość neofity Kościoła Boskiego Impresariatu, do którego niedawno przystąpił.

*On odmieni twoje życie* – powiedział ów przyjaciel do Mary Ann, zachęcając modelkę, by przyszyła na spotkanie. – *Sprawi, że spojrzysz na świat w innym świetle.*

I tak rzeczywiście się stało.



Zanim Mary Ann trafiła na pierwsze spotkanie, dowiedziała się o Kościele Boskiego Impresariatu paru rzeczy.

Jego pomysłodawcą, odkrywcą, pierwszym objawionym i głównym guru był niejaki Hawthorne Collins – amerykański pisarz humorysta, autor takich książek, jak „Przepraszam, panie Czarnuch”, a także „Bóg ma zaszczyt przedstawić państwu...” Właśnie w tej ostatniej publikacji – chcąc zadrwić z telewizyjnych kaznodziejów – Collins wykreował postać Boga agenta planującego szczegółowo kariery swoich wybranych podopiecznych. Każdy epizod ich życia, miły czy nie, miał miejsce po to, by potem ładnie wyglądać w sprzedającej się w milionach egzemplarzy biografii. Rajem i końcem drogi było życie z procentów od nakładu...

Ale jak to w Ameryce, to, co z początku było jedynie żartem, kpina, dość szybko przerodziło się w poważną sprawę. Wystarczyło kilku pijanych swym bogactwem aktorów, którzy niezależnie od siebie dostrzegli w karykaturalnym obrazku Collinsa obraz swojego życia.

*Święty Ehisie! To o mnie!* – Zakrzyknęli jeden z drugim, doznając objawienia, jak ten Szaweł porażony światłem Boskiej chwały. A potem wszyscy niemal równocześnie zaczęli się rozglądać za autorem książki, któremu mogliby wręczyć góry pieniędzy, aby został ich prorokiem, przewodnikiem... Guru. Tak właśnie

powstał Kościół Boskiego Impresariatu.

Nie była to szczególnie wielka organizacja, za to bogata ponad wyobrażenie. Nieprzypadkowo, bo wyznawcami mogli zostać jedynie ludzie piękni, sławni albo bogaci. Zaś kombinacja tych cech świadczyła o wyjątkowej przychylności niebiańskiego agenta.

Mary Ann wkręciła się bez trudu i zdaniem guru Collinsa rokowała całkiem duże nadzieje. Wciąż jeszcze była piękna, niezaprzeczalnie też była sławna... A sądząc po tym, co miało już niebawem znaleźć się w jej autobiografii, bogactwo było tylko kwestią czasu.



Eryk wreszcie uporał się ze wszystkim, stanął za Mary Ann i objął ją swymi muskularnymi ramionami. Brodę oparł na czubku jej głowy.

– Widzisz tamte rozbłyski na niebie? – Zapytał, wskazując na migoczące punkty i świetliste linie na horyzoncie. – Kiedyś, gdy byłem mały, matka mówiła mi, że to aniołowie toczą bój o moją duszę. To, że są tak daleko, znaczy, że naprawdę się starają, by nie dopuścić do mnie złego.

Mary Ann skinęła głową z rozbawieniem. Tak, jasne, anielska armia walcząca o jakiegoś tam Szweda z podrzędnego baru? Jakby sługi wielkiego niebiańskiego impresario nie miały dość pracy przy promowaniu Wybranych. Najbardziej jednak z tego, co powiedział, nie pasowało jej *kiedy byłem mały*. Tacy jak on – faceci o posturze wikinga – bywają w ogóle mali? Śmiała w to wątpić...

Musnęła palcami jego dłoń. Coś w niej trzymał. Spojrzała w dół i dostrzegła grubą książkę. Wolumin oprawiono w zszywane grubym ścięciem skrawki skóry. W centralnym miejscu okładki miał wypukłość, która trochę przypominała ludzkie ucho. Dostrzegła popękany grzbiet i kartki napuchłe od wody, poźółkłe – książka musiała być bardzo stara albo umiejtnie na taką stylizowana.

– Co to jest? – Zapytała.

– To prezent dla ciebie. – Wcisnął książkę w dłoń Mary Ann. Uśmiechał się przy tym, zupełnie jakby to była kolia za milion dolarów. – Znalazłem ją ostatnio w takim domku w lesie i pomyślałem, że zachowam ją dla kobiety takiej jak ty.

Przyjrzała się uchu na okładce, zerknęła do środka i zadrżała na widok przerażających rycin. Zastanawiała się, czy Eryk w ogóle przekartkował tę książkę, czy tylko ocenił po okładce.

– Takiej jak ja?

– No wiesz – zmieszał się. – Piękna, mądra i w ogóle. Uśmiechnęła się promiennie. Tu ją miał, zwłaszcza że powiedział to naprawdę szczerze. Z większym entuzjazmem zajrzała do książki, a nawet przeczytała kilka słów, chociaż żadnego z nich nie zrozumiała.

Nawet nie poczuła, kiedy nasilił się wiatr. Wilgotny podmuch szarpnął listkami rosnącego obok drzewka, urządził przemeblowanie na kocu i wyrzucił małego grilla. Kilka rozżarzonych węgielków pomknęło w dół zbocza.

– Nasz piknik! – Eryk, z postury wiking, pisnął jak dziewczyna i pognał ratować co się da.

Tymczasem pogrążona w lekturze Mary Ann, bezwolny automat do recytacji, czytała na głos obce sobie słowa. Z idealnym akcentem, z właściwą intonacją, jakby przygotowywała się do tego od lat.

W pewnej chwili przebiegło jej przez myśl, jak to będzie wyglądało w jej biografii – epizod z tajemniczą księgą na pewno skłoni ku niej miłośników fantazy i innych takich. Kto wie, może uda się namówić tego gościa od „Władcy Pierścieni”, by zrobił ekranizację? To dopiero mógłby być hit...

I wtedy właśnie spod ziemi, spomiędzy korzeni drzewka, wystrzeliła trupio blada ręka. Wyglądała jak jedna z tych roślinek z filmów National Geographic, które na oczach widzów w jednej chwili wyrastają z nasionek, pną się w górę i wypuszczają pączki.

Dłoń spod ziemi rozczapierzyła palce i wtedy spod jej paznokci zaczęła wypełzać mgła. Na krótką chwilę przybrała postać kobiety, po czym – pchnięta podmuchem wiatru – poleciała prosto na Mary Ann.

Zaskoczona modelka wciągnęła mgłę wraz z powietrzem. A potem padła zemdlna.



Gdy się ocknęła, leżała na kocu, a nad nią pochylał się Eryk. Potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie, gdzie jest. Jeszcze przed chwilą śniła o wielkiej, wilgotnej jaskini, w której stała, ściskając w dłoniach kielich na węzowy jad. Żółte oczy potężnego gada wpatrywały się w nią z nienawiścią...

– Nic ci nie jest, piękna? – Zapytał Eryk. Pokręciła głową, choć tak naprawdę czuła się jakoś dziwnie. W głowie krążyły jej obce myśli, wspomnienia, obrazy. Spróbowała się podnieść, ale tylko syknęła i opadła na koc.

– Może to nasze ostre powietrze – zastanawiał się na głos Eryk. Zdjął z siebie sweter i wsunął jej pod głowę. – Pamiętasz w ogóle, piękna, jak się nazywasz?

To było głupie pytanie i już miała go za nie zbesztać, gdy nagle zdała sobie sprawę, że... Nie pamięta. Myśli, te jej i te drugie, podawały swoje propozycje. W końcu wygrała najsilniejsza.

– Sygin – powiedziała, uśmiechając się niepewnie. -

Mam na imię Sygin...

### *Południowa Ćwiartka, Dolina*

Potrzeba dłuższej chwili, zanim oczy przyzwyczajone do słonecznego blasku południa przywykną do półmroku. U Sidhe ta chwila trwa krócej niż u człowieka, ale też jest to kilka cennych sekund, które w wyjątkowych sytuacjach mogą przesądzić o życiu bądź śmierci.

W tym czasie można oddać strzał, wyskoczyć przez okno, czasem rzucić się do walki wręcz, by zadać pierwszy, może powalający cios. Loki wykorzystał ten moment na rzucenie iluzji. Skomplikowanych... A do tego dwóch naraz.

Był to desperacki krok, blef z parą dwójek przy pełnej puli – w końcu każdy, nawet najmłodszy w miarę rozgarnięty Sidhe bez trudu był w stanie przejrzeć podobne sztuczki. Za dawnych czasów elfy z Doliny iluzji uczyły się wcześniej niż mowy. Mimo to właśnie w niej, a także we własnym talencie do matactw Kłamca pokładał teraz całą swą nadzieję. Cóż innego mu pozostało?

– Czy coś się stało? Oberonie? – Zapytała elfka. W dłoni trzymała połyskujący niebiesko sejmitar.

Gwardziści za jej plecami – niefortunnie stanęła tak, że blokowała im wejście – mrużyli oczy, rozglądając się po namiocie. Dostrzegli nieruchome ciało Cluny'ego na noszach i odetchnęli nieco uspokojeni.

Loki uśmiechnął się, biorąc to za dobrą monetę.

– Nic się nie stało – powiedział głosem łudząco podobnym do głosu Oberona. A może tylko tak mu się wydawało? Uważnie spojrzął w oczy elfki, ale nie potrafił jednoznacznie wyczytać z nich emocji.

*Dlaczego podejrzliwość i niepokój tak mało się od siebie różnią?* – Pomyślał z wyrzutem. – *A może to ja już nie jestem w stanie ich odróżnić?*

Zrobił krok do przodu, stając w świetle wpadającym przez odchyloną połę namiotu. Zakręciło mu się w głowie, ale zdołał utrzymać równowagę i godną postawę władcy Doliny. Zmusił się nawet do pewnego siebie uśmiechu.

– Cluny, ten stary głupiec, przyniósł mi truciznę ukrytą w beczce miodu – wyjaśnił, wskazując leżące na strzaskanych gablotkach ciało przywódcy Społeczności. – Ale nie ma go o co oskarżać, bo kto umiera, płaci swoje długi.

Elfka przeniosła spojrzenie na zamaskowane ciało Oberona, a potem z powrotem na Lokiego. W jej oczach Kłamca dostrzegł swoje zwycięstwo. Uwierzyła mu – ofiarowała kilka chwil na wykonanie kolejnej części planu. Teraz wystarczyło tylko dać jej i strażnikom trochę dodatkowego zajęcia.

– Cluny, zanim zginął, zdążył zdradzić, że jego bracia planują zasadzkę – oznajmił, odkładając pistolet na stolik. – Znajdźcie ich i nakarmcie nimi zwierzęta.

Strażnicy popatrzyli po sobie. W końcu jeden z nich westchnął ciężko.

– A nie powiedział, gdzie mamy ich szukać, panie? – Zapytał. Mówiąc to, wtulił głowę w ramiona, tak

że przypominał żółwia wyglądającego ze skorupy.

Wbrew jego obawom Oberon nie uniósł się gniewem, tylko z rozbawieniem zaczął recytować prymitywną wylizczankę.



Gdy już został sam, pospiesznie zdjął iluzję tak z siebie, jak i z Oberona. Krew huczała mu w głowie, a przed oczami pojawiły się powidoki – kontrola nad przemienionym ciałem, a do tego podwójna iluzja wykończyły go bardziej, niż mógł przypuszczać. A miało być jeszcze gorzej. W końcu teraz zamierzał przejść kształt samego władcy Doliny, a to było dużo trudniejsze – i bardziej bolesne – niż tylko tworzyć jego iluzję w powietrzu.

Rozebrał do naga najpierw zwłoki, a potem pospiesznie zrzucił z siebie garnitur Cluny’ego. Odetchnął kilka razy głęboko i rozpoczął przemianę.

Jeszcze nigdy nie robił tego tak szybko i teraz każda kość trzeszczała niczym przęśła starego mostu, a naciągane ścięgna jęczały jak trącona naprężona guma. Pomagał sobie dłońmi, formując mięśnie i rysujące się pod skórą linie żeber – zupełnie jakby modelował glinę. Aż w końcu, gdy już wszystko inne było gotowe, zamknął oczy i siłą woli... Zapуścił brodę.

– Nie jest źle – szepnął chwilę później, przeglądając się w stojącej nieopodal tarczy.

I rzeczywiście nie było. Jego ciało co prawda skrzyło się od potu, a oczy miał przekrwione, jakby nie spał tydzień, ale poza tym był z niego Oberon jak ta lala.

Uśmiechnął się krzywo, a następnie włożył strój ściągnięty ze zwłok. Nie zapomniał, by za szeroki pas wcisnąć Kłamczucha, a do sakwy pudełeczko wykałaczek.

Następnie sięgnął po nóż, których nie brakowało w gablotkach władcy Doliny. Większość z nich chroniona była przezroczystą barierą, ale wystarczyło uderzyć pudełkiem o stolik, a osłona rozwiewała się w pył.

Nóż, który wybrał Kłamca, był prosty, miał drewnianą rękojeść i zupełnie bezużyteczne ząbki na tępej krawędzi klingi. Był idealny do prac nieprecyzyjnych, za to widowiskowo krwawych. W sam raz do tego, do czego miał być teraz użyty.

– Czas zmienić sztandar, Oberonie – wycodził Loki, ściskając w zębach wykałaczkę. – Tamten trudno już zwać ochłapem.

Naznaczył ostrzem prostokątny fragment na plecach niegdysiejszego władcy, a potem zabrał się do wycinania.

Sądząc po krzykach, jękach i śmiechach na zewnątrz, gwardia Oberona – jego gwardia – właśnie przyprowadziła pojmany zamachowców.

*Zabij ich widowiskowo, a potem zemścij się na Społeczności* – podpowiedział głos w jego głowie. – *Tę małą, która wpadła ci w oko, zatrzymasz jako branżę.*

To była nowa osobowość budząca się do życia w głowie Lokiego – jaźń Oberona.

Kłamca westchnął ciężko. Jeśli chciał dotrzeć na Dwór i do sypialni dziedzica, wciąż jeszcze będąc choć trochę sobą, musiał się naprawdę spieszyć. Inaczej koniec mógł być taki, że Oberon rzeczywiście zabije w nim Lokiego.

Ktoś zawołał, a zaraz potem między połami namiotu pojawiła się głowa gwardzisty.

– Panie, schwytaliśmy buntowników. Które zwierzęta mamy nimi nakarmić?

– Głodne – odparł Loki, wbijając nóż w plecy władcy Doliny. A potem zabrał się do wykrajania z nich krwawego ochłapu. Na sztandar.

---

<sup>[1]</sup> Ma chérie (franc.) – moja kochana

- [2] Fils de pute (franc.) – skurwysyn
- [3] Tete moi le noeud, pedel (franc.) – Obciągnij mi, pedale!
- [4] Durnas paukšti (litew.) – durne ptaszysko
- [5] Iki pasimatymo! (litew.) – Do widzenia!
- [6] Prašau (litew.) – proszę
- [7] Va t'faire mett, salope! (franc.) – Pieprz się, dziwko!
- [8] hijo de puta (hiszp.) – skurwysyn
- [9] Acabado! (hiszp.) – Gotowy.
- [10] Pierwsza zwrotka „Waltzing Mathilda” w przekładzie Elżbiety Gepfert





## Jakub Ćwiek

Urodzony w roku premiery „Blade Runnera” i ekranizacji „Conana Barbarzyńcy”. Pierwszą próbę literacką popełnił w wieku lat siedmiu. Wtedy jednak nie myślał jeszcze o publikowaniu.

Zainteresowania rozwijał w rodzinnych Głucholazach aż do rozpoczęcia studiów, kiedy to, znalazłszy się w Katowicach, przystąpił do Śląskiego Klubu Fantastyki. Do dziś uważa to za jedną z najlepszych życiowych decyzji, podobnie zresztą jak wstąpienie w związek małżeński. Który jak dotąd zaowocował obecnością Żuzi i Samuela.

Z Fabryką Słów wydał: „Liżąc ostrze” (2007), „Ciemność pfonie” (2008), „Gotuj z papieżem” (2009), publikował w dwóch fabrycznych antologiach.

I wreszcie „Kłamca”. Trzy bestsellerowe tomy opowieści o Lokim – nordyckim bogu i anielskim specu od mokrej roboty – „Kłamca 1”, „Kłamca 2. Bóg marnotrawny” i „Kłamca 3. Ochłap sztandaru”, stały się dla Jakuba przepustką do pierwszej ligi pisarzy polskiej fantastyki.

Dwukrotnie nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdła.

COPYRIGHT © by Jakub Ćwiek  
COPYRIGHT © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2008

WYDANIE IV

ISBN 978-83-7574-838-3

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE Piotr Cieśliński

REDAKCJA Marcin Wroński

KOREKTA Barbara Caban, Magdalena Byrska

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl)



**fabryka słów**  
WYDAWNICTWO  
WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)



URLØP SZLAG TRAFIL,  
CZTEREJ JEZDZCY APOKALIPSY  
WŁAŚNIE RUSZAJĄ...



Lucyfer daje znak swoim zastępom i wszystko wskazuje na to, że scenariusz ostatecznej bitwy będzie znacząco różnił się od tego, który nakreślił św. Jan w swoim objawieniu.

Recepta na wyrównanie szans jest jedna – odstrzelić Antychrysta, zanim dorośnie. Dla Lokiego, pierwszego cyngla skrzydlatych, taka misja to małe piwo. Przykład starego, dobrego króla Heroda nie odszedł przecież w zapomnienie.

Tyle że za sprawą elfów Antychryst zniknął, a w łóżeczku leży pokraczny odmieniec.



Patroni medialni



SCIENCE FICTION

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)

Polecamy



Wyłączny  
dystrybutor



JAKUB 3 ĆWIEK  
KŁAPKA  
CHŁAP SZTANDARU

